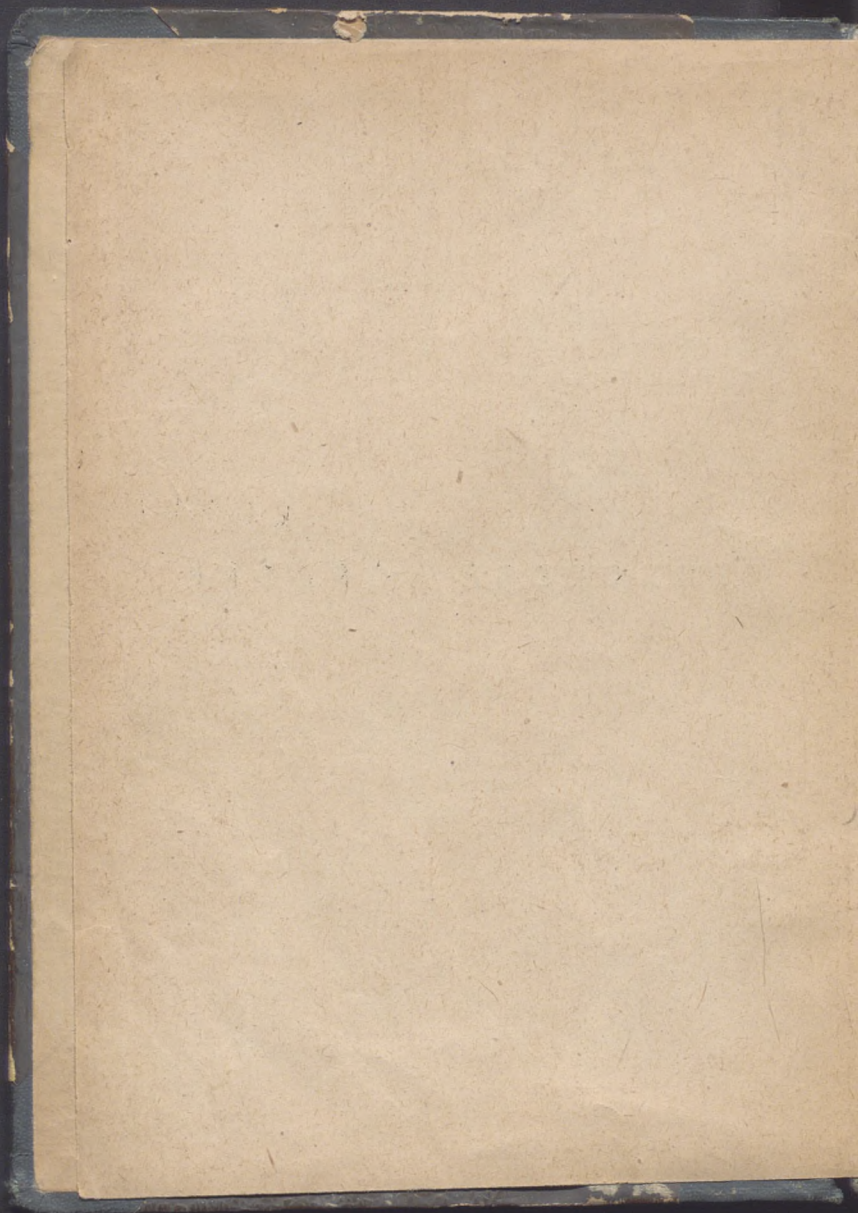


49 IA.466.335

TRAGEDJA KOROSKA



CONAN DOYLE

TRAGEDJA KOROSKA

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO
JULJI DIKSZTEINÓWNY

Wydawnictwo

WARSZAWA — KRAKÓW
SKŁAD W KSIĘGARNI TRZASKI, EVERTA I MICHAŁSKIEGO
W WARSZAWIE, HOTEL EUROPEJSKI
M C M X X I



11.466.335



Druk W. Maślankiewicz, Nowogrodzka 17.
1987 K 200/3

ROZDZIAŁ I.

Publiczność może być bardzo zdziwiona, dlaczego nigdy nie spotkała się w pismach z wiadomością o wypadku, jaki zdarzył się pasażerom Koroska.

W naszych czasach wszechświatowego rozgałęzienia agencji prasowych, czujących na najłżejszy bodziec, wygląda na nieprawdopodobne, aby wydarzenie międzynarodowe o takiej doniosłości, dotychczas nie zostało nigdzie zarejestrowane. Musiały być bardzo ważne powody, natury osobistej i politycznej, które wpłynęły na zatuszowanie sprawy. We właściwym czasie szczegóły te były dobrze znane szerszemu gronu ludzi i wersja pewna o nich ukazała się w jednym z pism prowincjonalnych, ale obudziła powszechne niedowierzanie. Obecnie ubrano ją w formę opowiadania, skonstruowanego na podstawie partych przysięgą zeznań pułkownika Cochrane

Cochrane z Klubu Armji i Floty, oraz listów panny Adams z Bostonu (Massachusetts).

Przybywa do nich zeznanie kapitana Archera z Egipskiego korpusu wojsk wielbłądzich, złożone podczas tajnego badania przez władze w Kairze. P. James Stephens odmówił piśmiennego opisu wydarzenia, ale ponieważ przedstawiono mu akta i nic w nich nie zmienił i nie wykreślił, należy przypuścić, że nie znalazł nic niezgodnego z prawdziwym stanem rzeczy, że więc wszystkie zastrzeżenia, jakie czynił co do ich opublikowania, były natury raczej prywatnej i osobistej.

Korosko wypłynął dnia 13 lutego r. 1895 z Shellal nad pierwszą kataraktą i zdążył do Wady Halfa. Jestem w posiadaniu listy pasażerów, uczestników tej wycieczki. Listę tę podaję.

„Korosko“ 13 lutego.

Pasażerowie:

Pułkownik Cochrane Cochrane — Londyn,
pan Cecil Brown — Londyn,
pan John H. Headingly — Boston, Stany
Zjednoczone,
panna Adams — Boston, Stany Zjedn.,
panna S. Adams — Worcester Massachu-
setts, St. Zjedn.,

pan Fardet — Paryż,
państwo Belmont — Dublin,
pan James Stephens — Manchester,
ks. John Stuart — Birmingham,
pani Schlesinger z dzieckiem i boną —
Florencya.

Oto było towarzystwo, które wyruszyło z Shellal z zamiarem odbycia przejażdżki po Nilu nubijskim w górę rzeki, na przestrzeni dwustu mil, jakie dzielą pierwszą kataraktę od drugiej. Dziwny to kraj ta Nubia. Pod względem szerokości waha się od kilku mil do tyłuż jardów (nazwa bowiem dotyczy tylko wąskiego skrawka ziemi, zdatnego do uprawy), a przedstawia się jak cienki, zielony, oblamowany palmami pas po obu stronach szerokiej kawowego koloru rzeki. Poza nim rozciąga się na brzegu libijskim dzika i bezkresna pustynia, która zajmuje całą szerokość Afryki. Równie rozpaczliwa dzicz po drugiej stronie dochodzi aż do dalekiego morza Czerwonego. Między temi dwoma ogromnemi i jałowemi płatami ziemi Nubia rysuje się jak zielona glista ziemna wzdłuż koryta rzeki. Miejscami znika zupełnie i Nil płynie pośród czarnych zżartych przez słońce pagórków, gdzie pomarańczowy nawiany piasek leży w żłebach,

jak lodowce. Na każdym kroku widać ślady minionych ras i zagasłych cywilizacji. Dziwaczne grobowiska znaczą się jak centki na pagórkach, albo wcinają się w horyzont; groby w kształcie piramid, groby wykuwane w skale — wszędzie groby. Czasami gdy statek okrąży skalisty występ, oczom ukazuje się na szczycie opustoszałe miasto, domy, mury, warownie, w które słońce przenika przez dziury okien. Niekiedy słyszymy, że był to gród rzymski, czasem, że egipski, niejednokrotnie wszelki ślad nazwy i pochodzenia zaginął. Pytamy sami siebie zdumieni, dlaczego te wszystkie szczepki pobudowały się w tem odstraszałem pustkowiu i nie łatwo przystać nam na teorię, że były to tylko wartownie przed bogatszą krainą, położoną w dole rzeki i że te liczne miasta to jedynie twierdze, wzniesione przeciw dzikim hordom łupieżców z południa. Ale o czem bądź one mówią — o drapieżnym sąsiedzie, czy o zmianie klimatu, fakt, że stoją tutaj, te pounure i milczące grody, a po szczytach pagórków oglądać możemy mogiły ich mieszkańców, niby strzelnice na okręcie wojennym. W ten to niesamowity, zamarty kraj turyści, zmierzający do granicy egipskiej, zapuszczają się z dymem cygar, plotkami i zabawą.

Podróźni z Koroska składali się na we-

sołą, zżytą gromadkę, ponieważ większość ich odbyła już razem drogę z Kairu do Assuanu, a nawet anglo-saski łód topnieje raptownie nad Nilem. Mieli szczęście, że nie znalazł się w ich gronie nikt niesympatyczny, co na małych statkach wystarcza, aby zmrozić całe towarzystwo. Na parowcu nie wiele co szerszym od kłębow dymu, natręt, cynik, albo rzęda, odrazu może narzucić swój ton. Ale Korosko był wolny od tego rodzaju nieprzyjemności. Pułkownik Cochrane należał do oficerów, których rząd Wielkobrański, opierając się na zasadzie wysłużenia lat, ogłasza w pewnym wieku jako niezdolnych do dalszej służby i którzy udowodniają wartość takiego systemu, pędząc swoje późne lata na wyprawach eksploatacyjnych do Marokka, albo na strzelaniu do lwów w kraju Somali. Był to człowiek o wyglądzie orlim, sztywny, świadomy, w sposobie życia pełen ugrzecznienia, ale spojrzenie miał twarde i badawcze. W ubraniu był ogromnie staranny i drobiazgowy, gentleman aż po końce wypielegnowanych paznogi. Przez swoją anglo-saską niechęć do wylewności, wyrobił w sobie powściągliwość, która w pierwszych chwilach znajomości z nim mogła być aż odpychająca, ludzie jednak, którzy go znali bliżej, wiedzieli, że dosyć trudno

mu przychodziło ukryć dobre serce i czysto ludzkie wzruszenia, które kierowały jego postępkami. Pośród towarzyszków podróży wzbudzał raczej szacunek, niż sympatję, czuli bowiem, jak wszyscy, ci co mieli z nim do czynienia w życiu, że jest to człowiek, z którym znajomość prawie nigdy nie przechodzi w przyjaźń, jakkolwiek przyjaźń, raz zawarta, stałaby się niezmienną i nieodłączną treścią jego duszy. Nosił szpakowate, podstrzyżone po oficersku wąsy, ale włosy miał dziwnie czarne jak na człowieka w tym wieku. W rozmowach swoich nie dotykał licznych wypraw, w których się odznaczył, a jako przyczynę milczenia podawał zwykle okoliczność, że są to wydarzenia z tak wczesnych lat panowania królowej Wiktorji, iż woli poświęcić swoją chwałę rycerską na ołtarzu swojej wiecznej młodości.

Pan Cecil Brown — jeżeli bierzemy nazwiska w porządku, w jakim figurują na liście pasażerów — był młodym dyplomatą przy jednym z poselstw na kontynencie, człowiekiem zlekka zarażonym manierą oksfordzką, który błędził po krańcach nienaturalnego i niehumanitarnego przesubtelizowania, ale jako umysł wysoce był kulturalny, a w rozmowie prawdziwie interesujący. Miał smutną, piękną twarz, małe, ostre, wywoskowane wąsy, niski głos

i leniwe ruchy, które podkreślał jeszcze śliczny nawyk nagłego rozświetlania twarzy niespodziewanym uśmiechem i błyskiem, ilekroć coś uderzyło jego wyobraźnię. Nabyty cynizm miażdżył wiecznie i maskował jego wrodzony młodzieńczy zapał. Przechodził do porządku dziennego nad tem, co się powszechnie podobało, a wyrażał się z uznaniem o wszystkim, co dla przeciętnych ludzi było trywialne lub niezdrowe. Jako lekturę na podróż wybrał Waltera Patera i uprzejmy ale pełen rezerwy siadywał codziennie pod zasłoną z powieścią i ze szkicownikiem rzuconym obok na ogrodowe krzesło. Osobista godność nie pozwalała mu na czynienie awansów innym, ale jeżeli ktoś pierwszy zwrócił się do niego, znajdował w nim miłego i uprzejmego towarzysza.

Amerykanie stanowili oddzielną grupę. John H. Headingly pochodził z Nowej Anglii, otrzymał właśnie dyplom uniwersytetu w Harvard i dopełniał swego wykształcenia, odbywając podróż na około świata. Był to najdoskonalszy typ młodego amerykańczyka: żywy, spostrzegawczy, poważny, żądny wiedzy i rzetelnie wolny od przesądów, z lekką dozą niesekciarskich, ale szczerych uczuć religijnych, które czyniły go odpornym wobec wybryków młodości. Posiadał mniej pozorów, ale za to w tre-

ści większą kulturę od młodego dyplomaty, ponieważ miał bardziej wyostrzoną wrażliwość, mimo mniej ścisłych wiadomości. Panna Adams i panna Sadie Adams były to ciotka i siostrzenica, przyczem pierwsza z nich, drobna, energiczna, o ostrych rysach stara panna z Bostonu, z bogatym naddatkiem niewyzyskanej miłości, pod szorstkim, kanciastym pozorem. Pierwszy raz znalazła się poza domem i dobrowolnie wzięła na siebie obowiązek niesienia na Wschód sztandaru Massachusetts. Zaledwie postawiła stopę na ziemi egipskiej, zauważyła, że kraj ten wymaga koniecznie uporządkowania, a odkąd zrodziło się w niej to przekonanie, była bezustannie zajęta. Osiodłane osły, zdychające z głodu psy, paryasy, muchy, oblepiające oczy niemowląt, nagie dzieci, natrętnie żebrzące, obszarpane i brudne kobiety, wszystko to raniło jej sumienie i rzuciła się odważnie w wir pracy reformatorskiej. Ponieważ nie знаła ani jednego wyrazu miejscowego języka i nie mogła żadnemu z przestępców dać poznać o co jej chodzi, jej wyprawa nilowa pozostawiła niewdzięczny Wschód akurat w takim stadyum, w jakim go zastała, dostarczyła za to dużo miłej rozrywki towarzyszom podróży. Ale nikogo te jej wysiłki nie bawiły tak, jak jej siostrzenicy, Sadie, która razem

z panią Belmont cieszyła się największą popularnością na statku. Była młodzianka—świeżo wyszła z kolegum Smith'a i niejedno w niej jeszcze pozostało z zalet i przywar dzieciństwa. Miała dużo bezpośredniości, gotowości do zwierzeń, niewinną prawość i pogodę, obok wielomówności i pewnego braku uszanowania. Ale nawet usterki jej bawiły, a chociaż zachowała sporo cech rozgarniętego dzieciaka, była niemniej słuszną i śliczną kobietą, która wyglądała na więcej lat, niż miała naprawdę, z powodu włosów zczesanych nisko na uszy i pełni staniczka i spódniczki, która nie była dziełem ani pomysłem p. Gibsona. Szelest tej spódniczki, jasny donośny głosik i swawolny, udzielający się śmiech, były to dobrze znane i mile widziane na Korosku dźwięki. Nawet sztywny pułkownik miękł we względną serdeczność, a dyplomata Oksfordski zapominał o swojej pozie w towarzystwie panny Sadie Adams.

O reszcie podróżnych wystarczy parę słów. Niektórzy byli zajmujący, inni obojętni, a wszyscy mili. Pan Fardet to pocziwy ale gwałtownie dyskutujący francuz, który miał zdecydowane przekonania co do ciemnych machinacji Wielkiej Brytanii i bezprawnego jej posiadania Egiptu. Pan Belmont był szary jak żelazo, tęgi irlandczyk, sławny ze swej nie-

bywałej zręczności strzelania na wielką odległość. Wziął prawie wszystkie nagrody, jakie ofiarowały Wimbledon albo Bisley. Towarzyszyła mu żona, urocza, subtelna kobieta, pełna życia i wesołości, znamiennej dla jej ojczyzny. Pani Schlesinger była wdową, osobą średnich lat, spokojną i łagodną; wszystkie jej myśli pochłaniał sześćioletni synek, jak to zwykle bywa z matkami na okrętach, gdzie jedynie poręcz jest ogrodzeniem. Ksiądz John Stuart był duchownym sekty niekonformistów z Birminghamu, ani presbyterjanin, ani kongregacjonalista, człowiek niesłychanej tuszy, powolny i ospały w ruchach, ale obdarzony dużą dozą wrodzonego humoru, który, jak powiadają, czynił go ulubionym kaznodzieją i wpływowym mówcą w kołach radykalnie postępowych. Wreszcie znajdował się w towarzystwie p. James Stephens adwokat z Manchesteru (najmłodszy w spółce Hickson, Ward i Stephens). Podróżował, aby pozbyć się resztek influenzy. Stephens był to człowiek, który w przeciągu trzydziestu lat wybił się własną pracą, zaczawszy od mycia okien w kancelarji, a skończywszy na kierowaniu jej sprawami. Większą część tego długiego czasu stracił na suchej, bezdusznej robocie, żyjąc tylko jedną myślą: aby zadowolić dawnych klientów i zdobyć no-

wych, aż wreszcie sam i umysł jego stał się równie dokładny i pełen formalistyki jak praca, które wykładał. Natura delikatna, uczuciowa była bliska spaczenia — zjawisko częste u ludzi, którzy prowadzą interesa w wielkich miastach. Praca stała się dla niego zakorzenionym nawykiem, a że był kawalerem, nie miał nic w życiu, coby go od niej odwodziło, to też dusza jego stopniowo odgrodziła się od świata, jak ciało średniowiecznego mnicha. Aż przyszła owa uprzejma choroba. Natura wyrzuciła Jamesa Stephensa z nory i wysłała go w szeroki świat, daleko od ryczącego Manchesteru i półek pełnych powag, oprawnych w skóry cielece. Narazie czuł się bardzo nieszczęśliwy, wszystko wydawało mu się przyziemne w zestawieniu z jego własnym, nędznym kieratem. Ale powoli oczy jego otwierały się i zaczynał przeglądać stopniowo, że to właśnie jego praca była przyziemna w porównaniu z tym cudownym, wielokształtnym, niepojętym światem, którego on tak zupełnie nie znał. Niejasno zdawał sobie sprawę, że przerwa w karierze może być dla niego ważniejsza, niż sama karjera. W duszy jego obudził się cały szereg nowych zainteresowań, i oto ten prawnik, człowiek już w sile wieku, przeżywał gasnącą jasność zmarnowanej wśród książek

młodości. Miał już zbyt wyrobiony charakter, aby z jego zachowania dała się usunąć pewna suchość i systematyczność, a ze sposobu mówienia pedandyczna dokładność, ale czytał, myślał i obserwował, zasmarowując swego Baedekera podkreśleniami i uwagami, tak jak swego czasu „Komentarze Prideaux“. Od Kairu odbywał drogę razem ze znanem nam towarzystwem i zbliżył się bardzo z panną Adams i jej siostrzenicą. Młoda amerykanka, przez swoje wygadanie, swoją śmiałość i wieczną pogodę, bawiła go i zajmowała, a ona nawzajem czuła jakąś mieszaninę szacunku i społeczenia dla jego wiedzy i dla jego braków. Zaprzyjaźnili się ze sobą i ludzie uśmiechali się, widząc pochylone nad tym samym przewodnikiem jego pochmurne czoło i jej słoneczną twarzą.

Mały Korosko z sapaniem i hałasem płynął w górę rzeki, znacząc za sobą białą bruzdę na wodzie i czyniąc więcej huk i zamętu przez swoje pięć węzłów na godzinę, niż wielki okręt na Atlantyku w rekordowej jeździe. Na pokładzie pod gęstą zasłoną siedziało szczupłe grono podróżnych, a co parę godzin schodziło na brzeg, aby zwiedzić jedną więcej z niezliczonego szeregu świątyń. Zwaliska co prawda w miarę oddalania się od Kairu stają się co-

raz późniejsze i turyści, którzy w Gizeh i Sa-kara napawali się widokiem najstarszych budowli, wzniesionych ręką człowieka, zaczynają się niecierpliwie, napotykając świątynie mało co starsze od ery chrześcijańskiej. Ruiny, które wzbudziły podziw i cześć w każdym innym kraju, zaledwie zwracają uwagę w Egipcie.

Podróżni obejrzeni z miernym zainteresowaniem pół-grecką sztukę w płaskorzeźbach nubijskich, wdrapali się na wzgórze Korosko, aby zobaczyć wschód słońca nad dziką pustynią wschodnią, zachwycili się wielkim ołtarzem Abu Simbel, gdzie jakieś starożytne plemię wydrążyło górę, jak gdyby to był ser, wreszcie pod wieczór czwartego dnia wyprawy przybyli do Wady Halfa, granicznego i obsadzonego wojskiem miasta, w którym znaleźli się o parę godzin później niż należało, skutkiem nieznacznego uszkodzenia maszyny.

Następny ranek był przeznaczony na wyprawę do słynnej skały Abusir ze wspinałym widokiem na drugą kataraktę. O pół do dziewiątej, kiedy podróżni odbywali poobiednią siestę na pokładzie Manzor, dragoman, pół kopt, pół syryjczyk zgodnie z programem wieczornym stanął przed nimi, aby zapowiedzieć porządek następnego rana:



„Panie i panowie — zaczął, dając odwagę nurka w szybki strumień swojej łamanej angielszczyzny — jutro niech państwo nie zapomną wstać jak tylko gong się odezwie, żebyśmy zdążyli z wyprawą do godziny dwunastej. Przybywszy do miejsca, gdzie osły będą nas oczekiwały, przejedziemy pięć mil pustynią, mijając świątynię Ammon-ra, pochodzącą z czasów osiemnastej dynastyi i dojedziemy do sławnej skały pulpitowej Abusir. Skała pulpitowa prawdopodobnie tak się nazywa, ponieważ jest to skała podobna do pulpitu.

„Znalazłszy się tam, uczujecie państwo, żeście się znaleźli na ostatnim cyplu cywilizacyi; jeszcze trochę dalej, a traficie do kraju derwiszów, który będzie dla was widoczny ze szczytu. Minąwszy wierzchołek zobaczycie koniec drugiej katarakty. Krajobraz pełen grozy, uroku i przerażającego urozmaicenia. Wszyscy wielcy ludzie ryli na tej skale swoje nazwiska, więc i wy wasze wyryjecie.“ — Manzor zatrzymał się, czekając na uśmiech słuchaczy i gdy go ujrzali, uklonił się. — „Wróćcie wtedy do Wady Halfa, i zabawicie tam dwie godziny, aby przyrzeć się Korpusowi Wielbłądziemu, włączając w to oporządzenie zwierząt i bazar przed powrotem. To też życzę państwu szczęśliwej nocy“.

Błysnął w świetle lampy białymi zębami, poczem jego długa ciemna spódnica, krótka angielska marynarka i czerwony fez, znikwały kolejno na schodkach. Szmer rozmów, przerywany przez jego nadejście, podniósł się na nowo.

„Liczę na pana, że mi pan opowie wszystko o Abusir — mówiła do p. Stephensa panna Sadie Adams. — Lubię o tem, co oglądam, wiedzieć co trzeba we właściwej porze, a nie o sześć godzin zapóźno, w mojej kajucie. Nie udało mi się w Abu Simbel i malowideł na murze jeszcze teraz nie mam w głowie, chociaż widziałam je wczoraj“.

„Nie wierzę, abym kiedykolwiek uporała się z tem — mówiła jej ciotka: — kiedy wrócę szczęśliwie na Commonwealth Avenue i już nie będzie mnie poszturgiwał żaden dragoman, będę miała czas czytać o tem wszystkim i wierzę, że wtedy zacznę się entuzjastycznie i marzyć aby jeszcze raz tu przyjechać. W każdym razie bardzo pan uprzejmy, że próbuje zaznajomić nas z przedmiotem“.

„Przypuszczałem, że panie będą chciały mieć ściśle wiadomości i przygotowałem małą rozprawkę na ten temat“, — odpowiedział Stephens, wręczając zwitek papieru pannie Sadie. Spojrzała nań przy świetle lampy okrętowej

i wybuchła swoim cienkim serdecznym śmiechem:

„Re Abusir — czytała, — co pan rozumie przez to *re*? Na ostatniej kartce, jaką pan mi dał, napisał pan *re* Ramzes drugi“.

„To zwyczaj, jakiego nabyłem, panno Sadie“ — odparł Stephens.

„Tak piszemy w praktyce prawniczej, kiedy przygotowujemy *memo*“.

„Co przygotowujecie?“

„Memo — memorandum, rozumie pani? Piszemy *re*, to znaczy: w takiej to, a takiej sprawie, aby wiedzieć, o co rzecz idzie!“

„Przypuszczam, że to jest bardzo wygodny sposób — odrzekła panna Sadie — ale brzmi trochę komicznie na tle zmarłych królów egipskich“. *Re* Cheops czy pan nie czuje, że to uciészne?“

„Według mnie nie“ — rzekł Stephens.

„Nie wiem, czy to prawda, że Anglicy mają mniej humoru od Amerykanów, czy tylko jest to humor innego rodzaju — mówiła Sadie. — Miała spokojną, równą dykcję, jak gdyby myślała na głos. — Ja sądziłam, że wogóle posiadają go mniej, a jednak kiedy się zastanowimy: Dickens, Thackeray i Barrie i tylu innych, najbardziej podziwianych pisarzy humorystów byli z pochodzenia Brytańczykami.

Z drugiej strony w życiu swoim nie słyszałem ludzi śmiejących się w tak przykry sposób, jak w Londynie w teatrze. Za nami siedział jakiś jegomość, a ile razy zaczynał się śmiać, ciocia oglądała się, czy się które drzwi przypadkiem nie otworzyły, taki był przeciąg. Ale pan ma zabawne wyrażenia, proszę pana“.

„Co jeszcze wydaje się pani zabawnem, panno Sadie?“

„Wczoraj, kiedy mi pan przysłał bilet do świątyni i mały planik, zaczął pan list: „wewnątrz znajduje się“, a potem na dole w nawiasie dodał pan: „dwa załączniki“.

„To zwykły styl w korespondencji urzędowej“. — „Tak w urzędowej“... — podchwyciła Sadie sucho i rozmowa urwała się.

„Jednejbym rzeczy chciała“ — zauważyła p. Adams, twardym, skrzypliwym głosem, którym pokrywała wrodzoną miękkość serca — „zobaczyć legislaturę tego kraju i pokazać tym ludziom kilka na zimno wybranych faktów. Wytworzyłabym własną platformę polityczną... stronnictwo według moich przekonań. Jedną z wydanych tablic byłoby prawo zmuszające do mycia oczu, drugą zniesienie „jasmaków“, zasłon, które zmieniają kobietę w tłumok wełniany, z wyglądającą z niego parą oczu“.

„Nigdy nie mogłam się domyśleć dlaczego je noszą” — wtrąciła Sadie — „aż jednego dnia zobaczyłam którąś z podniesionym welonem — wtedy zrozumiałam”.

„Męczą mię te kobiety” — krzyknęła gniewnie panna Adams. Z równym skutkiem można by prawić o obowiązkach, o przyzwoitości i o czystości przed rzędem materaców. Co za kraj! Nie dalej jak wczoraj w Abu-Simbel przechodziłam koło jednego z ich domostw. Jeżeli można nazwać domostwem te lepianki z błota i zobaczyłam na progu dwoje dzieci z oczyma jak zwykle oblepionymi przez muchy i z wielkimi dziurami w biednych niebieskich sukienkach.

Odwinęłam rękawy chusteczką, umyłam im twarze, pozaszywałam dziury, bo w tym kraju tak samo jest nie do pomyślenia, żeby zejść na brzeg bez przyborów do szycia, jak bez białej parasolki. Zapaliłam się do tej roboty, weszłam do mieszkania, co za mieszkanie! Wyprosiłam ludzi ze środka i zabrałam się do porządków, prosto jakbym była najętą posługaczką. Ze świątyni Abu-Simbel widziałam akurat tyle, jak gdybym się nie była ruszyła z Bostonu, ale dalibóg, widziałam więcej śmieci i kurzu, niżby pan przypuszczał, że wogóle może się zmieścić w domu wielkości

kabiny w Newport. Od chwili kiedy zakasałam spódnicę do roboty, od kiedy wyszłam na zewnątrz z twarzą koloru tej popielniczki, upłynęła może godzina, może półtorej, ale domek zrobił się czyściutki i miłutki, jak pudeleczek. Miałam z sobą *New York Herald* i wyłożyłam nim półki tym ludziom. Otóż, proszę pana, poszłam tylko na chwilę umyć ręce na podwórzu, a kiedy znowu przechodziłam przed drzwiami, tych samych dwoje dzieci siedziało znowu na progu z oczyma oblepionymi przez muchy, zupełnie tak jak przedtem, z tą jedynie różnicą, że każde z nich miało na głowie papierowy kapelusz, zrobiony z *New York Herald*. — Ale słuchaj, Sadie, dziesiąta dochodzi, a jutro trzeba rano wstać.“

„Kiedy takie cudowne jest to czerwone niebo i te wielkie srebrne gwiazdy“ — wymawiała się Sadie. — „Spójrzcie państwo na milczącą pustynię i czarne cienie pagórków. Podniosłe to, ale i straszne zarazem, a kiedy jeszcze pomyśleć, że naprawdę, jak powiedział dragoman, jesteśmy na samym krańcu cywilizacji, a tam, gdzie tak ślicznie świeci Krzyż Południowy, czyha na nas dzicz i rozlew krwi, mam wrażenie, jakbyśmy stali na czarującej krawędzi rozżarzonego wulkanu“.

„Cicho, Sadie, nie mów tak, dziecko, —

przerwała w rozdrażnieniu ciotka. — Już słuchanie takich rzeczy wystarczy, aby napędzić strachu“.

„Ale czy sama tego nie czujesz, ciociu? Popatrz na tę pustynię, biegnącą daleko, daleko, aż do zatracenia w mrokach. Posłuchaj jak wiatr nad nią szepcze. Nie widziałam w życiu nic bardziej uroczystego“.

„Bardzo się cieszę, kochanie, iż znalazło się coś, co cię nastroja uroczyście — odpowiedziała ciotka. — Myślałam czasem... Boże święty! co to?“

Skądś z pomiędzy cieniów pagórków, na dalszym brzegu rzeki, zerwał się ostry, chrapliwy jęk, rósł i nabrzmiewał, aż skończył w żalosnem, przeciągłym kwileniu.

„To tylko szakal, proszę pani,—uspakajał Stephens. — Słyszałem już kiedyś coś podobnego, kiedy się wybrałam na oglądanie Sfinksa przy księżycu“.

Ale amerykanka wstała, z twarzy jej znać było, że wszystkie nerwy w niej grają.

„Gdybym była w stanie odrobić to, co się stało, nigdybym nie ruszyła krokiem za Assuan—rzekła. — Nie rozumiem sama co mi się stało, że mogłam cię aż tu zawlec, Sadie. Twoja matka pomyśli, że zwarzjowałam, i jeśliby co bądź złego miało się nam przytrafić, nie śmia-

łabym jej spojrzeć w oczy. Widziałam już wszystko, co chciałam widzieć na tej rzece i jednego teraz tylko pragnę: być z powrotem w Kairze“.

„Dla czego ciociu? — krzyknęła Sadie — ta tchórzliwość wcale do ciebie nie podobna“.

„Nie wiem co to jest, Sadie, ale czuję się trochę zdenerwowana. Jeszcze ta bestja miaucząca — to już więcej, niż mogę wytrzymać. Jedna jest pociecha, że jutro zaczynamy odwrót, jeszcze tylko ta ostatnia skała, czy świątynia, czy co to tam jest. Wie pan, mam powyżej uszu skał i świątyń. Nie będę płakała, jeżeli już żadnej nigdy nie zobaczę. Chodź Sadie, dobranoc“.

„Dobranoc. Dobranoc paniom“.—Ciotka i siostrzenica zeszły do kajuty.

Pan Fardet rozprawiał półgłosem z Headinglym, młodym absolwentem uniwersytetu w Harvard, pochylony wśród kłębow dymu papierosa.

„Derwisze, proszę pana!“ — mówił wyborna angielszczyzną, ale oddzielając od siebie zgłoski, jak to czynią francuzi. „Niema derwiszów. Nie istnieją“.

„Jakto? sądziłem, że moc ich jest po lasach“.

Pan Fardet spojrział przelotnie na czerwony ognek cygara pułkownika Cochrane'a, świecący w ciemności.

„Pan jest amerykańnikiem i nie lubi pan anglików“—szeptał.— „My na kontynencie doskonale rozumiemy, że istnieje antagonizm pomiędzy Ameryką a anglikami“.

„Tak jest“—zaczął Headingly, jak zwykle powolnie i z rozwagą— „nie mogę zaprzeczyć, że są między nami kwasy, i że nie brak u nas ludzi — zwłaszcza, o ile są z pochodzenia irlandczykami, — którzy są nieuleczalnie chorzy na punkcie Anglii, większość jednak jest przychylna dawnej ojczyźnie. Widzi pan, oni mogą być z czasem dokuczliwi jako naród, ale koniec końców to nasza rasa i tego zatrzeć nie możemy“.

„*Eh bien*, — mówił francuz — w każdym razie mogę powiedzieć panu, czego bez obraży nie mógłbym powiedzieć tamtym. A powtarzam, że derwiszów niema. Wymyślił ich lord Cromer w r. 1885“.

„Co też pan mówi — krzyknął Headingly.

„Znana to rzecz w Paryżu. Pisała o tem *Patrie* i inne dobrze informowane dzienniki“.

„Niebawale rzeczy!“ — dziwił się Headingly. — „Więc pan chce mię przekonać, że obleżenie Chartumu, albo śmierć Gordona i innych to był wielki *bluff*?“

„Nie przeczę, że były rozruchy, ale miały charakter lokalny, rozumie pan? i dawno już poszły w zapomnienie. Od tej pory w Sudanie panuje bezwzględny spokój“.

„A jednak proszę pana, słyszałem o napaściach, czytałem o bitwach, w których arabowie chcieli opanować Egipt. Nie dawniej jak dwa dni temu przejeżdżaliśmy przez Toski, gdzie jak mówił dragoman, była kiedyś bitwa. Czy i to jest *bluff*?“

„Ha, nie zna pan anglików, drogi panie. Bierze ich pan tak, jak pan ich widzi, z fajką w ustach, z pogodną twarzą i myśli pan, że to dobrzy, prości ludzie, którzy nigdy nie skrzywdzą nikogo. A oni tymczasem bezustannie myślą, czuwają i kombinują“. „Egipt jest słaby — wołają — *Allons!*“ i spadają jak mewa na okruchy. „Nie macie prawa tu wchodzić — mówi świat — wyjdźcie“. Ale Anglja zaczęła już wszędzie robić porządki, akurat jak pocziwa p. Adams, kiedy wdziera się do domu arabów. „Wyjdźcie“ — powiada świat. — „Wyjdziemy“ — mówią anglicy — „poczekajcie chwilę tylko, uporządkujemy wszystko i oczy-

ścimy". Świat czeka rok, czy więcej, poczem powtarza znowu: „Wyjdźcie!“ „Wyjdziemy“ — twierdzi Anglja — „w Chartumie są zamieszki, kiedy je uspokoję, wyjdziemy z rozkoszą.“ I znowu czekamy, aż wszystko się ułoży i znowu upominamy. „Wyjdź!“ „Jakże mogę wyjść — mówi Anglja — ciągle są jeszcze napady i bitwy. Jeżeli się usuniemy, Egipt będzie zalany“. „Ależ kiedy niema żadnych napadów“ — powiada świat. — „Jak to niema?“ — wpięra Anglja i wtedy napewno najdalej po tygodniu, pisma pełne będą nowych napadów derwiszów. Mój panie, nie jesteśmy wszyscy ślepi, rozumiemy doskonale, jak się takie rzeczy urządza. Kilku beduinów, trochę kubanów, parę ślepych nabożów i jest napad“.

„Tak, tak — mówił amerykańnik — rad jestem, że dowiedziałem się prawdy w sprawie, która często niepokoiła mię. Ale właściwie, co Anglja na tem zyska?“

„Zyska kraj, proszę pana“.

„Rozumiem. Pan przypuszcza, dajmy na to, że tu jest korzystna taryfa na towary angielskie?“

„Nie, panie, ta jest wszędzie jednakowa“.

„A zatem. Układ z Wielką Brytanią?“

„Otóż to właśnie“.

„Czy naprzykład kolej, którą budują przez sam środek kraju, ta co biegnie brzegiem rzeki będzie korzystnym układem dla anglików?”

Pan Fardet był człowiekiem uczciwym, chociaż dał się ponosić fantazji“.

„Budowę kolei, proszę pana, prowadzi towarzystwo francuskie“.

Amerikanin nie wiedział już co myśleć.

„Jak się zdaje, nie bogatą mają zapłatę za swoje trudy“—zadecydował.—„Swoją drogą musi tu być jakieś choćby pośrednie parcie. Samo to, że Egipt zmuszony jest płacić i utrzymywać tych żołnierzy w Kairze“.

„Egipt! Nie, panie, to Anglja ich płaci.“

„Ha, sami muszą najlepiej znać swój interes. Ale zdaje mi się, że wzięli na siebie ogromne kłopoty, wzamian mają bardzo niewiele. Zresztą, jeżeli dobrowolnie podjęli się utrzymania porządku i obrony granic pod grozą ciągłej wojny z derwiszami, nie wiem co mógłby ktoś mieć przeciwko temu. Nie można chyba zaprzeczyć, że od czasu ich przybycia, dobrobyt kraju niezmiernie się podniósł. Dowodem budżet. Słyszałem również, że narzeczcie dzieje się sprawiedliwość biedniejszym warstwom, czego dotąd nigdy nie było.“

„Ale wogóle po co oni tu są? — krzyknął francuz cierpko.—Niech wracają na swoją wy-

spę. Nie możemy przecie tolerować ich na całym świecie.“

„Zapewne dla nas, amerykańców, którzy mieszkamy we własnym kraju, wydaje się rzeczą dziwną, jak narody europejskie wiecznie włożą na jakieś inne terytorjum, które jest nie dla nich. Łatwo nam zresztą o tem mówić, bo mamy jeszcze dużo miejsca, więcej niż nam potrzeba dla nas samych. Kiedy zaczniemy się już tłoczyć aż po brzegi, będziemy musieli i my zacząć anektować. Ale na razie właśnie tu, w Afryce północnej, Włochy siedzą w Abissynji, Anglja w Egipcie, Francja w Algierze.“

„Francja — krzyknął pan Fardet — Algier należy do Francji. Pan się śmieje! Mam zaszczyt życzyć panu dobrej nocy.“ Wstał z fotela i zeszedł do kajuty sztywny, dotknięty w swoim patryotyzmie.

ROZDZIAŁ II.

Młody amerykańczyk wahał się przez chwilę, czy ma zejść na dół i spisać wrażenia dnia, notował je bowiem dla siostry, która została w domu. Ale cygara pułkownika Cochrane'a i Cecila Browna migotały jeszcze w dalekim kącie pokładu, a młodzieniec rad był zasięgnąć wiadomości. Nie wiedział dokładnie jak przystąpić do rzeczy, wyręczył go w tem bardzo prędko pułkownik.

„Niech pan siada, prosimy — rzekł przysuwając krzesło w jego stronę. — U nas otrzyma pan odtrutkę. Widziałem, że Fardet kładł panu w uszy politykę“.

„Znam to jego pochylenie ramion, kiedy poufnym tonem wytacza zagadnienia wszechświatowej polityki“ — odezwał się wymuskany dyplomata. — „Ale co za świętokradztwo w taką noc jak dzisiejsza! Jakież nokturn srebrno-

blekitny mógłby podszepnąć ten księżyc, wstający nad pustynią! Pamiętam ustęp, w jednej z pieśni Mendelssohna, który zdaje się wyrażać to wszystko: uczucie ogromu, powtarzalność, wycie wiatru nad nieobjętą przestrzenią. Subtelniejsze wzruszenia, których słowo nie wyrazi, dają się raczej pochwycić strunom i harmonii.“

„Mnie się tu dziś wydaje bardziej pierwotnie i dziko, niż kiedybądź“ — rzucił uwagę amerykańczyk. — „Doznaję tego samego wrażenia nieubłaganej siły, jak na Atlantyku w mroźny ciemny dzień zimowy. Może sprawia to wiadomość, że znajdujemy się na samej granicy wszelkiego prawa i porządku. Jak daleko sądzi pan, iż jesteśmy od derwiszów, panie pułkowniku?“

„Na arabskim brzegu“ — odparł pułkownik — „mamy fortecę egipską w Sarras, jakieś czterdzieści mil na południe od nas. Poza nią ciągnie się przez sześćdziesiąt mil bardzo dzika okolica, a dopiero za nią placówka derwiszów w Akasheh. Za to na drugiej stronie nic nas od nich nie dzieli.“

„Abusir jest po tej stronie?“

„Tak jest. Dlatego wycieczka tam była zabroniona w zeszłym roku. Ale dziś jest spokojniej“.

„Co ich powstrzymuje od podchodzenia z tej strony?”

„Nic zupełnie” — odpowiedział Cecil Brown swoim sennym głosem. — „Nic, prócz strachu.”

„Zbliżyć się byłoby rzeczą całkiem prostą. Trudność leżałaby w odwrocie. Nie łatwo by im przyszło wycofać się, gdyby ich wielbłądy się pomęczyły, a załoga Wady Halfa puściła za nimi w pogoń na wypoczętych zwierzętach. Rozumieją to tak dobrze, jak i my i dlatego nie próbują”.

„Niezbyt to pewne liczyć na strach derwiszów” — zauważył Brown. — „Musimy uświadomić sobie, że nie kierują się oni temi samymi pobudkami, co inni ludzie. Wielu z nich lęka się śmierci, ale wszyscy bezwzględnie i niezachwianie wierzą w przeznaczenie. Są oni *reductio ad absurdum* wszelakiej bigoterji, — dowodem, jak ona nieomylnie prowadzi do zupełnego barbarzyństwa.

„Czy pan sądzi, że oni są naprawdę niebezpieczni dla Egiptu” — pytał amerykańcin. — „O ile słyszałem, panują w tej sprawie różne przekonania. Pan Fardet, naprzykład, nie zdaje się mniemać, jakoby groźba była poważna”.

„Nie jestem człowiekiem bogatym” — odpowiedział pułkownik po krótkim milczeniu — ale gotów jestem ręczyć wszystkim, co po-

siadam, że w razie wycofania się wojsk angielskich, derwisze za trzy lata znajdą się nad morzem Śródziemnem. Co w takim wypadku stałoby się z cywilizacją, co z setkami milionów, które włożono w ten kraj? Jaki los czekałby pomniki, na które cała ludkość patrzy jak na najświetniejsze pamiątki przeszłości?”

„Panie pułkowniku” — zawołał Headingly ze śmiechem — „przecież pan chyba nie przypuszcza, żeby ruszyli z posad piramidy?”

„Nie może pan przewidzieć, co by zrobili. Niema na świecie obrazoburców równych sfanatyzowanym mahometanom. Kiedy ostatni raz zaleli ten kraj, spalili bibliotekę aleksandryjską. Pan wie, że odtwarzanie ludzkiego oblicza sprzeciwia się literze Koranu. Posąg jest zawsze w ich oczach czemś bezbożnem. Co tych ludzi obchodzą uczucia Europy? Im bardziej zdołają je urazić, tem będą szczęśliwsi. Znikłyby sfinkse, kolosy, posągi w Abu-Simbel, jak w Anglii znikli święci pod ciosem żołnierzy Cromwella”.

„Przypuśćmy teraz — zaczął Headingly, jak zawsze spokojnie i z namysłem — że derwisze mogą zalać Egipt i przypuśćmy także, że wy, anglicy, możecie do końca stawiać im czoło, pytam, jaki cel macie kłaść w to tysią-

ce dolarów i życie tylu waszych ludzi? Jaką korzyść wyciągniecie stąd, większą niż Francja, Niemcy, czy inne państwa, które nie ryzykują i nie wydają grosza?”

„Wielu anglików zadaje sobie to samo pytanie”—zauważył Cecil Brown.— „Mojem zdaniem dość długo byliśmy policjantem całego świata. Strzeżliśmy mórz od piratów i handlarzy niewolników. Dziś strzeżemy Egiptu od derwiszów, rozbójników i wszelakich zakusów na cywilizację. Niema na tej planecie zwarjowanych księży, szarlatanów-lekarzy, czy innego gatunku podżegaczy, którzyby nie zaczęli od skubnięcia najbliższego oficera angielskiego. Kiedyś i to się musiało ostatecznie sprzykrzyć. Jeżeli Kurdowie buntują się w Azji Mniejszej, świat zaraz pyta, dlaczego Wielka Brytania nie trzyma ich w ryzach? Jeżeli wybuchą rokosz w Egipcie, czy w Jehod, czy w Sudanie, to zawsze Wielka Brytania ma go uśmierzać. A wszystko przy akompaniamencie złorzeczeń, jakie słyszy policjant, kiedy dostanie w ręce opryszka. Zbieramy twarde razy, ale żadnej wdzięczności, więc po co to robić? Niech Europa sama pierze swoje brudy”.

„Niezupełnie zgadzam się z panem”—odezwał się pułkownik, zakładając nogę na nogę i pochylając się naprzód zdecydowanym ru-

chem człowieka, który ma jasno określone pojęcia — „i sędzę, że bronić takiego stanowiska, znaczy mieć bardzo ciasne wyobrażenie o naszych narodowych obowiązkach. Według mnie poza interesami państwowemi, dyplomacją i t. d. istnieje jakaś wielka siła kierownicza — opatrność — i Ona to w rzeczy samej wydobywa na jaw to, co tkwi najlepszego w każdym narodzie i zużytkowuje dla ogólnego dobra. Jeżeli jakiś naród przestaje odpowiadać swemu zadaniu, czas jest, aby poszedł do szpitala na parę stuleci, jak Hiszpanja lub Grecja, stracił bowiem żywotność. Ludzie i narody nie przychodzą na ten świat po to tylko, aby czynić, co im jest przyjemne lub pożyteczne. Często są powołane do znośzenia rzeczy najcięższych i najmniej korzystnych, ale jeżeli tak być powinno, nie mają prawa się wyłamywać“.

Headingly potakiwał głową twierdząco.

„Każdy naród ma swoją misję. Niemcy przodują na polu myśli oderwanej, Francja literatury, sztuki i wdzięku. Ale my i wy, bo ludzie, mówiący po angielsku idą zawsze pod jeden nagłówek, choćby *New York Sun* jak najbardziej rzucił się przeciwko temu, my i wy w naszych najlepszych jednostkach jesteśmy nosicielami wyższych pojęć moralnych i po-

czucia obowiązków społecznych, niż je spotykamy u innych ludów. Otóż to są dwie zalety konieczne do kierowania słabszymi rasami. Tu nic nie znaczy abstrakcyjna myśl albo artystyczny wdzięk, tylko to jedno poczucie moralne, które utrzymuje w równowadze szale sprawiedliwości i samo nie ulega żadnej skazie czy zepsuciu. Oto jak rządzą Indjami. Wszliśmy tam przez pewnego rodzaju prawo przyrodzone, jak np. powietrze wpływa w próżnię. Wszędzie na świecie, wbrew własnym najbliższym interesom i powziętym zamierzeniom, jesteśmy wciągani w tego rodzaju sprawy. To samo i was czeka. Nacisk przeznaczenia zmusi was do sterowania całą Ameryką od Meksyku do Hornu“.

Headingly świsnął.

„Nasi Jingowie *) cieszyliby się, słysząc pana, panie pułkowniku“ — rzekł. — „Wybraliby pana do senatu i uczynili członkiem Komitetu Spraw Zagranicznych.“

„Świat jest mały i z dniem każdym maleje. Stanowi jeden organizm i odrobina gangreny wystarczy, by zabić całość. Niema miejsca na nieuczciwe, gnuśne, tyrańskie, nieodpowie-

*) Nacjonałści.

działne rządy. Póki istnieją, będą zawsze źródłem rozruchów i niebezpieczeństw, ale są liczne szczepy, jak się zdaje tak niezdolne do rozwoju, że nigdy nie można będzie liczyć na wyłonienie z nich dobrego rządu. Co zatem czynić należy? Dawniej nakazem Opatrzności było w takich razach tępienie ich przez jakiś mocniejszy szczep. Atylla czy Tamerlan obcinałi słabsze gałęzie. Dzisiaj mamy bardziej miłosiernych władców choćby już tylko dla świadectwa dalej posuniętej kultury. Weźmy choćby Chanaty w Azji środkowej, albo Indje pod protektoratem Anglii. Jeżeli cel ten ma być spełniony, a my jesteśmy najbardziej do niego powołani, uchylenie się uważałbym za tchórzostwo i zbrodnię“.

„Ale kto rozstrzyga, czy dany wypadek wymaga waszej interwencji?“—oponował amerykańkanin. — „Jakieś zaborcze państwo pod tym pretekstem zagarnęłoby wszystkie inne kraje“.

„Wypadki, nieubłagane, nieuniknione wypadki, one to decydują. Weźmy jako przykład to, co stało się z Egiptem. W r. 1881 nie było myśli bardziej obcej naszemu narodowi, jak wtrącanie się w sprawy egipskie, a jednak rok 1882 dał nam ten kraj w posiadanie. Nie było wyboru w łańcuchu wydarzeń. Rzeź na ulicach Aleksandrji i ruch zbrojny w celu wypę-

dzenia naszej floty — która stała tu, rozumie pan, wierna uroczystym zobowiązaniom traktatowym — doprowadziły do bombardowania. Bombardowanie pociągnęło za sobą wysadzenie wojsk na ląd dla obrony miasta przed zniszczeniem. Wysadzenie wojsk spowodowało rozszerzenie operacji i tak jesteśmy tutaj i mamy kraj w ręku. W czasie rozruchów prosiliśmy i błagali Francję i inne państwa o pomoc w przywracaniu ładu, ale wszyscy opuścili nas, gdy trzeba było pracować, chociaż dzisiaj gotowi są przeszkadzać nam i lekcje dawać. Kiedy chcieliśmy się wycofać z tej awantury, przyszedł ów dziki ruch derwiszów i zmuszeni byliśmy wejść głębiej niż dotąd. Nigdy nam cała ta sprawa nie była do czegośkolwiekby potrzebna, ale skoro już się to stało, musimy załatwić ją jak sumienni pracownicy. Zaprowadziliśmy tu sprawiedliwość, czystość w administracji i opiekę nad biedniejszą ludnością. W ciągu ostatnich dwunastu lat widzimy większy postęp, niż od czasu najścia muzułmanów w siódmym wieku. Z wyjątkiem paruset ludzi, którzy włożyli tu swój kapitał, Anglja pośrednio, ani bezpośrednio, nie wyciągnęła stąd grosza i nie przypuszczam, aby pan znalazł w historii przykład szczęśliwszego i bardziej bezinteresownego postępowania“.

Headingly puszczał w zamyśleniu dym z papierosa.

„Koło nas jest dom nad zatoką Backa w Bostonie, który zasłania nam cały widok“ — odezwał się. — „Stare krzesła sterczą kulawe na werandzie, gonty poodpadały, a ogród zarasta chwastami, jednak nie wiem, czy sąsiedzi postąpiliby właściwie, wpadając tam i gospodarując jak u siebie“.

„Nawet gdyby się paliło?“ — zapytał pułkownik.

Headingly roześmiał się i wstał z fotela.

„Niema obawy, panie pułkowniku, wobec przewidywań doktryny Monroego“ — odpowiedział. — „Przychodzę do przekonania, że Egipt współczesny jest równie ciekawy jak starożytny i że Ramzes Drugi nie był ostatnim żywym człowiekiem w tym kraju“.

Obaj Anglicy podnieśli się, ziewając.

„Tak, jest to kapryśny wyskok losu, który zesłał mieszkańców małej wyspy na Atlantyku do rządu państwem Faraonów“ — rzucił Cecil Brown. — „Przeminiemy i my z kolei i nie zostawimy śladu wśród tyłu plemion, które tu władały, bo Anglo-Sasi nie mają zwyczaju ryc swych czynów po skałach. Śmiało mogę powiedzieć, że skanalizowanie Kairu będzie najtrwalszą po nas pamiątką, o ile za parę tysięcy lat nie spróbują ludzie dowieść, że to było

dzieło królów Hyksów. Ale oto towarzystwo z brzegu“.

Z dołu dobiegał miękki irlandzki akcent pani Belmont i głos jej męża głuchy, jak strzał karabinu. Tłusty ksiądz Stuart z Birminghamu ubijał kwestję piastrow z krzykliwym oślarzem, a inni dorzucali swoje trzy grosze. Potem gwar umilkł, towarzystwo z pokładu zeszło z drabinki, rozległy się pożegnania, trzaskanie drzwiami i mały stateczek pogrążył się w ciszę, mrok i nieruchomość w cieniu wysokiego brzegu Halfy. A poza tym jedynym punkcikiem cywilizacji i komfortu leżała beskreśna, dzika, wiecznie jednaka pustynia, słomianej barwy, upstrzona czarnymi cieniami pagórków i podobna do widzenia sennego w blasku księżyca.

ROZDZIAŁ III.

„Stój! cofaj!” — wołał, przekrecając wyrazy angielskie miejscowy pilot do europejskiego maszynisty.

Statek grzęznął dziobem w miękkim brunatnym ilesie, a prąd niósł go wzdłuż wybrzeża. Spuszczono długą drabinkę i sześciu roslących żołnierzy sudańczyków, stanowiących eskortę *Koroska*, ześliznęło się po niej. Ich jasno błękitne naszywane złotem mundury żuawów i połowe żółte z czerwonym furazerki ślicznie błyszcząły w świetle poranku. Wyżej, na krańcu wybrzeża, stały długim rzędem osły i powietrze pełne było krzyków poganiaczy. Każdy z nich ostrym, przenikliwym głosem wynosił zalety swojego zwierzęcia, ganiąc przynawary pozostałych.

Pułkownik Cochrane i p. Belmont rozmawiali na przodzie statku, obaj w ogromnych

z welonami białych kapeluszach wycieczkowych. Panna Adams z siostrzenicą stały opodal, oparte o poręcz.

„Żałuję bardzo, że żona pańska z nami nie jedzie“ — mówił pułkownik do Belmonta.

„Zdaje mi się, że musiała dostać wczoraj porażenia słonecznego. Ma silny ból głowy“.

Głos jego był mocny i gruby, jak jego osoba.

„Chętnie zostałabym przy niej“ — wmieszała się malutka stara panna z Bostonu — „ale słyszę, że pani Schlesinger obawia się długiej jazdy konno i że ma jakieś listy, które musi dziś jeszcze wysłać, więc żona pana nie będzie sama“.

„Bardzo pani dobra, doprawdy. Zresztą jak pani wie, o drugiej wszyscy będziemy z powrotem“.

„Czy napewno?“

„Musi tak być, skoro nie bierzemy ze sobą śniadania, a zagłodzilibyśmy się inaczej“.

„Myślę, że kieliszek reńskiego i woda sodowa będą nam w każdym razie smakowały“ — odezwał się pułkownik. — „Kurz pustyni nadaje smak najgorszemu winu“.

„A teraz, panie i panowie“ — zawołał wysuwając się naprzód Manzor, dragoman, trochę podobny do księdza, dzięki rozwianej sukni i sta-

rannie wygolonej twarzy — „musimy wyruszyć w porę, aby mózdz wrócić przed spieką południową“. — Ojcowskim spojrzeniem potoczył po gromadce turystów.

„Niech pani weźmie zielone okulary“ — przestrzegął p. Adams — „na pustyni jest jaskrawe bardzo światło. Dla ks. Stuarta wyszukałem pysznego osiołka, zawsze go rezerwuję dla pań o większej tuszy. Mogą państwo dziś nie brać biletów wejścia. A teraz proszę“.

Jak jakiś dziwaczny korowód, towarzystwo zaczęło spuszczać się gęsiego po wąskiej drabince na ciemny osypujący się brzeg. Otwierał pochód p. Stephens, cienka, sucha poważna figurka, w angielskim słomkowym kapeluszu. Z pod pachy wзираł mu czerwony Baedeker, w rękę trzymał świstek papieru do notatek, jakby to były urzędowe dokumenty. Kiedy wdrapali się na brzeg, wziął pannę Sadie z jednej strony pod rękę, ciotkę jej z drugiej, Baedeker rozwiany potoczył się do nóg dziewczęcia, którego czysty i jasny śmiech zadzwonił w rannem powietrzu. Dalej postępowali pułkownik Cochrane i p. Belmont, brzegi ich olbrzymich kapeluszy stykały się, gdy rozprawiali o wyższości Mauserów, Lebelów czy Lee-Metfordów. Za nimi szedł Cecil Brown, ospały, cyniczny, pełen rezerwy. Książdz gramolił

się, sapiąc, na brzeg, i sytał conceptami na temat swojej ułomności.—„Należę do ludzi, którzy wszystko swoje niosą przed sobą”—mówił ogarniając żalosnem spojrzeniem swą okrągłość i ciesząc się, zasapany, własnym dowcipem. Na samym końcu ciągnęli: Headingly, szczupły, wysoki, trochę zgarbiony od pracy przy biurku, i Fardet, poczciwy, choć wiecznie gotowy do dysput i wyolbrzymiający byle głupstwo, paryżanin.

„Widzi pan, mamy dzisiaj eskortę”—szepnął do towarzysza.

„Zauważyłem“.

„Ba!“—zawołał francuz, rozkładając ręce ruchem naigrawania się—„równie dobrze mogliśmy jechać pod eskortą z Paryża do Wersalu. Wszystko to jest potrzebne do gry, proszę pana. Nikogo nie oszuka, ale jest potrzebne do gry. *Pourquoi ces drôles de militaires, drogman, hein?*“

Rola dragomana wymagała, aby umieć każdemu odpowiedzieć na wszystkie pytania. Rozejrzał się przezornie dokoła, dla upewnienia się, że nikt z anglików nie usłyszy.

„*C'est ridicule, monsieur*“ — rzekł wzruszając ramionami—„*Mais que voulez vous? C'est l'ordre officiel egyptten*“.

„*Egyptien! Paht anglais, anglais toujours anglais*“ — wykrzykiwał gniewnie francuz.

Korowód stał się teraz bardziej jeszcze dziwaczny, przedzierzgnął się bowiem odrazu w korowód jeźdźców, ostro zarysowany na tle ciemnego błękitu egipskiego. Ludzie, którzy nigdy w życiu nie jeździli konno, muszą tu w Egipcie próbować sił swoich, a kiedy osły puszczą się klusem, powstaje jedyny w swoim rodzaju obraz; rozwiane welony, zaciśnięte kurczowo ręce, zwinięte w kabłąk, podskakujące postaci i pełne przerażenia twarze. Belmont chwiejąc się swym czworograniastym kądłubem na małym białym osiołku, wymachiwał chustką żonie, która wyszła na salonowy pokład *Koroska*. Cochrane jechał sztywny po wojskowemu, z rękami nisko, a z podniesioną głową, z piętami w dół. Jadący przy nim młody oksfordczyk, przypatrywał mu się z pod ciężkich powiek, jak gdyby pustynię uważał za niegodną uwagi i miał pewne wątpliwości co do ustroju wszechświata. Reszta towarzystwa ciągnęła wzdłuż wybrzeża, każdy inaczej trzęsiony i wyszturgiwany, a za każdym osłem biegł opalony, hałaśliwy poganiacz. Oglądając się, mogli jeszcze dostrzedz mały, ołowianego koloru parowczyk i powie-

wającą na pokładzie chusteczkę pani Belmont. Obok nich toczyła się szeroka, płowa rzeka, wijąc się w długich skrętach. O pięć mil sześciennę białe domki na tle czarnych skał, znaczyły pierwsze podmiejskie zabudowania Wady Halfa, skąd wyruszyli dziś rano.

„Boże mój, jak tu jest cudownie“ — wykrzykiwała radośnie Sadie. — „Mój osiołek biegnie truchcikiem, a siodło mam poprostu eleganckie. Czy widział pan kiedy coś równie miłutkiego, jak te paciorki i ozdoby na jego szyi? Musi pan napisać *memo, re osioł*. Czy to nie jest najpoprawniejszy angielski styl prawniczy? •

Stephens spojrział na śliczną, rozbawioną, trochę chłopięcą twarzyczkę, pod kokieteryjnym słomkowym kapelusikiem i chęć go wzięła odpowiedzieć jej, jej własnym stylem, że jest najcudowniejsza ze wszystkich. Ale drżał na myśl, że może ją obrazić, a tem samem położyć kres ich miłemu, swobodnemu stosunkowi. Komplement jego rozplynał się w uśmiech.

„Bije od pani szczęście“.

„A kto by mógł nie czuć się szczęśliwy w tem jasnym, czystem powietrzu, pod tem błękitnem niebem, wśród sypkich złotych pias-

ków i na grzbiecie miłutkiego osiołka? Mam wszystko, co mi potrzebne do szczęścia“.

„Wszystko?“

„Wszystko, czego pragnę w tej chwili“.

„Myślę, że pani nigdy nie zaznała, co znaczy smutek“.

„O! kiedy się czuję naprawdę nieszczęśliwa, nie potrafię tego wyrazić. W kolegium Smitha siadywałam po całych dniach i płakałam, a inne dziewczynki wprost warjowały, żeby się dowiedzieć, co mi jest i dlaczego im nie mówię, a naprawdę było tak, że ja sama właściwej przyczyny nie znałam. Pan wie, jak to bywa, kiedy najdzie na człowieka jakby jakiś wielki cień nie wiedzieć skąd, ale musimy mu uleść i wtedy czujemy się nieszczęśliwi“.

„Jednak prawdziwego powodu nigdy pani nie miała?“

„Nie, proszę pana. Całe życie tak mi się dotąd układało, że kiedy się oglądam, nie wiem, czy miałam kiedykolwiek powód do rzeczywistego zmartwienia“.

„Życzę pani, panno Sadie, z całego serca, żeby pani mogła to samo powiedzieć, kiedy będzie w wieku swojej cioci. Zdaje się, że nas właśnie woła“.

„Panie Stephens, niech pan da batem
mojemu chłopakowi, jeżeli jeszcze raz dotknie
osła“ — wołała p. Adams, kiwając się na wy-
sokim chuderlawym wierzchowcu.— „Hej, Man-
zor, proszę powiedzieć temu smarkaczowi, że
nie znoszę pastwienia się nad zwierzętami,
że powinien się wstydzić. Tak, jesteś mały łotr,
słyszysz? Wyszczera na mnie zęby, jak na
jakieś reklamie Kalodontu. Jak pan myśli,
p. Stephensie, gdybyśmy temu czarnemu żołnie-
rzowi zrobili parę wełnianych pończoch, czy
wolno by mu było je nosić? Biedak ma ban-
daże na nogach“.

„To są jego owijaki, proszę pani“ — wmie-
szał się pułkownik Cochrane, obracając się
ku mówiącej. — „Zauważyliśmy w Indyach, że
jest to najlepsze zabezpieczenie nóg w czasie
pochodów. O wiele praktyczniejsze od poń-
czoch“.

„Co też pan mówi! Przypomina mi zu-
pełnie nogi chorego konia. Ale to szyk mieć
ze sobą żołnierzy, chociaż p. Fardet wmawia,
że niema śladu niebezpieczeństwa“.

„To jest tylko mój osobisty pogląd, pro-
szę pani“ — wtrącił szybko francuz. — „Pan puł-
kownik Cochrane może myśli inaczej“.

„Pan Fardet ma inne zdanie, niż oficerowie,
którzy czują się odpowiedzialni za bez-

pieczeństwo granic"—odparł chłodno pułkownik.—„W każdym razie wszyscy zgodzimy się przynajmniej na to, że dodają ogromnej malowniczości scenie“.

Pustynia po prawej ręce leżała w długich falach piasku, jak omiał, wygłaskany przez jakieś zapomniane, pierwotne morze. Z grzbie-tu takiej fali roztaczał się widok na strome szczyty ciekawych wulkanicznych pagórków, w które obfituje brzeg libijski. Z wydm uka-zywał się raz po raz wysoki, w niebieskim mundurze żołnierz, idący szybko z karabinem w rękę. Przez chwilę smukła marsowa sylwetka rysowała się na tle nieba, potem zapa-dała w wąwóz i nikła, gdy tymczasem o ja-kieś sto jardów za nią wynurzała się następ-na, aby widnieć przez chwilę i przepaść.

„Skąd oni mogą pochodzić?“ — zapytała Sadie, przypatrując się idącym.—„Z koloru są zupełnie podobni do murzynów po hotelach w Stanach Zjednoczonych“.

„Owszem, warto się nad tem zastanowić“—rzekł Stephens, który nigdy nie czuł się tak szczęśliwy, jak kiedy udawało mu się uprze-dzić jakieś życzenie ślicznej amerykanki.—„Zro-biłem w tej sprawie krótką notatkę dziś rano w bibliotece *Koroska. Re...* t. j. co do czar-nych żołnierzy znalazłem wiadomość, że nale-

żą do 10-go bataljonu armji egipskiej. Rekrutują się z pomiędzy dinkasów i szilluków, dwu szczepów murzyńskich, osiadłych na południe od kraju derwiszów, niedaleko równika“.

„Więc w jaki sposób mogę przejść pomiędzy derwiszami?“ — spytał niespodzianie Headingly.

„Śmiem twierdzić, że pod tym względem niema wielkich trudności“ — odezwał się p. Fardet, mrugając w stronę amerykanina.

„Starsi pochodzą z resztek dawnych czarnych bataljonów. Niektórzy służyli pod Gordonem w Chartumie i mogą pokazać medale. Jest i wielu dezertarów z armji Mahdi'ego“ — objaśniał pułkownik.

„Póki nie są do niczego potrzebni, wyglądają bardzo elegancko w swoich niebieskich bluzach“ — odezwała się p. Adams. — „Ale niechby się, broń Boże, coś stało, napewno wolelibyśmy, żeby byli mniej strojni, a za to trochę bielsi“.

„Ja tam nie jestem o tem tak zupełnie przekonany“ — rzekł pułkownik. — „Widziałem ich w bitwach i ręczę pani, że najwyższe mam do nich zaufanie“.

„Polegam na pana słowach, choć sama nie wypróbowałam“ — odparła p. Adams to-

nem przeświadczenia, który wszystkich rozśmieszył.

Do tej pory droga ich biegła brzegiem rzeki, wijącej się po lewej ręce głębokim i mocnym nurtem od górnych katarakt. Tu i owdzie z nad rwących fal sterczał czarny, oślizgły złom kamienny, zbryzgany pianą. Wyżej bielila się skotłowana woda, a głązy przechodziły w wurwiste opoki, z za których wychylał się dziwny, półkolisty upłaz. Bez pomocy dragomana można się było domyśleć, że to był właśnie słynny słup graniczny, do którego zdążali. Dzielił ich jeszcze od niego kawałek równej drogi i osły puściły się kłusa. Dalej grunt usiany był rzadka skałami czarnymi w pomarańczowe plamy, stały wśród nich utracone pnie filarów, a ułamek rzeźbionego muru w szarości swojej i ogromie wyglądał raczej na dzieło przyrody, niż człowieka. Spotniały dragoman zwłóknął się z osła i czekał w spódnicy swojej i marynarce, aż całe towarzystwo nadjedzie.

„Panie i panowie“ — zaczął wreszcie to-
nem urzędnika, który przy licytacji próbuje
jak najwyżej podbić cenę — „świątynia ta jest
wspaniałym zabytkiem z czasów osiemnastej
dynastji. Mamy tu znak Tutmesa Trzeciego —
wskazał spicrutą pierwotne, ale głęboko rżnięte

hieroglify na murze. Żył tysiąc sześćset lat przed Chrystusem i świątynię tę wzniesiono na pamiątkę jego zwycięskiej wyprawy do Mezopotamji. Widzimy jego dzieje od wypadków, poprzedzających jeszcze jego urodzenie, aż do dnia, kiedy powraca z jeńcami przytroczonymi do rydwanu. Macie go tu państwo w koronie Dolnego i Górnego Egiptu, jak składa ofiarę bogu Ammon-ra. Przygnał przed sobą swoich jeńców i ucina wszystkim prawą rękę. Tam w rogu zobaczycie mały stos — to same prawe ręce“.

„No, przyznam się, że nie chciałabym tutaj być w owych czasach“ — zdecydowała panna Adams.

„Dlaczego? Przecie nic się nie zmieniło“ — zauważył Cecil Brown. — „Wschód pozostał Wschodem. Jestem pewny, że o sto mil od tego miejsca, a może znacznie bliżej...“

„Daj pan pokój“ — szepnął pułkownik — i towarzystwo rozsypało się wzdłuż muru. Wszyscy spojerali do góry z pod wielkich, zsuniętych na tył głowy kapeluszy. Słońce za ich plecami rzucało miedziany poblask na szarą budowlę i malowało na niej ostre cienie ich postaci, zlewając je z ponuremi wojownikami, o prostych nosach i czworokątnych ramionach, ze sztywnemi postaciami bóstw,

które zamykały scenę. Potężny cień księdza Johna Stuarta z Birminghamu pokrywał obu razem: pogańskiego władcę i boga, któremu on cześć oddawał.

„A to co takiego?” — zapytał z nagłą kapłan zasapanym głosem, pokazując coś żółtą laską z Assuanu.

„Hipopotam”, — odrzekł dragoman, a wszyscy turyści uśmiechnęli się, bo rzeźba miała pewne podobieństwo do samego księdza Stuarta.

„Ależ on nie jest większy od prosiaka” — protestował duchowny. — „Widzicie, że król bez trudu przebija go włócznią”.

„Zrobiono go małym dlatego, że dla króla był głupstwem” — tłumaczył dragoman. — „Państwo zauważą, że wszyscy jeńcy ledwie sięgają królowi do kolan. A to nie przez to, żeby był o tyle wyższy wzrostem, ale że był o wiele potężniejszy. Widzicie, iż przerasta swego wierzchowca, ponieważ jest królem, a koń jest tylko koniem. Tak samo i te małe kobiety, które państwo dostrzegają tu i owdzie, to jego pospolite, małe żony”.

„Ale za to” — krzyknęła z oburzeniem p. Adams, — „gdyby kto wyrzeźbił duszę tego króla, trzebaby było patrzeć na nią przez

szkło powiększające. Jakże mógł pozwolić w ten sposób przedstawić swoje żony!

„Gdyby dziś tak zrobił, proszę pani” — odezwał się Francuz — „musiałby srożej walczyć, niż wtedy w Mezopotamji. Czas przyniósł odwet. Może blizki już jest dzień, w którym będziemy oglądali wizerunki wielkiej potężnej żony i pospolitego, małego męża, *Hein?*”

Cecil Brown i Headingly wysunęli się tymczasem, bo zdawkowe komentarze dragomana i pusta gadanina turystów psuły im cały nastrój. Obserwowali w milczeniu, jak zabawna gromadka w kolosalnych kapeluszach i zielonych welonach posuwała się, oblana jasnym blaskiem wzdłuż sędziwych murów. Nad nimi dwa czubate dudki trzepotały skrzydełkami, świegocąc w rozwalonym pylonie.

„Czy to nie świętokradztwo?” — przemówił nareszcie oksfordczyk.

„Cieszę się, że i pan to wyczuwa, bo mnie to zawsze psuje krew” — odparł z przejęciem Headingly. — „Sam nie zdaję sobie jeszcze jasno sprawy, jak należy przystępować do tych rzeczy, czy wogóle należy do nich przystępować, ale czuję, że nie tak się to powinno odbywać. Wogóle biorąc, wolę ruiny, których nie widziałem, od tych, które znam”.

Młody dyplomata błysnął swoim szczegól-

nym, ślicznym uśmiechem, który jednak zaraz zagasł w zwykły, zblazowany wyraz.

„Kupiłem sobie mapę,“ — mówił Amerykanin — „a niekiedy, gdzieś na końcu świata, w samym sercu bezwodnej, bezdrożnej pustyni wyszukuję naznaczone „ruiny“, albo „szczątki świątyń“. Naprzykład taka świątynia Jowisza Ammona jeden z najszacowniejszych chramów świata, znajdowała się zewsząd o setki mil. To są te opuszczone, niewidziane zwaliska, niezmiennie przez stulecia, które przemawiają do wyobraźni. Ale jeżeli pokazuję bilet przy drzwiach i wchodzę, jak na przedstawienie Barnuma, cały romantyczny urok rozwiewa się na poczekaniu“.

„Stusnie“ — przytaknął Cecil Brown, wzdając po pustyni ciemnym, sennym okiem. — „Gdyby można było przyjść tu samemu, natknąć się na tę obalinę zupełnie przypadkowo i w jej pomroku w niezamąconej ciszy wpatrywać się w te pocieszne rzeźby, byłby człowiek zachwycony. Padłbym wtenczas na kolana w podziwie i grozie. Ale kiedy Belmont kúrzy swoją psią fajkę, Stuart sapie, a panna Sadie się śmieje...“

„I ta sroka dragoman recytuje swoją rolę“ — dorzucił Headingly. — „Chciałbym się skupić, zastanowić i nigdy nie dochodzę do tego.“

Byłem gotów zabijać, kiedy znalazłem się u stóp Wielkiej Piramidy i nie mogłem mieć ani chwili dla siebie, bo zaraz zaczęli mnie pchać na szczyt. Kopnąłem któregoś z tych ludzi tak, że jednym susem znalazł się na wierzchołku. Ale niech pan pomyśli: odbyć całą drogę z Ameryki dla obejrzenia piramid, a później nie mieć nic lepszego do roboty, jak w ich obliczu kopać arabów“.

Oksfordczyk uśmiechnął się po swojemu, uprzejmie z wyrazem znużenia: — „Już idą“ — rzekł i obaj zeszli z drogi, aby znaleźć się na końcu zawadyackiej procesyi.

Droga ich biegła teraz pośród wielkich naniesionych złomisk w cieśni stromych pagórków. Zygmatowata ścieżka przeciskała się między krzesanicami, a za każdym skretem zamykały ją z tyłu czarne i fantastyczne wzgórza, podobne do stert żużli u szybu kopalni. Milczenie ogarnęło całe towarzystwo, nawet jasna twarzyczka Sadie dostroiła się do grozy przyrody. Żołnierze podeszli teraz do jeźdźców i postępowali tuż przy nich, skrzypiąc butami po spalonej ziemi. Pułkownik Cochran i Belmont znaleźli się znowu na czele orszaku.

„Wie pan“ — mówił pierwszy półgłosem —

„może mię pan uważać za warjata, ale nie podobą mi się to wszystko“

Belmont zaśmiał się ironicznym, urwanym śmiechem.

„Tak mogło wyglądać w salonach *Koroska*, ale teraz ma się wrażenie, że bujamy gdzieś w przestworzu“—odpowiedział. — „Zresztą pan wie, że co tydzień przyjeżdża tu partja wycieczkowiczów i nic się jeszcze nigdy złego nie przytrafiło“.

„Nie mam nic przeciwko temu, aby ryzykować, jeżeli idę na wojnę,“—ciągnął dalej pułkownik.—„Jest to wówczas prosta sprawa. Ale jeżeli są kobiety i taka bezbronna gromadka, jak nasza, rzecz przedstawia się naprawdę groźnie. Rozumie się, że szansa jest jedna na sto, ale niechby się coś stać miało, nie mogę wprost myśleć o tem. Zdumiewające przytem jest to ich zupełne niezdawanie sobie sprawy z jakiegokolwiek niebezpieczeństwa.“

„Owszem, dosyć lubię angielską modę, o ile idzie o wycieczki“—mówiła za ich plecami Sadie Adams do Stephensa. — „Ale co do tualet wizytowych, uważam, że francuzi mają większy szyk od anglików. Wasz krój jest prostszy i surowszy, niema w nim tego wdzięku w dodatkach, przybraniach, wykończeniu i tak dalej“.

Pułkownik uśmiechnął się do Belmonta.

„Ona jest w każdym razie zupełnie dobrej myśli” — rzekł. — „Naturalnie, tego, co mówię panu, nie powiedziałbym nikomu innemu i chcę wierzyć, że wszystko okaże się zupełnie nieuzasadnione”.

„Co do mnie, mogę sobie wyobrazić czyhające bandy derwiszów,—odparł Belmont— ale co mi zupełnie nie mieści się w głowie, to żeby mieli się znaleźć przy skale pulpitowej, akurat dzisiaj, kiedy my tu jesteśmy”.

„Jeżeli zważymy, że nasze przybycie było zapowiedziane, że zawsze na tydzień z góry wiadomy jest program wycieczek i miejsce, gdzie nas można przyłapać, to nie widziałbym w tem żadnego niezwykłego zbiegu okoliczności”.

„W każdym razie bardzo to małe prawdopodobieństwo” — odparł Belmont z przekonania, w gruncie jednak rad był, że żona jest bezpieczna i spokojna na statku.

Skały urwały się i nasza gromadka wypłynęła znowu na otwartą przestrzeń żółtych, zbitych piasków, które dochodziły aż do samych stóp grodzącej drogę, stożkowatej góry. „*Ay-ah! ay-ah!*” — wrzeszczeli poganiacze, okładając kijami boki osłów, które porwały się galopem przez kawałek równej drogi. Dopiero, gdy znaleźli się u ujścia ścieżki,

biegnącej zakosami pod górę, dragoman dał znak, aby się zatrzymać.

„Teraz, panie i panowie, jesteśmy przy pulpitowej skale Abu-Sir. Za chwilę ze szczytu ucieszycie oczy panoramą, niezwykle urodzajną. Ale wpięrw zechciejcie zauważyć, że cały skalisty stok góry pokryty jest imionami wielkich ludzi, którzy w podróżyach swoich tędy przechodzili, a niektóre z tych imion są starsze od ery chrześcijańskiej“.

„Czy jest i Mojżesz?“ — zapytała p. Adams.

„Ciociu... co też ciocia opowiada“, — krzyknęła Sadie.

„Moje dziecko, był w Egipcie, był wielkim człowiekiem, mógł tędy przechodzić“.

„Mojżesz bardzo możliwe, że tu był zapisany, tak jak i Herodot“ — rozstrzygnął z powagą dragoman. — „Ale obaj dawno się już zatarli. Zato mogą państwo widzieć na skale Beizoniego. Wyżej jest Gordon. Prawie niema sławnego nazwiska w Sudanie, któregoście tu nie znaleźli. A teraz, za pozwoleniem państwa, pożegnamy nasze osiołki i pójdziemy tą ścieżką, a ze szczytu przypatrzycie się rzece i pustyni“.

Po dwu czy trzech minutach wspinania znaleźli się na ścietym, półkolistym wierzchoł-

ku. Pod nimi, nieco dalej, sterczała czarna prostopadła ściana, wysoka na sto pięćdziesiąt stóp, wrosła w huczącą, pręgowaną pianami rzekę. Ryk wód i ich głuchy pomruk, gdy skaczą przez zaryte w korycie głązy, niósł się przez skwarne, nieruchome powietrze. W górę i w dół od katarakty rzeka rozlewała się na jakieś ćwierć mili i płynęła głębokim bardzo a wartkim prądem, od czasu do czasu tylko czernił się na niej lśniący wir albo biała wytryskiem piana. Drugi brzeg, przeraźliwie dziki, jeżył się czarnymi głazami, okruciami złomów, jakie nanosiła woda w czasie wylewów. Nigdzie nie widać było śladu siedzib i życia ludzkiego.

„Po tamtej stronie“ — mówił dragoman, wskazując szpicrutą w kierunku wschodnim — „biegnie droga wojskowa z Wady Halfa do Sarras. Sarras leży na południe pod tym czarnym pagórkem. Dwie niebieskie góry, które państwo widzą w oddali, są już w Dongola, przeszło na sto mil od Sarras. Droga żelazna ma czterdzieści mil długości, ale często psuli ją derwisze, którzy ze szczególną przyjemnością robią z szyn dzidy. Tak samo niszczą wiecznie druty telegraficzne. Teraz, jeżeli państwo zechcą się obrócić, wyjaśnię, co widać z tamtej strony“.

Był to widok, który, raz dostrzeżony, musi już na zawsze pozostać w pamięci. Taki przestrwór dzikiej nieprzerwanej pustyni mógłby być raczej fragmentem jakiejś zimnej i wypalonej planety, ale nie naszej pełnej i dobrotliwej ziemi. Ciągnęła się ona bez końca i bez końca, aż gdzieś, na niezmierzonej dali tonęła w miękkiej fioletowej mgle. Na bliższym planie piasek był połyskliwie złoty i oślepiająco jaskrawy w słońcu. Jak porwany łańcuch stało na nim sześciu dzielnych żołnierzy, opartych nieruchomo o karabiny; wszyscy rzucali cienie tak czarne, jak oni sami. Poza złotą równiną leżał zwał owych czarnych żużli, z zygzakami żółtych piaszczystych rozpadlin. A jeszcze dalej wynurzały się wyższe i bardziej fantastyczne wierzchołki, za nimi jeszcze wyższe i tak jedne pasma przezierały z za drugich, aż po ową fioletową sreżogę. Żadne ze wzgórz nie było bardzo wyniosłe, jakieś paręset stóp najwyżej, ale ich dzika, zębata piła i urwiste stoki ze spalonych słońcem głazów nadawały im groźne i swoiste piętno.

„Pustynia libijska“ — oznajmił dragoman dumnym ruchem ręki. — „Największa pustynia świata. Gdyby ktoś wyruszył stąd prosto na zachód i nie zboczył ani na północ, ani na południe, pierwsze domy, jakieby napotkał,

byłyby dopiero w Ameryce. Czy to nie budzi w pani tęsknoty za krajem?" — zapytał, zwracając się do p. Adams.

Ale stara amerykanka nie słyszała; wzrok jej i uwaga pobiegły bowiem za ruchem Sadię, która jedną ręką ujęła ciotkę pod ramię, drugą wskazywała coś daleko na pustyni.

"O, czy to nie jest bajecznie malownicze?" — wołała z twarzyczką zarumienioną od podniecenia. — „Panie Stephens, proszę spojrzeć! Tego jednego jeszcze nam brakowało do obrazu. Widzi pan tych ludzi na wielbłądach, wyjeżdżających z pomiędzy pagórków?”.

Wszyscy ujrzeli jak długi sznur jeźdźców w czerwonych turbanach wynurzał się z jednego z wąwozów i padła taka cisza, że brzęczenie much wydawało się ich uszom hałasem. Pułkownik Cochrane zapalił zapałkę i trzymał ją w jednym ręku, a niezapalonego papierosa w drugim, póki płomień nie zaczął ślizgać mu się po palcach. Belmont pogwizdywał. Dragoman stał osłupiały z półotwartymi ustami, a jego grube czerwone wargi przybrały siny odcień. Inni patrzyli po sobie w niejasnym przeczuciu, że stało się coś złego. Pułkownik pierwszy przerwał milczenie:

„Przez miły Bóg, Belmont, zdaje się, że jedna szansa na sto się ziściła“.

ROZDZIAŁ IV.

„Co to ma znaczyć Manzorze?“ — krzyknął srogo Belmont. — „Co to są za ludzie i dlaczego stoisz, jakbyś zmysły postradał?“

Dragoman opanował się z wysiłkiem i zwilżył zesche wargi, nim przemówił.

„Nie wiem, co to za jedni“ — wykrztusił złamanym głosem.

„Co za jedni?“ — zawołał francuz. — „Widzicie przecież. Uzbrojeni ludzie na wielbłądach, ababdehowie, biszarowie, krótko mówiąc: beduini, tacy, jakimi rząd posługuje się na granicy“.

„Na Jowisza, on ma może rację, Cochranne“ — rzekł Belmont, patrząc pytająco na pułkownika. — „Dlaczego nie miałoby być, jak mówi? Kto wie, czy to nie są sojusznicy?“

„Niema sojuszników z tej strony rzeki“ — odparł szorstko pułkownik. — „Co do tego nie mam złudzeń. Dajmy pokój faramuszkom. Trzeba się przygotować na najgorsze“.

Jednak na przekór tym słowom stali jak skamieniali w niemej gromadzie ze wzrokiem wbitym w równię. Nerwy ich były porażone nagłym wstrząśnieniem i scena rozgrywała się dla wszystkich jakby we śnie, — majak, nie tyczący się ich i nie osobisty. Jeźdźcy na wielbłądach wynurzali się z gardzieli o jakąś milę od drogi, którą oni tu niedawno przybyli. To też odwrót był dla nich całkowicie odcięty. Kurz i długi sznur zwierząt wskazywały, że to wojsko wypływa z za wzgórz, bo siedemdziesiąt wielbłądów z ludźmi zajmuje znaczny kawał przestrzeni. Wydostawszy się na otwarty piasek, arabowie bardzo przeźornie sformowali front i na ostry głos trąby ruszyli naprzód jednym szeregiem kołyszących się postaci, a piasek buchał żółtymi kłębam i z pod kopyt wielbłądów.

W tej samej chwili szczęściu czarnych żołnierzy sudańskich podsunęło się z karabinami. Ruchem wytrawnych szermierzy wślizgnęli się za siodło skalne na stoku pagórka. Ka-

rabiny ich zawarczały wszystkie razem, gdy kapral dał im znak, by dać ognia.

I teraz nagle pierwsze odrętwienie podróżnych opadło, ogarnęła ich szaleńcza, bezsilna energja. Zaczęli w opętaniu kołować po swoim płaskowzgórzu, jak wylekłe kury śród sztachet dziedzińca. Nie mogli pogodzić się z myślą, iż niema dla nich ucieczki. Raz po raz rzucali się na zrab wielkiej skały, która wpadała stromo w rzekę, ale najmłodszy i najzuchwalsi z nich nigdyby się nie odważyli spuścić tamtędy. Obie kobiety uczepliły się dygocącego Manzora, w poczuciu, że on jest z urzędu odpowiedzialny za ich bezpieczeństwo. Kiedy biegał w rozpacz tam i z powrotem, ich trzy spódnice powiewały razem. Adwokat Stephens trzymał się bezustannie Sadie Adams, belkocząc jak automat: „Niech się pani nie boi, panno Sadie, niech się pani nie boi“, chociaż sam cały drżał ze wzruszenia. Pan Fardet deptał wkoło, siejąc swemi gardlanemi r i błyskał gniewnie w stronę towarzyszy, jak gdyby to oni go w jakiś sposób zdradzili. Książd Stuart stał z otwartą parasolką, wlepiwszy bezmyślne i przerażone oczy w dalekich jeźdźców. Cecil Brown kręcił eleganckiego wąsika, blady bardzo, ale wzdgardliwy jak zawsze. Pułkownik, Belmont i młody

absolwent z Harvard zachowali najwięcej zimnej krwi i przytomności umysłu z całego towarzystwa.

„Skupmy się“ — mówił pułkownik. — „Nie ma dla nas wyjścia, więc bądźmy przynajmniej wszyscy razem.“

„Zatrzymali się“ — zauważył Belmont.

„Przypatrują się nam. Wiedzą doskonale, że im nie ujdziemy i nie spieszą się. Nie widzę, co byśmy mogli robić?“

„A choćby ukryć panie“ — podsunął Headingly. — „Nie mogą wiedzieć, ile nas jest osób. Kiedy nas zabiorą, panie będą mogły wyjść z ukrycia i wrócić na statek“.

„Wyborniel“ — zawołał pułkownik Cochrane. — „Wyborniel! Pani pozwoli tędy“ — dał znak pannie Adams. — „Manzorze, przyprowadź panie tutaj. Niema chwili do stracenia.“

Część płaskiego szczytu była niewidzialna od strony równiny. Na niej to z gorączkowym pośpiechem wybudowali budkę. Dużo płyt kamiennych leżało dookoła, udało im się pośpiesznie oprzeć jedną z nich ukośnie o skałę, poczem podsunęli z boku dwa głazy dla podtrzymania. Miały tę samą barwę co skała, tak, że na pierwszy rzut oka kryjówka nie była bardzo widoczna. Wepchnięto tam obie panie, przycupnęły obok siebie, Sadie owinęła ciotkę

ramionami, zasłonięto wejście kamieniem i mężczyźni z lżejszym już sercem wrócili na dawne stanowisko, zobaczyć, co się dzieje. Właśnie w tej chwili rozległ się ostry trzask wystrzału karabinowego—za nim drugi i trzeci. Strzelali żołnierze z eskorty, ale odgłos przerywanej ich palby tonął w ciągłej kanonadzie, podobnej do odgłosu grzmotów. Podróżni przytulili się za występem skalnym, jeden tylko francuz nie przestawał deptać w gniewie i bić w wielki kapelusz ściśniętym kułakiem.

Cochrane z Belmontem przyczołgali się do sudańskich żołnierzy, którzy strzelali ostrożnie i powoli, z lufami opartymi o glazy przed sobą.

Arabowie zatrzymali się na jakieś pięćdziesiąt jardów, a widać było z powolności ich poruszeń, że pewni są, iż ofiary im nie ujdą. Przystanęli, aby zorjentować się co do ich liczby, zanim położą na nich rękę. Większość strzelała siedząc na wielbłądach, niektórzy tylko zeszli i poprzyklekali na ziemi—migotliwe białe plamki na złotem tle. Strzały ich dolatywały chwilami jak szybkie pukanie, chwilami zlewały się w długi łoskot, jak kiedy chłopcy uderzają kijem po sztachetach. Wzgórze dudniło jak uł, a kule odbijały się od skał z ostrym trzaskiem.

„Źle pan robi, narażając się“—rzekł Belmont i pociągnął pułkownika za szeroki wyszczerbiony złom, który już służył jako osłona trzem sudańczykom.

„Kula jest jeszcze najlepsza ze wszystkiego, czego się możemy spodziewać“ — odparł głucho pułkownik. — „Jakiż byłem szalony, że nie oparłem się energiczniej tej śmiesznej wyprawie! Mam to, na com zasłużył, ale ci biedacy, którzy ani na chwilę nie przeczuwali niebezpieczeństwa!“

„Zatem niema dla nas ratunku?“

„Ani mowy“.

„Czy nie przypuszcza pan, że załoga Halfy nadbiegnie na odgłos strzałów?“

„Nie usłyszycie ich nawet. Stąd do statku jest dobre sześć mil. Stamtąd do Halfy jeszcze z pięć“.

„Ale jeżeli nie wrócimy, dadzą im znać ze statku“.

„Tylko, gdzie my wtedy będziemy?“

„Moja Nora, moja droga, biedna Nora!“—mruzczał Belmont pod szpakowatym wąsem.

„Co pan myśli, że z nami zrobią?“ — zapytał po chwili milczenia.

„Mogą nam podciąć gardła, albo wziąć jako niewolników do Chartumu. Wielkiego

wyboru niema. Jeden z nas przynajmniej jest już ocalony.“

Żołnierz najbliższy od nich usiadł nagle i opuścił głowę na kolana.

Jego ruch i poza wyglądały tak naturalnie, że trudno było uwierzyć, iż kula przestrzeliła mu głowę. Nie drgnął nawet i nie jęknął. Towarzysze pochylili się nad nim na chwilę, potem wzruszyli ramionami i obrócili znowu czarne twarze ku arabom. Belmont podniósł karabin i ładownicę zabitego.]

„Jeszcze można tylko użyć trzy razy“ — rzekł, kładąc sobie na dłoni mały mosiężny krążek. — „Za wcześnie i za często kazaliśmy strzelać. Trzeba było poczekać, aż napadną.“

„Pan jest sławny strzelec“ — odezwał się pułkownik. — „Słyszałem o panu cuda. Czy nie mógłby pan sprzątnąć ich herszta?“

„Któryż to jest?“

„O ile mogę domyślać się, ten na białym wielbłądzie, na prawem skrzydle. Mam na myśli tego, który przypatruje się nam z rękami przy oczach.“

Belmont nabił karabin i gotował się do strzału. „Jest fatalne światło dla ocenienia odległości“ — mruknął. — „W tych warunkach Lee Metford byłby o wiele przydatniejszy od Mar-

tiniego. Spróbuję nastawić na pięćset jardów.“ Wypalił, ale ani biały wielbłąd, ani wypatrujący jeździec nie drgnęli.

„Czy piasek nie zadymił, nie widział pan?“

„Nie, nie widziałem.“

„Zdaje mi się, że celowałem za blisko.“

„Niech pan jeszcze raz spróbuje.“

Belmont wypalił po raz wtóry, ale znowu wielbłąd i dowódca wyszli bez szwanku. Trzeci strzał musiał paść bliżej, bo arab przesunął się o parę kroków na prawo, jakby zaczynał się niepokoić. Belmont rzucił na ziemię pusty karabin z okrzykiem zniechęcenia.

„To ten przeklęty blask!“—wołał z twarzą płonąca od rozdrażnienia.—„Niech pan tylko pomyśli: zmarnować w ten sposób trzy naboje! Gdyby to było w Bisley zestrzeliłbym mu turban z głowy, ale w tej oślepiającej jaskrawości wszystko się inaczej widzi. Co się stało francuzowi?“

Pan Fardet latał po płaskowzgórzu jak człowiek ukaszony przez osę. „*S'cré nom! S'cré nom!*“ — wykrzykiwał, błyskając białymi zębami z pod wypomadowanych czarnych wąsów. Wstrząsnął gwałtownie prawą ręką i w tej samej chwili poczuł, że cieniutka struga krwi sączy mu się po palcach. Kula zraniła go w nasadę dłoni. Headingly wyskoczył z za głazu,

gdzie siedział przykucnięty, aby wciągnąć oszalałego francuza w bezpieczniejsze jakieś ukrycie, ale nie zdołał jeszcze uczynić trzech kroków, kiedy sam, trafiony w biodro, zwałił się ciężko na kamienie. Probował dźwignąć się i znowu upadł na to samo miejsce, rzucając się konwulsyjnie, jak koń ze strzaskanym krzyżem. „Skończone ze mną“ — szepnął, kiedy pułkownik nadbiegł mu z pomocą, a potem już leżał cicho z twarzą bladą, jak chusta, na tle czarnych głazów. Kiedy rok ledwie temu błędził wśród wiązów w Cambridge, napewno ostatniem przypuszczeniem, jakie mógł być czynić co do własnych losów byłoby, że padnie, przeszyty kulą sfanatyzowanego bisurmana w dziczy libijskiej pustyni.

Tymczasem ustał ogień eskorty: wystrzelili wszystkie naboje. Jeszcze jeden żołnierz zginął, trzeci, kapral oddziałku, dostał kulą w udo. Siedział na kamieniu i owiżywał swoją ranę, a czarna i pomarszczona jego twarz z wyrazem ciężkiej troski, przypominała twarz starej kobiety, która próbuje sklecić napowrót stłuczony talerz. Trzej pozostali ścisnęli mocniej karabiny, że aż im zachrzęściły w dłoniach, a wyglądali jak ludzie, którzy postanowili drogo sprzedać swoje życie.

„Idań“ — krzyknął Belmont, spojrzawszy na równinę.

„Niech sobie idą“ — odparł pułkownik, wsuwając ręce w kieszenie od spodni. Nagle wyciągnął zaciśniętą pięść i rzucił pełne wściekłości spojrzenie. „Och psyl psyl“ — syknął, a oczy jego nabiegły krwią.

To los biednych oślarzy tak wyprowadził z równowagi spokojnego zwykle żołnierza. Podczas strzelaniny siedzieli, zbici w budzącą litość gromadę, pomiędzy głazami u podnóża pagórka. Teraz, czując, że zbliżający się derwisze przedewszystkiem rzucają się na nich, dopadli swoich zwierząt i wśród dzikich wrzasków strachu, zaczęli gnać przez równinę. Grupa ośmiu czy dziesięciu jeźdźców arabskich wysunęła się oskrzydłającym ruchem i wpadła na uciekających, rąbiąc i siekąc z zimnem, wymyślnem okrucieństwem. Mały chłopczyk w obwisłym egipskim kapeluszu wyprzedzał przez czas pewien swoich prześladowców, ale wielbłądy długimi krokami dognały go i arab wbił mu dźbę w sam środek pochylonych pleców. Drobne, białe ubrane figurki wyglądały jak stadko owiec, pędzonych przez pustynię.

Ale podróżni na skale nie mieli czasu przejmować się losem oślarzy. Nawet pułkownik po pierwszym, pełnym oburzenia,

wybuchu zapomniał o nich zupełnie. Jeźdźcy w ostatniej chwili puścili się klusa, a znalazłszy się u podnóża skały, zeszli z wielbłądów, które ustawili na klęczki i rzucili się pędem pod górę. Pięćdziesięciu ludzi wspinało się dróżką i po nagiej skale, a czerwone turbany to ukazywały się, to nikły wśród sterczących głazów. Bez wystrzału i bez zatrzymania przebiegli po trzech czarnych żołnierzach, jednego zabili, dwóch stoczyło się na dół z pod ich wściekłych stóp. Wpadli na małą płaszczyznę wierzchołka i tu niespodziewany odpór zatrzymał ich na chwilę.

Podróźni, zbici w gromadę, czekali każdy po swojemu przyjścia arabów. Pułkownik, znowu z rękami w kieszeniach, starał się gwizdać suchemi wargami. Belmont, skrzyżowawszy ręce na piersiach, stał oparty o skałę, a jakiś cierpki grymas osiadł na jego chmurnej twarzy. Dziwną istotą jest człowiek: trzy kolejne uchybienia i zepsucie sobie sławy wyborowego strzelca gryzło go bardziej, niż wiszący nad nimi los. Cecil Brown stał wyprostowany i targał nerwowo podkręcone koniuszeczki eleganckiego wąsika. Pan Fardet jęczał z powodu swojej rany. Stephens, w bolesnej bezmocy, kiwał wolno głową, żywe wcielenie prozaicznego prawa i porządku. Ks. Stuart stał jeszcze ciągle z otwartą parasolką; jego wielka twarz

i piwne, wlepione w jeden punkt oczy, nie miały najmniejszego wyrazu. Headingly bladły jak chusta, leżał bez ruchu na kamieniach. Kapełusz spadł mu z głowy, wyglądał nieledwie chłopięco ze swoją zjeżoną płową czupryną i gładką, delikatną, wyrzeźbioną twarzą. Drago-man siedział na kamieniu i bawił się nerwowo szpicrutą. Tak ich zastali arabowie, wpadając na wierzchołek skały.

I właśnie, kiedy biegnący na przedzie już dosięgali uwięzionych, zaszedł zupełnie nieoczekiwany wypadek. Od chwili, gdy derwisze ukazali się po raz pierwszy, ksiądz z Birminghamu, wyglądał jak człowiek pogrążony we śnie kataleptycznym. Nie drgnął, ani się nie odezwał. Aż teraz obudził się naraz w przypływie bohaterkiej odwagi. Być może był to paroksyzm strachu, być może zagrała w jego żyłach krew jakiegoś odległego przodka Wikinga, dość że porwał się dzikim skokiem i pochwytywszy czyjąś laskę, począł nią wymachiwać na lewo i prawo po arabach z wściekłością, która nawet ich szła przewyższała. Jeden z obecnych, któremu zawdzięczam te szczegóły, powiada, że żaden z obrazów, wrytych w jego pamięci, nie jest tak wyraźny, jak wspomnienie tego człowieka, z ogromną świecą od potu twarzą, z kołyszącym się ocię-

żale kadłubem, gdy smagał kulących się i wrzeszczących barbarzyńców. Wtem ostrze włóczni wysunęło się z za skały, pchnięty znie-nacka kapłan osunął się na łokcie i na kolana, a horda przeszła po nim, biegnąc ku mniej opornym ofiarom. Noże błysnęły im przed oczyma, brutalne ręce chwyciły ich za przeguby dłoni i za gardła, poczem ze zwierzęcą pasją zwleczono ich z urwiska do miejsca, gdzie czekały wielbłądy. Francuz wymachiwał zdrową ręką i wykrzykiwał: „*Vive le Calife! Vive le Mahdi!*“ póki uderzenie kolbą w plecy nie zmusiło go do milczenia.

Zbici w bezbronną trzódkę u skały Abu-Sir stali ci ludzie dzisiejsi, pochwyceni w drapieżne szpony siódmego stulecia. Bo prócz karabinów, jakie mieli w ręku, nic nie różniło rabusiów od wojowników pustyni, którzy pierwsi przynieśli arabski sztandar z półksiężycem. Wschód się nie zmienia i derwisze nie byli mniej waleczni, ani mniej okrutni lub fanatyczni, niż ich przodkowie. Stanęli półkolem, oparci na strzelbach i dzidach i pałającymi oczyma wpatrywali się w smutne postaci schwytyanych. Mieli na sobie coś w rodzaju mundurów, żółte z niewyprawianej skóry buty i białe tuniki z wszystkimi brązowymi łatami. Czerwone turbany obejmowały im głowy i karki, tak że

okrutne twarze tonęły w szkarłatnej oprawie. Wszyscy posiadali karabiny, jeden miał przewieszony przez ramię wytarty róg. Połowę ich stanowili murzyni, doskonale zbudowani, muskularni ludzie, o kształtach czarnych Herkulesów, reszta składała się z arabów Baggara, drobnych, ciemnych i krępych, o małych przebiegłych oczach i cienkich, okrutnych ustach. Naczelnik był też z plemienia Baggara, ale wzrostem przewyższał pozostałych; krucza broda spadała mu na piersi, a z pod gęstych czarnych brwi świeciły złe i zimne oczy. Spoczywały one w tej chwili na jeńcach, a z rysów twarzy przebijała natężona myśl. Księżda Stuarta zniesiono z góry, był bez kapelusza, twarz jeszcze miał czerwoną od strachu, a spodnie w jednym miejscu przylepiły mu się do nogi. Dwaj pozostali przy życiu żołnierze sukańscy z plamami krwi na twarzach i na niebieskim ubraniu, stanęli miłcząco na baczność, nieco na uboczu od nieszczęsnej grupy strażników.

Naczelnik namyślał się chwilę, gładząc czarną brodę. Złe oczy przesuwają się z jednej wynędzniałej ofiary na drugą, szorstkim, nakazującym głosem powiedział coś, na co dragoman Manzor wysunął się naprzód ze zgiętym grzbietem i błagalnie wyciągniętymi rękami.

mi. W turystach budziła zawsze pewne śmieszne uczucie jego krótka marynarka na rozwianej spódnicy, ale teraz, w blasku południowego słońca, na tle tych ohydnych twarzy, dodawał on raczej jakiejś niesamowitej okropności scenie. Dragoman bił pokłony jak automatycznie ale nieudolnie poruszona lalka. Potem, na jakiś krótki wyraz przywódcy, upadł nagle twarzą na ziemię, tarzając się czołem w piasku i bijąc rękoma.

„Co to ma znaczyć, pułkowniku?“ — zapytał Belmont.— „Po co on daje z siebie takie przedstawienie?“

„O ile mogę się dorozumieć, jesteśmy straceni“ — odpowiedział pułkownik.

„Ależ to nonsens!“ — krzyknął porywczoch francuz. — „Dlaczego by ci ludzie mieli mi źle życzyć? Nigdy im nie zrobiłem żadnej krzywdy. Przeciwnie, zawsze byłem im przyjazny. Gdybym mógł tylko z nimi mówić, zrozumieliby. Hola, Manzor!“

Podniecone ruchy Fardeta ściągnęły nań groźne spojrzenie naczelnika Baggarów. Znowu rzucił krótkie pytanie, a Manzor, na klęczkach przed nim, odpowiedział.

„Wytłumacz mu, że jestem francuzem, dragomanie. Powiedz, że jestem przyjacielem kalifa. Powiedz, że moi rodacy nie mieli z nim

nigdy żadnych zatargów, owszem, jego wrogowie są i naszymi.“

„Naczelnik pyta, jakiej pan jest religji?“ — tłumaczył Manzor. — „Powiada, że kalif nie ma żadnej potrzeby zawierać przyjaźni z niewiernymi.“

„Powiedz mu, że dla nas we Francji wszystkie religje są równie dobre.“

„Naczelnik powiada, że tylko pies szczekający, albo jego syn może uważać wszystkie religje za jednakowo doskonałe. Mówi, że jeżeli pan jest naprawdę przyjacielem kalifa, to pan uzna koran i stanie się szczerym wyznawcą. Jeżeli tak, to on przyrzeka dostawić pana żywcem do Chartumu.“

„A jeżeli nie?“

„Czeka pana ten sam los, co innych.“

„To złóż moje uszanowanie panu naczelnikowi i powiedz, że francuzi nie mają zwyczaju zmieniać religji pod przymusem.“

Naczelnik powiedział coś, a potem zaczął się naradzać ze stojącym obok krępy arabem.

„Mówi, proszę pana“ — objaśniał dragoman — „że jeżeli pan się jeszcze słowem odezwie, zrobi z pana żłób do karmienia swoich psów. Niech pan już nic nie mówi, żeby go

nie drażnić, bo on teraz obmyśla, co z nami zrobić.“

„Kto on jest taki?“ — zagadnął pułkownik.

„Ali Wad Ibrahim, ten sam, który dowodził zeszłorocznym napadem i wyrznął całą ludność nubijskiego miasteczka.“

„Słyszałem o nim“ — rzekł pułkownik — „uchodzi za jednego z najzuchwalszych i najbardziej sfanatyzowanych wodzów kalifa. Bogu dzięki, że kobiety są poza niebezpieczeństwem.“

Dwaj arabowie rozmawiali ostrym, urywanym tonem, który tak razi w ustach południowców. Po chwili obaj obrócili się w stronę dragomana, który ciągle jeszcze klęczał na piasku. Zarzucili go pytaniami, wskazując kolejno jednego jeńca po drugim. Potem znowu zaczęli się naradzać, wreszcie naczelnik coś powiedział Manzorowi z łaskawym ruchem ręki, co oznaczało, że ma to powtórzyć innym.

„Niebu niech będą dzięki, panowie, myślę, że na razie jesteśmy ocaleni“ — zaczął Manzor, strząsając piasek, który mu się przykleił do spoconego czoła. — „Ali Wad Ibrahim powiada, że wprawdzie niewierni zasługują tylko na dźgnięcie mieczem przez sy-

nów Proroka, ale *beit-el-mal'*owi w Omdurmanie większą przyniesie korzyść złoto, które wasi kamraci za was zapłacą. Póki się to nie stanie, możecie pracować jako niewolnicy kalifa, — chyba, że on zechce skazać was na śmierć. Macie wejść na zbywające wielbłądy i jechać z oddziałem.“

Naczelnik czekał na koniec tłumaczenia, potem wydał krótki rozkaz. Na to podsunął się murzyn z zardzewiałym mieczem. Dragoman kwiknął jak królik, gdy zobaczy łasicę i znowu, pół przytomny, rzucił się na piasek.

„Co to jest, pułkowniku?“ — spytał Cecil Brown.—Bowiem pułkownik służył na Wschodzie i jedyny z całego towarzystwa miał jakie takie pojęcie o języku arabskim. — „O ile jestem w stanie zrozumieć, powiedział, że na nic im się nie zda dragoman, bo nikt się nie zatroszczy, żeby płacić za niego okup, a na niewolnika jest za gruby.“

„Biedaczysko!“ — krzyknął Brown — „niech pan mu powie, panie pułkowniku, żeby mu dał pokój. Nie możemy pozwolić, aby go zarżnęli w naszych oczach. Niech pan powie, że zbieramy między sobą pieniądze. Ja ręczę za pokazną sumę.“

„I ja się przyczynię w miarę środków“ — dorzucił Belmont.

„Wystawimy wspólny rewers“ — odezwał się adwokat. — „Mam przy sobie papier i ołówek, gotów jestem w tej chwili rzucić szkic, a naczelnik może zaufać, że będzie zupełnie prawidłowy i prawomocny.“

Atoli arabszczyzna pułkownika okazała się niedostateczna, a Manzor sam tak był oszalały ze strachu, że nie rozumiał zupełnie, co dla niego chcieli uczynić. Murzyn spojrział pytająco na naczelnika, zakotyssa długim czarnym ramieniem i wzniesiony miecz błysnęła nad jego głową. Ale dragoman wrzasnął coś, co powstrzymało cios i sprawiło, że naczelnik i jego przyboczny oficer spojrzeli po sobie z wyrazem zdziwienia. Inni przysunęli się i stłoczyli dokoła czołgającego się po ziemi skazańca.

Pułkownik nie rozumiał tej nagłej zmiany, nikt nie mógł domyśleć się powodu, jednemu tylko Stephens'owi instynkt podsunął straszliwe przypuszczenie.

„Ha, nędznik!“ — krzyknął z wściekłością. — „Powstrzymaj język, ty ohydne stworzenie! Milcz! Lepiej umrzeć, tysiąc razy lepiej umrzeć!“

Ale było zapóźno.

Wyszedł na jaw niski środek, zapomoćą którego tchórz pragnął uratować swoje życie.

Postanowił wydać kobiety. Widzieli, że twarz naczelnika przybrała łagodniejszy wyraz, uczynił ruch łaskawego zezwolenia, a wtedy Manzor począł coś mówić szybko i z powagą, wskazując na pagórek. Na jedno słowo Baggary, dwunastu zbójców rzuciło się na ścieżkę i znikli z przed oczu na wierzchołku. Rozległ się rozdzierający krzyk strachu, a w chwilę potem ukazali się znowu arabowie, wlokący między sobą kobiety. Sadie, młoda i zwinna, dotrzymywała kroku i dodawała jeszcze cały czas odwagi ciotce, starsza pani natomiast szamotała się wśród ciągnących ją białych postaci i podobna była do kurczenia wyciągniętego z kurnika.

Ciemne oczy naczelnika ześliznęły się szybko z twarzy panny Adams, zatliły się za to nagle na widok młodszej kobiety.

Wydał krótki rozkaz i jeńców, jak nędzne, beznadziejne stado, pognano ku kłęczącym wielbłądom. Już uprzednio splądrowano im kieszenie, a cała ich zawartość poszła do worka z paszą dla wielbłądów, który do karku zwierzęcia przywiązał własnoręcznie Ali Wad Ibrahim.

„Pułkowniku“ — szepnął Belmont, mierząc oburzonem spojrzeniem ohydny Manzora — „udało mi się ukryć mały rewolwer

kieszonkowy, którego nie znaleźli. Czy mam zastrzelić tego nędznika za wydanie kobiet?”

Pułkownik wstrząsnął głową przecząco.

„Lepiej niech go pan zachowa“ — rzekł pośpnie. — „Może będzie jeszcze potrzebny kobietom, zanim się wszystko to skończy.“

ROZDZIAŁ V.

Wielbłądy, jedne płowe, inne białe, kle-
czały długim sznurem, poruszając rytmicznie
żującymi szczękami i kołysząc wdzięcznie
osadzonemi łbami w jakiś niemal zalotny spo-
sób. Przeważnie były to śliczne stworzenia,
wysmukłe, o płynnej linii karku — co oznacza
dobrą rasę. Znajdowało się jednak między
nimi kilka okazów mniej zgrabnych, z sierś-
cią nieczyszczoną i zeszpeconą przez czarne
plamy od dawnych wypalań. Te przeznaczone
były do noszenia ciężarów i łagwi z wodą.
Ale parę minut wystarczyło, by zdjąć z nich
ładunki i przygotować miejsce dla jeńców.
Nie skrupowano nikogo, z wyjątkiem księdza
Stuarta. Arabowie zrozumieli bowiem, że to
jest duchowny, a przyzwyczajeni w myśli łą-
czyć religję z okrucieństwem, wzięli jego dziki
wybuch za fakt całkiem naturalny i uważali

go za najniebezpieczniejszego i najbardziej zaradnego ze wszystkich. Związali mu tedy ręce plecionemi postronkami z wielbłąda. Inni natomiast, nie wyłączając dragomana i dwóch czarnych żołnierzy, mogli jechać swobodnie, — sama ociężałość ich wierzchowców była dostateczną rękojmią, że nie uciekną. Śród wrzasków ludzkich i ryków wielbłądów, zwierzęta podniosły się na nogi. Długi orszak rozwinął się w pojedynek i ruszył, zostawiając za sobą świadka lepszych dni — rzekę — i kierując się ku migotliwej błękitnej sreżodze, zawisłej nad bezkresnym obszarem, nad wspańiałą i straszną zarazem pustynią, na której, jak pręgi tygrysie, znaczyły się czarne skały i złote piaski.

Żaden z białych jeńców, prócz pułkownika Cochrane'a, nigdy w życiu nie siedział na wielbłądzie. Przerażająca wysokość, gdy spojrzeli na ziemię, dziwne kołysanie, a nadmiar niepewne siodło, sprawiały, że czuli się niedobrze i drżeli ze strachu. Ale fizyczna przykrość była niczem wobec gorzkich myśli, jakie ich nurtowały. Co za przepaść między ich dotychczasowem życiem, a życiem obecnem! A jednak, jaki krótki czas i przestrzeń je dzieli! Niema jeszcze godziny, jak stali na szczycie skały, śmieli się i żartowali, albo skar-

żyli się na upał i muchy, niezbyt odporni wobec drobnych niewygód. Headingly był superkrytyczny co do kolorytu krajobrazu. Nie mogli teraz zatrzeć w pamięci koloru jego własnej twarzy, kiedy leżał na czarnych kamieniach. Sadie szczebiotała o modach angielskich i o paryskich gałganach. Teraz przycisnęła się napół żywa do kuli drewnianego siodła, a w głowie jej, jak czerwona gwiazda nadziei, wschodziła myśl o samobójstwie.

Ludzkie uczucia, inteligencja, rozumowanie, wszystko to znikło, przepadło, — zostało brutalne upokorzenie przez siłę. A tymczasem gdzieś u zakrętu skalnego, czekał na nich ich parowczyk, salon, białe obrusy, błyszczące szklanki, najnowsza powieść i dzienniki londyńskie. Nawet obdarzeni najmniej lotną wyobraźnią, między nimi widzieli to wszystko dokładnie: biała zasłona, pani Schlesinger w wielkim żółtym kapeluszu od słońca, pani Belmont na ogrodowym krześle. Leży to niemal w polu ich widzenia ten pływający okruch ich domowego życia, a każde chybotliwe i ciche stąpienie wielbłądów oddala ich w beznadziejność. Dziś rano jeszcze jak ojcowsko czuwała nad nimi Opatrzność, jakie wesołe było życie, — pospolite może trochę, ale jakie pełne uroku i spokoju!

Ā teraz ?

Pułkownik poznał odrazu z czerwonych turbanów, z kaftanów łaciastych i z żółtych butów, że ma do czynienia nie ze zbójceją bandą koczowników, ale z regularną armją kalifa. Teraz, w czasie pochodu przez pustynię, wyszła na jaw pewna elementarna dyscyplina wojskowa, odpowiednia do ich celów. O milę przed nimi i daleko na obu skrzydłach posuwały się patrole, wynurzając się i ginąc wśród piaszczystych wzgórz.

Ali Wad Ibrahim jechał na czele karawany, a jego przysadzisty adjutant dowodził tylną strażą. Główny korpus ciągnął się na jakieś dwieście jardów i w samym jego środku znajdowała się nieszczęsna grupka jeńców. Nie starano się wcale ich rozdzielić i Stephens potrafił się wkrótce tak urządzić, że jego wielbłąd wszedł pomiędzy wielbłądy pań.

„Niech się pani nie poddaje“ — mówił adwokat do pani Adams — „prawda, jesteśmy zupełnie bezbronni wobec przemocy, ale nie ulega wątpliwości, że z właściwej strony poczynione będą kroki, aby doprowadzić rzecz do porządku. Jestem przekonany, iż skończy się na chwilowej przykrości. Gdyby nie ten łotr Manzór, wogóle by tu pani nie było.“

Smutno było patrzeć na biedną bo-

stonkę, bo w godzinę stała się staruszką. Śniade policzki jej zapadły, a oczy z pod głębokich sińców świeciły dzikim blaskiem. Przełękłe spojrzenie obracała ciągle na Sadie.

Musi być jakiś anioł rozbicia, który skarby swoje gromadzi tylko w chwilach pogromów. Bo oto tę gromadkę światowców wleczonych w potępienie, odbiegła do szczętu pustota i samolubstwo i każdy tylko troszczył i martwił się o innych. Sadie myślała o ciotce, ciotka myślała o Sadie, mężczyźni myśleli o kobietach, Belmont myślał o żonie, ale myślał jeszcze i o czymś innym, bo tak długo kopał w łopatkę wielbłąda obcasem, aż znalazł się koło panny Adams.

„Mam tu coś dla pani“ — szepnął. — „Mogą nas rozdzielić lada chwila. Musimy się przedtem odpowiednio urządzić.“

„Rozdzielą nas?“ — jęknęła.

„Niech pani nie mówi tak głośno, bo ten przeklęty Manzor znowu nas gotów wydać. Chcę wierzyć, że tak się nie stanie, ale w każdym razie powinniśmy być przygotowani na najgorsze. Mogą naprzykład chcieć się pozbyć mężczyzn, a panie zatrzymać.“

Panna Adams wzdygnęła się.

„Co tu robić? Boże wielki, co tu robić? Jestem stara kobieta, nic mi się już nie na-

leży. Mniejsza o mnie. Ale Sadie — nie mogę o tem myśleć. Matka czeka na nią w domu, a ja“ — złożyła chude ręce w bezgranicznej rozpacz.

„Niech pani schowa ręce pod okryciel“ — szeptał Belmont, przysuwając się tak, że ich wielbłądy otarły się o siebie. — „I niech pani tego nie puszcza. O tak, dobrze. A teraz niech to pani wsunie pod stanik. Ma pani klucz, który wszystkie drzwi otworzy.“

Panna Adams poznała, co jej wetknął w rękę i przez chwilę patrzyła na niego jak obłąkana. Potem zagryzła wargi i zaprzeczyła ruchem głowy.

Niemniej wsunęła pistolecik pod suknię i jechała dalej wśród kotłujących się myśli. Czy to naprawdę ona, Eliza Adams z Bostonu, której wązkie, szczęśliwe życie toczyło się między wytwornem mieszkaniem na Commonwealth Avenue, a kościołem prezbyterjańskim na Tremont? Oto siedzi okrakiem na wielbłądzie, z ręką na kurku pistoletu, a myśl jej waży i usprawiedliwia morderstwo. O życie podstępne i zdradliwe, jakże ci mamy wierzyć? Pokaż nam najgorsze oblicze twoje, a zmierzmy się z tobą ale ty najgroźniejszy jesteś, gdy nam jaśniejiesz w całym wdzięku i łagodności.

„W najgorszym razie jest to tylko kwestja okupu”—mówił Stephens do Sadie wbrew własnemu przeświadczeniu.—„Przytem jesteśmy zawsze jeszcze bliżej Egiptu niż kraju derwiszów. Zarządzą napewno energiczny pościg za nami. Nie powinna pani upadać na duchu. Wszystko będzie dobrze”.

„Ja się wcale nie boję”—odparła Sadie, obracając ku niemu wybladłą twarz, która zadawała kłam jej słowom.—„Jesteśmy wszyscy w ręku Boga, a On nas nie zgubi. Łatwo mówić, że się w Niego wierzy, gdy wszystko idzie po myśli, teraz można naprawdę dowieść. Jeżeli On jest w tem błękitnem niebie...”

„Jest!...”—odezwał się jakiś głos za nimi. Był to ksiądz z Birminghamu, który przyłączył się do ich kółka. Związane ręce przytwierdzone miał do siodła, a ciężkie ciało huśtało się w niebezpieczny sposób przy każdym ruchu wielbłąda. Zraniona noga ociekała krwią, oblepiona cała przez muchy, rozgorzałe słońce pustyni prażyło go w gołą głowę, bo kapelusz i parasol przepadły w czasie bijatyki. Dostał gorączki i na wielkie blade jego policzki wystąpiły plamy rumieńców, a w piwnych wólowych oczach ukazały się jakieś iskry. Spółtowarzyszom wydawał się zawsze trochę pospolity. Teraz z bolesnego wstrząśnienia wy-

szedł przemieniony, uduchowił się i wysła-
chetniał. Szła od niego jakaś spokojna siła,
która udzielała się innym. Mówił o życiu
i śmierci, o ich terażniejszości i nadziejach
na przyszłość i na czarnej chmurze ich nędzy
wystąpiło złote obrzeże. Cecil Brown wzruszał
ramionami, bo w godzinę nie mógł zmienić
poglądu na świat, ale inni, nawet Fardet, fran-
cuz, czuli się wzmocnieni i pokrzepieni.
Wszyscy zdjęli kapelusze, kiedy ksiądz się
modlił. Pułkownik zrobił turban ze swojej
jedwabnej czerwonej chustki i nalegał, żeby
ksiądz zgodził się go włożyć. W codziennem
ubraniu i strojnem nakryciu głowy wyglądał
jakby się przebrał dla zabawy dzieci.

Powoli do przykrości i zmęczenia, wy-
wołanego ruchem wielbłądów, przyłączać się
zaczęła straszna męka pragnienia. Słońce pie-
kło ich z góry, piasek oślepił od dołu, a cała
wielka równina była tak jaskrawa, że mieli
wrażenie, iż jadą po stygnącej blasze roztopio-
nego metalu. Wargi im popękały, języki były
jak kawały wyschłej skóry, zaczęli w szcze-
gólny sposób seplenić mówiąc, bo tylko sa-
mogłoski mogli wymawiać bez trudu. Pannie
Adams broda opadła na piersi, a kapelusz
zsunął się na twarz.

„Ciocia zemdleje, jeżeli jej nie damy wody — rzekła Sadie. — „Niech pan coś poradzi“.

Najbliżej jadący derwisze należeli wszyscy do Baggarów, oprócz jednego, murzyna, prostaka jakiegoś, ze śladami ospy na twarzy. W porównaniu z arabami wyraz jego wydawał się poczciwy i Stephens odważył się trącić go w łokieć, a potem wskazał na worek z wodą i na omdlewającą kobietę. Murzyn energicznie zaprzeczył głową, ale jednocześnie znacząco spojrzął ku arabom, jakby chciał dać do zrozumienia, że gdyby nie oni, postąpiłby zupełnie inaczej. Następnie, uderzywszy się wskazującym palcem w piersi, rzekł:

„Tippy Tilly“.

„Co takiego?“ zapytał pułkownik Cochrane.

„Tippy Tilly“ — powtórzył murzyn, zniżając głos, jakby chciał być słyszany tylko przez jeńców.

Pułkownik wstrząsnął głową.

„Moja arabszczyzna niedaleko sięga. Nic nie wiem, o co mu idzie“ — rzekł.

„Tippy Tilly, Hiks Pasza“ — powtórzył murzyn.

„Mam wrażenie, że ten człowiek jest nam przyjazny, ale nic nie rozumiem“ — zwrócił się pułkownik do Belmonta. — „Czy pan myśli, że nazywa się Tippy Tilly i że to on zabił Hiksa Paszę?“

Murzyn pokazał wielkie białe zęby, słysząc, że powtarzają jego słowa i rzekł znowu: — „Ai-wa *) Tippy Tilly, bimbaszi Mortimer — Bum“.

„Do kaduka, mam go!“ — krzyknął Belmont — „to ma być po angielsku. Tippy Tilly znaczy „Egipitian Artillery“. Służył w artylerji egipskiej pod bim-baszą Mortimerem. Kiedy rozbito Hiksa Paszę, dostał się do niewoli i, żeby uratować życie, został derwiszem. Czy nie?“

Pułkownik powiedział parę słów po arabsku i dostał odpowiedź, ale w tej samej chwili nadjechali dwaj arabowie, murzyn popędził wielbłąda i oddalił się.

„Odgadł pan“ — odezwał się pułkownik. — „Ten człowiek jest nam przyjazny i wolałby bić się za kedywa niż za kalifa. Wiem, że nic dla nas zrobić nie może, ale bywałem w gorszych opałach i zawsze wychodziłem cało. Zresztą jesteśmy dotąd w sferze, gdzie może nas doścignąć pogoń i będziemy jeszcze przez czterdzieści osiem godzin“.

Belmont zaczął obliczać po swojemu, wolno i z rozwagą.

„Na skale byliśmy około dwunastej. Zaczynam się o nas niepokoić na statku, o ile nie wrócimy do drugiej“.

„Tak“ — przerwał pułkownik — „miała to być nasza pora śniadaniowa. Przypominam

*) Aiwa — przekręcone angielskie: *I was* = byłem.

sobie, żem mówił, iż po powrocie chcę mieć...
Boże mój, lepiej nie myśleć o tem!”

„Kapitan jest stary niedołęga“ — ciągnął dalej Belmont, — „ale mam bezwzględne zaufanie do zaradności i energji mojej żony. Ona to zrobi, że zaraz dadzą znać. Jeżeli, powiedzmy, wyjadą o pół do trzeciej, w Halfa będą o trzeciej, ponieważ płyną z wodą. Jak długo, mówili, że trwa przygotowanie oddziału wielbłądziego?“

„Weźmy godzinę“.

„Drugą godzinę zajmie przeprawa przez rzekę. Staną przy skale Abu-Sir i wpadną na nasz trop około szóstej. Potem już jest prosta sprawa. Jesteśmy tylko o cztery godziny od nich i niektóre wielbłądy są pomęczone. Możemy jeszcze być ocaleni, pułkowniku!“

„Niektórzy z nas, zapewne. Nie wierzę, żeby *padre* odżył jutro i nie mam złudzeń co do panny Adams. Nie są stworzeni do tego rodzaju przygód. Przytem nie powinniśmy zapominać, że arabowie mają zwyczaj mordować jeńców, gdy przychodzi odsiecz. Proszę pana, w razie gdyby pan wrócił, a ja nie, mam tu pewien zastaw i chciałbym, aby pan wziął tę rzecz w ręce“.

Jechali nachyleni ku sobie i cali pochłonięci omawianą sprawą.

Przyjazny murzyn, który nazwał siebie Tippy Tilly, wydobył skądś zmaczany w wodzie gałgan, wsunął go nieznacznie do rąk Stephens'owi i panna Adams zwilżyła nim wargi. Te parę kropel starczyło, by ją pokrzepić, a kiedy kryzys minął, żelazna yanke-sowska jej natura odrazu przyszyła do siebie.

„Ci ludzie nie wyglądają, jakby nam chcieli zrobić krzywdę“ — odezwała się do Stephen-sa. — „Wierzę, że mają jakieś religijne zasady i to, co jest złe dla nas, jest złe i dla nich.“

Stephens zaprzeczył głową w milczeniu. Widział śmierć chłopców-oślarzy, — ona nie widziała.

„Może jesteśmy przeznaczeni, aby ich sprowadzić na lepszą drogę“ — mówiła starsza pani. — „Może nas zesłano umyślnie, abyśmy spełnili dobry czyn w stosunku do nich.“

Gdyby nie wzgląd na siostrzenicę, jej energiczny charakter gotów był już sławić możność nawracania Chartumu i zamienienia Omdurmanu w mały, skanalizowany o szerokich ulicach odwzór miast Nowej Anglii.

„Wiedzą państwo o czem myślę cały czas?“ — spytała Sadie. — „Pamiętacie tę świątynię, którą zwiedzaliśmy. Kiedy to było? Prawda, dziś rano!“

Wszyscy troje wydali okrzyk zdziwienia.

Tak, to było dziś rano, a zdawało się, gdzieś, wśród dalekich wspomnień ich życia, tak wielka była zmiana, takie przemożne myśli przeżyli od tej godziny. Jechali w milczeniu, przejęci owym dziwnym rozszerzeniem się czasu, wreszcie Stephens zwrócił uwagę Sadie, że nie dokończyła swojego zdania.

„Ach, prawda! Myślałam o malowidle na ścianie tej świątyni. Pamiętają państwo tę trzodę jeńców, wleczonych za nogę przy wozie wielkiego króla? Jak opłakanie wyglądali wobec prowadzących ich wojowników. Ktoby mógł, — ktoby mógł przypuścić, że po trzech godzinach podzielimy ich los? A pan Headingly...?” — Odwróciła twarz i rozplakała się.

„Przestań, Sadie“ — uspakajała ją ciotka — „pamiętaj, co ksiądz przed chwilą tłumaczył, że wszyscy jesteśmy bezpieczni w rękę Boga. Jak pan sądzi, gdzie my teraz jesteśmy?”

Czerwony rozek Baedekera zawsze jeszcze wystawał z kieszeni adwokata, bo rabusie nie mieli po co go zabierać. Spojrzał nań.

„Jeżeli mi go tylko zostawią, wynotuję sobie parę rzeczy. Mam ogólne pojęcie o okolicy, ponieważ wczoraj naszkicowałem sobie mapkę. Rzeka płynie z południa na północ,

więc my musimy jechać prosto na zachód. Sądzę, że obawa pogoni nie pozwala im trzymać się Nilu. Przypominam sobie, że istnieje droga karawan równoległa do rzeki, mniej więcej na siedemdziesiąt mil w głąb kraju. Jeżeli nie zmienimy kierunku, jutro dojedziemy do niej. Przechodzi koło linji źródeł. Od strony Egiptu, o ile się nie mylę, zaczyna się w Assiout. Drugi jej koniec dochodzi do kraju derwiszów. Zatem może...”

Tu słowa jego przerwał wysoki, ostry krzyk, który nagle przeszedł w potok zmaconych wyrazów bez znaczenia, powtarzających się w obłąkańczych nawrotach. Wypieki pociemniały na policzkach księdza Stuarta, oczy były bezmyślne, ale pełne blasku i jadąc, ani na chwilę nie przestał bełkotać. Dobra matka Przyroda! Nie pozwala dzieci swoich zbyt nio poniewierać, jakby mówiła: „tego już za wiele, — zraniona noga, spękane wargi, wylękała, udreńczona myśl. Niechże do mnie myśl ta na czas pewien przyjdzie, nim znów jej siedziba nie stanie się jaką była.” I tak przynęca myśl do Nirwany obłędu, a tymczasem małe pracownice komórki mozolą się i zabiegają, aby dla powrotu przysposobić siedzibę. Jeśli kiedy uderzy was zasłona okrucieństwa, jaką nosi na sobie przyroda,

postarajcie się przebić ją wejrzeniem, a nie-
jednokrotnie błysnie wam z pod niej dobre,
łagodne oblicze.

Straże arabskie patrzyły wielkimi oczami
na ten nagły wyskok księdza, bo wydawał się
im szaleństwem, a dla arabów szaleństwo
jest zjawiskiem przerażającym i nadprzyrodzo-
nem. Jeden z jeźdźców wysunął się naprzód
i zamienił parę zdań z emirem. Wróciwszy, po-
wiedział coś towarzyszom i dwaj z nich podjechali
do księdza, towarzysząc z obu stron jego wiel-
bładowi, jak gdyby pilnowali, żeby z niego
nie spadł. Przyjazny murzyn zbliżył się do puł-
kownika i coś mu szepnął.

„Zatrzymamy się za chwilę“ — oznajmił
Cochrane Belmontowi.

„Chwała Bogu. Dadzą nam może wody.
Niepodobna tak dłużej wytrzymać.“

„Powiedziałem Tippy Tillemu, że jeżeli
nam pomoże, postaram się, by go znowu przy-
jęto do Bim-Baszy. Zdaje się być dobrej woli,
byle tylko coś mógł. Boże mój, widzi pan —
rzeka!“

Do tej chwili, droga ich szła po nawia-
nych piaskiem krzesanicach z poszarpanemi
stokami tak, że trudno było pojąć, w jaki
sposób wielbłąd może się na nie wspinać;
teraz otworzyła się szeroka, falista przestrzeń,

pocięta pasami okrągłego żwiru, które docho-
dziły aż do błękitnych wzgórz na widnokręgu.
Bronzowe garby tych pasów na żółtym piachu
były tak regularne, że wyglądały jak ciemne
bałwany burzącego się wściekle na głębinach
morza. Tu i owdzie czepiała się kamieni ja-
kaś licha kępka wielbłądziej trawki, podobnej
do zielonej szalwii. Spalona równia i błękit-
nawe wzgórze — nic więcej oko widzieć nie
mogło. Za nimi leżały świeżo przebyte zjeżo-
ne skały z pomarańczowemi żebami piasku.
A gdzieś daleko wąska smużka zielona zna-
czyła linję rzeki. Jakim lubym chłodem ku-
siła ta cudna zieleń w ośleplej, potwornej
dziczy! W jednym punkcie sterczała nad nią
skała, — przekłeta skała, która sprowadziła
ich nieszczęście. Za nią rzeka zakręcała
i słońce lśniło na wodzie. O! ta lśniąca płyn-
ność i budzące się zwierzęce apetyty, brutalne
pożądania, które w tej chwili zawładnęły ich
duszą! Stracili rodziny, ojczyznę, wolność,
wszystko—ale woda! woda! woda! — o tem jed-
nem tylko myśleć byli zdolni. Książd Stuart
w obląkaniu swoim zaczął wyć o pomarańcze
i nad ich siły było słuchać jego krzyków.
Jedynie twardy, surowy irlandczyk okazał się
wyższy nad cielesne pożądania. Miejsce, w któ-
rem się rzeka błyszczy, musi być niedaleko

Halfy i może żona jego jest w tej chwili tam, gdzie on patrzy. Nacisnął kapelusz na oczy i jechał w ponurem milczeniu, przygryzając twardego wąsa.

Słońce powoli skłaniało się ku zachodowi i cienie ich poczęły włóczyć się od strony, w którą rwały się ich serca. Ochłodziło się, zerwał się powiew pustynny i szemrał po sfalowanej równinie. Emir na czele pochodu przywołał do siebie adjutanta i obaj wypatrywali z pod podniesionych do czoła dłoni jakiegoś granicznego znaku. Wielbłąd naczelnika, pochrzakując z zadowolenia, obsunął się raptownie na kolana, potem na zady i upadał w trzech łamanych szarpnięciach, aż dopóki całym brzuchem nie przywarł do ziemi. Każdy z następnych, doszedłszy do tego samego punktu, przykłękał podobnie, wreszcie wszystkie leżały wyciągnięte pod sznur. Jeźdźcy pozeskakiwali z siodeł i rozłożyli przed wierzchowcami szmaty z sieczką, bo żaden dobrze wychowany wielbłąd nie będzie jadł z ziemi. W pogodnych oczach zwierząt, w ich spokojnym, powściągliwym sposobie jedzenia i we wdzięcznych ruchach było coś kobiecego i układnego, jak gdyby w samym sercu pustyni stróżowały podżyłe, a schludne dziewice.

Na jeńców nikt nie zwracał uwagi, ani

na mężczyzn, ani na kobiety, o ucieczce przecie nie mogło być mowy. Emir podszedł raz do nich, głaskał palcami kruczo-czarną brodę i przypatrywał się im w zamyśleniu ciemnymi, groźnymi oczyma.

Panna Adams zauważyła z przerażeniem, że wzrok jego ciągle kieruje się ku Sadie.

Widząc ich cierpienie, wydał rozkaz i murzyn przypiął łagiew z wodą. Była ciepła i mętna, przeszła zapachem skóry, ale jakąż rozkosz dała ich spiekłym podniebieniom!.. Emir powiedział coś krótko do dragomana i odszedł.

„Panie i panowie..“ — zaczął Manzor, wpadając z nawyku w dawny ton, ale spojrzenie pułkownika wtoczyło mu słowa z powrotem do gardła. Wybuchnął wtedy długą, płaczącą samoobroną:

„Co miałem robić?“ — jęczał. — „Nóż czułem już na samej szyi.“

„Poczujesz stryczek na szyi, jak tylko będziemy w Egipcie“ — warknął dziko Cochrane. — „Tymczasem...“

„Słusznie, pułkowniku“ — wdał się Belmont — „ale w naszym własnym interesie jest wiedzieć, co mówił naczelnik.“

„Co do mnie, nie chcę mieć nic wspólnego z tem pługastwem.“

„Za daleko pan idzie. Powinniśmy usłyszeć, co ma do powiedzenia.“

Cochrane wzruszył ramionami. Skutkiem dzisiejszych przejść stał się drażliwy i musiał zagryźć wargi, żeby powstrzymać cierpką odpowiedź. Oddalił się zwolna sztywnym, wojskowym chodem.

„Zatem, co mówił?“ — zapytał Belmont, patrząc na dragomana równie surowo, jak pułkownik.

„Zdaje się być trochę lepiej usposobiony, niż poprzednio. Powiedział, że gdyby miał więcej wody, dałby nam, ale sam jest zaopatrzony niedostatecznie. Mówi, że jutro dojedziemy do źródeł Selima i wszyscy będziemy mieli wody pod dostatkiem. Wielbłądy także.“

„Czy nie powiedział, jak długo będziemy tu stali?“

„To tylko krótki postój“ — mówił — „za raz ruszymy. O, panie!...“

„Milcz!“ — huknęła irlandzyczka i zaczął na nowo obliczenia. Jeżeli wszystko poszło jak myślał, jeżeli żona umiała wpłynąć na gnusnego kapitana i natychmiast dano znać do Halfy, to pogoń powinna już być w drodze. Egipskie oddziały wielbłądzie i konne, powinny przy księżycu iść prędzej i lepiej niż w dzień.

Wiedział, że w Halfie był zwyczaj, iż trzymano przynajmniej jeden szwadron gotowy do wymarszu. Był kiedyś na obiedzie w koszarach i oficerowie mówili, jak prędko mogą puścić się w drogę. Pokazywali mu naczynia z wodą i paszą, przygotowane przy każdym wielbłądzie i podziwiał świetną organizację, nie przeczuwając ani na mgnienie, ile to dla niego zawąży. Stać się to wszystko powinno na jakąś godzinę przedtem, zanim ruszą z obecnego postoju. Będzie więc to godzina na czysto zarobiona. Może jutro rano...

Myśli jego zostały w straszny sposób przerwane. Pułkownik, rzucając się jak warjat, ukazał się na szczycie najbliższej wydmy, u rąk jego wisieli dwaj arabowie. Twarz miał purpurową ze wzburzenia, szarpał się i wił w nieludzkim wysiłku, aby się oswobodzić. — „Przekłęci zbrodniarze!“ — ryczał, a zobaczywszy towarzyszków, zawołał wielkim głosem: — „Zabili Cecila Browna!“

Rzecz tak się miała. W napadzie podrażnienia Cochrane zawlókł się na najbliższą wyniosłość i zobaczył w kotlinie z drugiej strony grupę wielbłądów, a za nimi głośno krzyżących, rozgniewanych ludzi. Środek sceny stanowił Brown, blady, z ciężkimi powiekami, podkręconym, ostrym wąsikiem, leniwy jak za-

wsze. Już uprzednio rabusie przeszukali mu kieszenie, ale teraz postanowili ściągnąć z niego ubranie, żeby się przekonać, czy czegoś nie ukrył. Ohydny murzyn w srebrnych kolczykach wykrzywił się i szwargotał w samą twarz młodemu dyplomacie. Niezamacony spokój Browna i jego obojętne oczy wydały się pułkownikowi czemś bohaterskiem i niemal nadludzkim. Rozpięli mu ubranie, wielka czarna łapa murzyna wsunęła mu się na plecy i rozdarła koszulę aż do pasa. Na odgłos rozdieranego płótna i pod dotknięciem chamskiej dłoni ten człowiek, wykwinny w każdym calu, ten skończony twór dziewiętnastego wieku, wyszedł z równowagi i stał się dzikim w zapasach z dzikimi. Ogień zalał mu twarz, nozdrza rozděły się, szczekał zębami jak w febrze. A oczy, te wiecznie senne lub łagodnie mrugające oczy, zaczęły miotać płomienie. Rzucił się na murzyna i począł go okładać słabo, ale z pasją, tak jakby biła kobieta: ze zgiętym łokciem i otwartą dłonią. Murzyn uchylił się na mgnienie, zaskoczony tym nagłym wybuchem wściekłości, ale zaraz z gwałtownym rykiem dobył noża z pod szerokiego rękawa i wałąc nim na oślep przed siebie, trafił pod wysunięte ramię przeciwnika. Brown przysiadł pod ciosem i zaczął kaszlać, prze-

rażliwie kaszlać, zanosząc się w ustawicznych spazmach, jak człowiek, który się zachłysnął przy jedzeniu. Po chwili jego płonące policzki zaczęły blednąć, z krtani dobywało się jakieś bulgoczące rżenie, wreszcie, uderzywszy się ręką po ustach, zwałił się na bok. Murzyn chrząknął z zadowolenia i wsunął z powrotem nóż pod rękaw. Tymczasem dwóch arabów chwyciło dygoczącego w bezsilnej złości pułkownika i zawlokło z powrotem ku towarzyszom. Skrepowano mu ręce postronkami i ciśnięto, pełnego niemej goryczy, tuż przy obląkanym niekonformiście.

Tak poszedł Headingly, poszedł Cecil Brown i napół przytomne oczy towarzyszków przechodziły od jednej bladej twarzy ku drugiej, śledząc kto teraz z kolei ubędzie z płochego korowodu jeźdźców, na których dziś rano patrzono z pokładu *Koroska*, gdy wyruszali na tle modrego nieba poranku. Dwuch z nich już nie stało, a trzeci postradał zmysły. Przejazdka dla przyjemności doszła chyba do zenitu.

Fardet, francuz, siedział sam, z brodą opartą na rękach, z łokciami na kolanach, wpatrzony z rozpaczą w pustynię. Nagle Belmont zobaczył, że się zrywa i zadziera głowę jak pies, kiedy usłyszy nieznanome kroki. Na-

chylił twarz, podniósł do oczu splecione palce i wytyżył wzrok w kierunku dalekich pagórków na wschodzie. Belmont poszedł za nim spojrzeniem i... Tak, niezawodnie, coś się tam ruszało! Widział połysk metalu i rozwiewne plamy białego ubrania. Derwisz, stojący na czatach, dwa razy obrócił wielbłądem na znak niebezpieczeństwa i dał strzał w powietrze. Jeszcze odgłos nie dogasł, kiedy już wszyscy siedzieli na siodłach, arabowie i murzyni. Znowu chwila, a wielbłądy były na nogach i zaczęły iść wolno w kierunku niebezpieczeństwa. Kilku zbrojnych ludzi otoczyło jeńców, nabijając w ich oczach karabiny, jak gdyby dla pogróżki.

„Przebóg, ludzie na wielbłądach!” — krzyknął Cochrane. Wszystkich mąk swych zapomniał na widok nadjeżdżających. — „To muszą być nasi!” — W ogólnem zamieszaniu udało mu się uwolnić ręce z postronków, które mi były skrepowane.

„Są żwawszy, niżem przypuszczał,” — mówił Belmont, z oczyma błyszczącymi z pod krzączastych brwi. — „Przybywają o dobre dwie godziny wcześniej, aniżemy mieli prawo oczekiwać. *Hurrah! Monsieur Fardet, ça va bien, n'est-ce pas?*”

„Hurrah! Hurrah! Merveilleusement bien! Vivent les Anglais! Vivent les Anglais!” — wył podniecony francuz, kiedy czoło kolumny wielbłądów zaczęło się wychylać z za skał.

„Uważajmy!” — wołał do Belmonta pułkownik. — „Mogą nas jeszcze zabić, skoro zobaczą, że wszystko stracone. Znam ich obyczaje, musimy być przygotowani na wszystko. Czy może pan wziąć na siebie tego jednookiego zbira? Ja sobie zastrzegam tamtego wielkiego murzyna, jeżeli tylko uda mi się go ścisnąć! Panie adwokacie, pan musi robić to samo co my. *Monsieur Fardet, comprenez-vous? Il est nécessaire.* Musimy zabić tych chamów, zanim rzucają się na nas. Ty, dragomanie, powiedz obu sudańczykom, że mają być gotowi... ale, ale...” — słowa jego załamały się w szept i zachwiał się na nogach. „To Arabowie...” — wybełkotał nie swoim głosem.

Z całego ciężkiego dnia ta chwila była najcieńsza. Szczęśliwy ksiądz Stuart leżał w piachu, plecami do wielbłąda i chichotał się radośnie z jakiegoś figlika, którego mu spłatały małe robotnice — komóreczki, zabiegając koło naprawy domu. Na twarzy jego malowało się rozbawienie i uciecha. Ale inni... — jakże strasznie czuli się wszyscy w tej chwili!

Kobiety płakały. Mężczyźni zapadli znowu w drętwotę, gorszą od łoż. Fardet rzucił się twarzą na ziemię, wstrząsany bezlawym szlochem.

Arabowie dali salwę na powitanie przyjaciół, tamci, wydostawszy się na otwartą przestrzeń, odpowiedzieli na powitania, podzuczając w powietrze strzelby i dzidy. Było ich mniej niż pierwszych, nie więcej nad trzydziestu ludzi, ubrania mieli takie same, czerwone turbany na głowie obok łaciastych kaftanów. Jeden trzymał białą chorągiewkę z nagryzłonym czerwonym napisem. Ale coś było, co odrywało oczy i myśli jeńców od tych szczegółów. Wszystkich jedna trwoga chwyciła za serce i wszyscy milczeli pod tem samem wrażeniem. W szeregu wojowników pustyni dojrzeli jakąś chwiejącą się postać...

„Kto tam jest z nimi?“ — przemówił wreszcie Stephens. — „Niech panie patrzą, to napewno kobieta!“

Ktoś siedział na wielbłądzie, ale niepodobna było rozpoznać. Aż kiedy oba oddziały zetknęły się, jeźdźcy rozstąpili się nagle i wtedy prawda wyszła na jaw niezbitcie.

„To biała kobieta!“

„Statek wzięty!“

Belmont wydał krzyk, który wzbil się
ponad wszystko:

„Nora! najdroższa! — Nie bój się! Jestem
tutaj i nic mi się nie stało!“.

ROZDZIAŁ VI.

Tak więc *Korosko* był wzięty i odsiecz, której wyglądali i wszystkie owe mozolne obliczenia czasu i odległości, stały się bezcielesną marą, jakby obłoki niebie. Nikt nie da znać do Halfy, dopóki się nie okaże, że statek nie wrócił wieczorem. Nawet teraz, gdy Nil był już tylko wąską zieloną wstążką na skraju widnokregu, pogoń jeszcze nie wyruszyła. Do kraju derwiszów jest wszystkiego sto mil, a może nawet i nie tyle. Jaka więc wątła nadzieja, aby wojsko egipskie ich odbiło! Zapadli wszyscy w niemą rozpacz, z wyjątkiem Belmonta, którego straż odepchnęła, kiedy chciał biedz do żony.

Oba oddziały jeźdźców złączyły się. Arabowie z powagą i godnością witali się i zawiązywali rozmowy, murzyni szczyrzyli zęby, paplali i krzyczeli w niesfornej wesołości, któ-

rej nawet koran nie był zdolny ująć w karby. Dowódcą nowoprzybyłych był ascetyczny starzec z siwą brodą i orlim nosem, szorstki w mowie i żołnierski w ruchach. Dragoman stęknął na jego widok i klasnął w ręce z wyrazem człowieka, który widzi, że klęska piętrzy się na klęsce.

„Emir Abderrahman!“ — rzekł — „boję się, że teraz już nie staniemy żywi w Chartumie.“

Imię to nic nie mówiło nikomu, jeden tylko pułkownik słyszał o emirze, jako o potworze okrucieństwa i fanatyzmu, nieprzejednanym muzułmaninie wojującego i nawracającego typu, który nigdy nie wahał się jeśli chodziło o doprowadzenie drapieżnych zasad koranu do ostatecznych konsekwencji. Rozmawiał teraz poważnie z emirem Wad Ibrahimem. Wielbłądy ich klęczały obok siebie, a ich czerwone turbany były ku sobie nachylone tak, że czarna broda zlewała się z siwą. Potem odwrócili się obaj i długo, uparcie przyglądali się nieszczęsnej gromadce jeńców. Młodszy pokazywał i tłumaczył, starszy słuchał z surową, przyciętą twarzą.

„Kto jest ten przystojny starzec z siwą brodą?“ — zapytała panna Adams, pierwsza budząc się z gorzkiego rozczarowania.

„To ich obecny naczelnik“—odpowiedział Cochrane.

„To znaczy, że przejmuje władzę tamtego?“

„Tak, pani“ — odparł dragoman — „on jest teraz nad wszystkimi.“

„To lepiej dla nas. Przypomina mi Eldera Matthew z czasów księdza Smitha. Bądź co bądź wolę być w jego ręku, niż w mocy tego czarnego diabła z palącymi oczami. Sadie, dziecko, jak się czujesz? Chłodniej jest teraz, prawda?“

„Tak, ciociu, bądź spokojna o mnie. A ty jak się masz?“

„Lepiej się trzymam, niż z początku, kiedy to ci dałam taki zły przykład, Sadie. Byłam do niczego, tak nagle to się stało, i ta obawa, co powie twoja matka, która mi ciebie powierzyła. *Boston Herald* napisze o nas na pewno na pierwszej stronie. Wiem, że są ludzie, których to zaboli...“

„Biedny ksiądz Stuart!“ — krzyknęła Sadie, gdy monotony, brzęczący głos znowu dobiegł ich uszu. — „Chodź, ciociu, zobaczymy, czy nie można mu jakoś pomóc.“

„Jestem niespokojny o panią Schlesinger i dziecko“—mówił pułkownik Cochrane.— „Widzę żonę pana, ale nikogo więcej.“

„Przyprowadzają ją“ — krzyknął Belmont. — „Bogu dzięki, dowiemy się o wszystkim. Nic ci złego nie zrobili! Nora, powiedz! nic?“ Poleciał chwycić i ucałować rękę, którą wyciągnęła ku niemu, schodząc z wielbłąda.

Widok miłych szarych oczu i słodkiej twarzy irlandki wlał otuchę we wszystkich. Była gorliwą katoliczką, a ta wiara jest najlepszą ostoją w godzinach niebezpieczeństwa. Dla niej, dla anglikanina pułkownika, dla księdza niekońformisty, dla amerykańskiej presbyterjanki, nawet dla czarnych pogańskich opryszków, religja pod różną postacią grała tę samą dobroczynną rolę: szepotała zawsze, że największe zło na świecie jest drobnostką, a chociaż twarde są drogi Opatrzności, najmądrzej i najlepiej czynimy, idąc ochoczo tam, dokąd ta Wielka Dłoń nas prowadzi. Ci towarzysze niedoli nie mieli jednego wspólnego dogmatu, ale podtrzymywał ich ten sam duch: spokojny, zasadniczy fatalizm, który jest starym jak świat ościeniem religji, bo siew dogmatów porasta dopiero z czasem jego granitowe podłoże.

„Biedniście!“ — mówiła pani Belmont, — „przeżyliście dużo gorsze rzeczy niż ja. Nie naprawdę, John, kochanie, nic mi nie jest,

nie mam nawet pragnienia, bo nasz oddział napęłnił łagwie w Nilu, dali mi pić, ile chciałam. Ale nie widzę pana Headingly i pana Browna? Oh! biedny ksiądz Stuart! Co mu się stało?”

„Headingly i Brown już są wolni od ziemskich trosk” — odparł mąż. — „Nie wiesz ile dziś razy dziękowałem Bogu, Noro, że nie jesteś z nami. A jednak się znalazłaś!”

„A gdzież mam być, jeżeli nie z mężem? Wolę stokroć tę niewolę, niż siedzieć bezpiecznie w Halfiel!”

„Czy żadna wiadomość nie doszła do miasta?” — zapytał pułkownik.

„Jedna łódka zdołała umknąć. Była w niej p. Schlesinger z boną i dzieckiem. Ja leżałam na dole w kajucie i kiedy arabowie wpadli na statek. Ci, którzy siedzieli na pokładzie, mieli czas uciec, ponieważ łódka stała tuż. Nie wiem, czy nikt nie jest ranny, bo arabowie strzelali przez pewien czas za nimi.”

„Strzelali?” — krzyknął radośnie Belmont, którego typowa irlandzka natura chwyciła się każdego promyczka. — „Jeśli tak, to klnę się, że damy im jeszcze, bo załoga musiała słyszeć strzelanie. Co pan o tem myśli, pułkowniku? Już od czterech godzin nas go-

nią! Lada minutą białe kapelusze oficerów brytańskich mogą się ukazać z za skał.“

Lecz pułkownik po niedawnym zawodzie był chłodny i sceptyczny.

„Mogą nie przychodzić wcale, jeżeli nie będą mieli dostatecznej siły. Te oba oddziały składają się z ludzi wybranych i mają dobrych wodzów, a na swoim gruncie będą się umiały bić“. — Nagle urwał i spojrzał na arabów: „Do djaska“ — mruknął — „to niezły widok.“

Wielkie czerwone słońce połową tarczy tonęło już w fioletowym pasie na widnokre-gu. Dla arabów była to godzina modłów. Starsza i bardziej uczona cywilizacja zwróciłaby się do tego cudownego zjawiska na niebie, jako do przedmiotu kultu. Ale ci dzicy synowie pustyni byli szlachetniejsi, niż ogładzeni persowie. Dla nich ideał był wyższy nad materję, więc modlili się plecami odwróceniem od słońca, twarzą ku najświętszemu ołtarzowi swej wiary. A jak się modlili! Uniesieni, porwani, z rozmarzonym okiem, a promiennem obliczem, wstawali, padali, tarzali się po rozłożonych do modlitwy dywanikach. Kto patrzył na nich, musiał uznać, że istnieje jakaś wielka, żywa siła w świecie, wsteczna, lecz przerażająca, nieprzeliczone miliony, które my-ślą jak jeden mąż od przylądku Juby po krańce

Chin. Niech tylko jakaś jedna spólna fala przejdzie po nich, niech zrodzi się wśród nich jeden wielki żołnierz, czy organizator i chwyci w rękę i zużytkuje ten cały materiał, a nie ulega wątpliwości, że może to być miotła, którą Opatrzność wymiecie zgniłe, znikczemniałe południe Europy, jak to uczyniła przed tysiącem lat, aby zrobić miejsce dla jakiejś zdrowszej rasy.

Kiedy podnieśli się od modlitwy, zabrzmiał głos rogu i więźniowie zrozumieli, że po całodziennej jeździe, grozi im jeszcze jazda nocą.

Belmont mruczał, bo liczył, że pościg dogoni ich jeszcze przed wyruszeniem. Za to pozostali pogodzili się już z koniecznością. Dano im wszystkim po płaskim bochenku arabskiego chleba.

Żadne frykasy nie smakowały im nigdy tak, jak ten suchy, razowy chleb. A potem — zbytek nad zbytkami! — dostali jeszcze po kubku wody, bo świeżo napełnione worki drugiego oddziału wzmogły znacznie zapasy. Gdyby ciało umiało tak snadnie iść za rozkazami ducha, jak duch idzie za rozkazami ciała, jakim rajem mogłaby być ziemia! Gdy niskie zwierzęce potrzeby zostały zaspokojone, rozśpiewały się w nich dusze

i wsiedli na wielbłądy, jakby w poczuciu pewnej powieściowości swego położenia.

Bredzący ksiądz Stuart został na ziemi i arabowie nie zatroszczyli się zupełnie, żeby go wsadzić na siodło. Jego wielka, ku niebu obrócona twarz, bielila się wśród gęstniejących mroków.

„Hej! dragoman, powiedz im, że zapomnieli o księdzu“ — krzyknął pułkownik.

„To na nic, panie“ — odrzekł Manzor. — „Powiadają, że jest za gruby i nie chcą go wlec dalej. Umrze — mówią — po co sobie zawracać nim głowę?“

„Zostawić go?“ — zawołał pułkownik. — „Ależ on zginie z głodu i pragnienia! Gdzie emir? Hej!“ — krzyknął, gdy kruczobrody arab przejeżdżał мимо, tonem, jakim zwykły był przyzywać leniwego oślarza. Naczelnik nie raczył odpowiedzieć, powiedział natomiast coś strażnikowi, a ten kolbą od karabinu zdzielił pułkownika po żebrach. Stary żołnierz runął z wielbłąda, ziejąc. Podnieśli go pół przytomnego i przywiązali do siodła. Kobiety zaczęły płakać, mężczyźni mrużeli przekleństwa i zaciskali pięści, bezsilni wobec brutalności i bezprawia. Belmont macał po kieszeniach, szukając rewolweru, wtem przypomniał sobie, że go oddał pannie Adams. Gdyby jego ręka

poczuła w tej chwili broń, znaczyłoby to śmierć emira i rzeź wszystkich pojmanych.

I znowu jechali, a przed nimi tymczasem rozegrało się jedno z najciekawszych zjawisk pustyni egipskiej, lubo po sponiewieraniu pułkownika, niezbyt byli usposobieni do podziwiania piękności przyrody. Kiedy słońce zapadło, niebo przybrało barwę fioletowo-burą. Ale po pewnym czasie zaczęło jaśnieć i świecić, aż wykwitła z niego pozorna zorza i zdawało się, że słońce, chwając się, powraca wstecz po drodze, którą niedawno odbyło. Różowość zalala zachód, na wyższym krańcu przechodząc w delikatny morski seledyn. Powoli barwy gasły i zapadła noc. Upłynęło dopiero dwadzieścia cztery godziny, od chwili, gdy na salonowym pokładzie *Koroska*, w pysznych fotelach, pod światłem gwiazd rozprawiali o polityce; zaledwie dwanaście godzin, odkąd po rannem śniadaniu ruszyli rzeźcy i strojni na ostatnią wyprawę. Jakiż świat nowych wrażeń spadł na nich od tej chwili! Jak brutalnie wytrącono ich za tak, zdawało się, niezawodną szczęśliwość. Te same gwiazdy, na które patrzyli wczoraj, świecą i dzisiaj, ten sam wążki sierp księżycy, a oni? Co za straszna odmiana!

Długi sznur wielbłądów posuwał się przez pustynię, bezszelestnie, jak duchy. Przed sobą

i za sobą nieszczęśnicy widzieli ciche i kołyszące się białe postacie arabów. Znikąd dźwięku żadnego, najlżejszego poszmeru. Nagle gdzieś z dali dobiegł silny, natarczywy, nieczysty śpiew. — Jakież przedziwne wrażenie w tej głuchej dzicy! A układał się śpiew ów w dobrze znany rytm, nieomal, że słychać było słowa:

„Co noc wędrowne rzucamy namioty—
Bliżsi o dzień od domu.“

Czy ksiądz odzyskał przytomność? Czy tylko zbieg dziwny sprawił, że w obłądnie swoim wybrał właśnie tę melodię? Towarzy-sze oglądali się za siebie w ciemności wilgotnymi oczyma, bo wiedzieli, że dla tego wędrownika dom jest już bardzo blisko. Stopniowo głos cichł, aż wsiąknął we wszechwładną głuchność pustyni.

„No cóż, stary pocziwcze, liczę, że nic ci złego nie zrobili?“ — rzekł Belmont, kładąc rękę na kolanach pułkownika.

Pułkownik wyprostował się, chociaż jeszcze trochę dyszał.

„Już teraz mi dobrze. Czy nie zechciałby mi pan pokazać człowieka, który mnie uderzył?“

„To tamten, przed nami, koło wielbłąda Fardeta.“

„Ten młody z wąsami? Nie bardzo go widzę w tym świetle, ale myślę, że go jeszcze dziobnę. Dziękuję panu.“

„Myślałem, że panu strzaskał zebra.“

„Nie, ale tak mnie wytlukł, że prawie ducha wyzionął.“

„Pan jest żelazny człowiek. To było straszne uderzenie. Jak pan mógł tak prędko przyjść do siebie?“

Pułkownik chrząknął, chciał coś powiedzieć i zaciął się.

„Fakt jest, drogi panie, — wiem, że pan to zatrzyma przy sobie, zwłaszcza idzie mi o kobiety — ale pierwszy raz czuję się starym i widzę, że tracę wojskową postawę, którą zawsze tak sobie ceniłem.“

„Co? gorset? Boże święty!“ — krzyknął osłupiały irlandczyk.

„Drobna sztuczna podpora“ — odpowiedział sucho pułkownik i skreślił rozmowę na temat jutrzejszych perspektyw.

Dotąd jeszcze znajomym naszym wraca we snach wspomnienie nocnego pochodu przez pustynię. On sam był jak sen, przez cichość, z jaką ich niosły włochate, miękkie nogi wielbłądów i przez majaczące wokół

nich białe postacie. Niebo wisiało nad nimi, niby potworny zegar. Jakaś gwiazda migotała na samym poziomie jak latarnia. Spojrzeli: podniosła się na szerokość dłoni, a pod nią błyszczała inna. Godzina za godziną szeroki strumień płynął bez zadrżenia po granatowym tle, światy i gwiazdozbiory sunęły majestatycznie i lały się przez ciemny horyzont. Ogrom i wielkość były niejako pociechą dla nieszczęśliwych, bo ich własny los i osoby zdały się znikome i bez znaczenia wobec igrzyska najwyższych potęg. Powoli wielka procesja przemierzała niebo, wznosiła się, potem, przez pozorną powolność obrotu, trzymała się długo na wyżach, wreszcie zaczęła się spuszczać, aż dopóki na wschodzie nie pojawiła się pierwsza zimna szarość i w tej szarości więźniowie przerazili się nawzajem straszny wyglądem swoich bladych twarzy.

Dzień zabijał ich upałem, a noc przyniosła jeszcze większą udrekę—zimno. Arabowie opatulili się w burnusy i poowijali głowy. Oni zaś bili się rękami dla rozgrzewki i marzli niemilosiernie. Najbardziej cierpiała panna Adams, bo była chuda i z powodu wieku niedokrwiasta. Stephens zdjął z siebie kurtkę i zarzucił jej na ramiona. Jechał obok Sadie, gwizdał i wygadywał, jak gdyby chciał poka-

zać, że ciotka zrobiła mu przysługę, kładąc jego ubranie, w rzeczywistości jednak doskonale widać było, że nadrabia miną. Wszakże tyle w tem było prawdy, że mniej od innych czuł zimno, bo w sercu palił mu się ogień i dziwna radość mieszała do wszystkich klęsk, tak, że nie umiałby odpowiedzieć, czy ta przygoda była największem przekleństwem, czy największem błogosławieństwem w jego życiu. Na statku, wobec młodości Sadie, jej urody, wesołości i inteligencji, uważał, że w najlepszym razie może być tolerowany. Ale tu poczuł, że naprawdę może jej się na coś przydać, że zwraca się do niego jak do naturalnego swego opiekuna, a nadewszystko sam zdobył przeświadczenie, że pod całym balastem, jakim przytłoczyła go sztuczna tresura, jest silnym i do życia stworzonym człowiekiem. Małeńka iskierka szacunku dla samego siebie zaczęła rozgrzewać mu krew. Zmarnował, prawda, w swoim czasie młodość własną, ale teraz, kiedy już był człowiekiem średnich lat, młodość ta zajaśniała przed nim jak piękny późny pąk.

„Zdaje się, że pana to wszystko cieszy“ — zwróciła się do niego Sadie z pewnym wyzutem.

„Cieszy, to za mocno powiedziane“ — od-

rzekł.—„Ale jestem pewny, że pani bym tu nie opuścił“.

Było to pierwsze cieplejsze zdanie, na jakie sobie pozwolił wobec niej i Sadie spojrziała na niego zdziwiona.

„Widzę, że byłam przez całe życie złą dziewczyną“—zacząła mówić po chwili.—„Ponieważ mnie samej było dobrze, nie myślałam o nieszczęśliwych. Dziś przejrzałam. Jeżeli jeszcze kiedy wrócę, będę lepszą, poważniejszą kobietą—w przyszłości“

„A ja lepszym człowiekiem. Myślę, że właśnie dlatego przychodzą na nas nieszczęścia. Niech pani spojrzy, jak wyszły na jaw zalety naszych towarzyszy. Biedny ksiądz, na przykład. Czy przeczuliibyśmy kiedykolwiek, że to taki szlachetny, mocnych zasad człowiek? A Belmont i żona, tu przed nami, jak bez trwogi jada, trzymając się za ręce, każde tylko z myślą o drugim! Albo pułkownik, który na statku wydawał się zawsze taki nieprzystępny, taki ciasny. Widzieliśmy jego odwagę i niesamolubne narażanie się dla innych. I Fardet jest waleczny jak lew. Myślę, żeśmy wszyscy zyskali przez nieszczęście.“

Sadie westchnęła.

„Jeżeli się dobrze skończy, będziemy mogli tak powiedzieć. Ale jeżeli tak ma trwać

parę tygodni czy miesięcy, aby potem zamknąć się śmiercią, nie wiem, jakabyśmy korzyść odnieśli z naszego wyszlachetnienia. Dajmy na to, że pan z tego wyjdzie, co pan ma zamiar robić?”

Adwokat zawahał się, ale jego zawodowy nałóg był jeszcze bardzo silny.

„Zbadam, jaka to sprawa jest i przeciwko komu. Czy odpowiedzialni są organizatorowie wycieczki, że nas zawieźli do Abu-Sir, czy rząd angielski, że nie pilnuje granic. To będzie bardzo ciekawy proces. A jakie pani ma projekty, Sadie?”

Po raz pierwszy nie zatytułował jej urzędowo „panną Sadie“, ale ona była zbyt przejęta, żeby to zauważyć.

„Będę cieplejsza dla innych“ — odparła. — „Postaram się kogoś uszczęśliwić przez pamięć nędzy, z której wyszłam.“

„Pani przez całe życie nic innego nie robiła, prócz uszczęśliwiania innych. Nie potrzebuje się pani uczyć tego.“ — W ciemności łatwiej mu było przełamać zwykły obojętny ton. „Dla pani ta twarda szkoła jest mniej potrzebna, niż dla kogokolwiek. W jaki sposób pani charakter mógłby wyszlachetnieć?“

„Widać, jak pan mię mało zna. Byłam zawsze bardzo samolubna i lekkomyślna.“

„W każdym razie nie potrzebowała pani takich mocnych wstrząśnień. Była pani zawsze i bez nich dosyć żywa. Co innego ja.“

„A do czego panu potrzebne wstrząśnienia?“

„Bo nic niema gorszego od martwoty. Już lepsze jest cierpienie. Ja dopiero teraz zacząłem żyć. Dotychczas byłem na tym świecie maszyną. Byłem człowiekiem jednostronnym, a człowiek jednostronny ledwie o włos różni się od człowieka umarłego. To właśnie zrozumiałem dzisiaj. Bo przez te wszystkie lata nic mię nigdy nie przejęło, nigdy nie wezbrała we mnie fala prawdziwych ludzkich wzruszeń. Nie miałem na to czasu. Widziałem to u innych i niejasno zadawałem sobie pytanie, czy jest we mnie jakiś brak, który nie pozwala mi dzielić doświadczeń moich bliźnich? Ostatnie dni jednak pokazały mi, że i ja mogę żyć bujnym życiem, że i ja jestem zdolny do płomiennych nadziei i do śmiertelnych trwóg, że i ja mogę, że i ja mogę — tak — że i we mnie są silne uczucia, które dusza mogłaby przeżyć. Stoję może nad krawędzią grobu, ale w każdym razie mogę powiedzieć, że żyłem.“

„A dlaczego pan prowadził takie zabójcze życie w Anglii?“

„Ambitny byłem, pragnąłem się wybić. A przytem musiałem myśleć o matce i siostrach. Dzięki Bogu, świta. Ciocia i pani przestaną marznąć.“

„A jak panu jest bez marynarki?“

„O, ja jestem zdrow jak ryba. Mnie tak jest doskonale.“

Długa, ciężka noc mijała. Granatowe niebo przeszło w przecudny liljowy cień, przez który jeszcze przebijały większe gwiazdy. Na wschodzie szary pas rozszerzał się coraz bardziej i zachodził lekkim różem, a na nim wachlarzowato rozstrzeliwały się i drżały promienie niewidzialnego słońca.

Wtem nagle jadący uczyli ciepłe dotknięcie na plecach, a przed nimi wyskoczyły na piasku czarne cienie. Derwisze porzucali płaszcze, podniósł się gwar rozmów. I więźniowie poczęli ożywiać się i zajadali chciwie „dore“, którą im wyznaczono na śniadanie. Oznajmiono krótki odpoczynek i wszyscy dostali po kubku wody.

„Czy mogę z panem pomówić, panie pułkowniku?“ — zapytał dragoman.

„Nie“ — odburknął Cochrane.

„Ale to coś bardzo ważnego, od tego zależy nasze ocalenie.“

Pułkownik zmarszczył brwi i targnął węża.

„Co to takiego?” — spytał nareszcie.

„Pan powinien mi ufać, bo mnie tak samo jak panu zależy na tem, żeby wrócić do Egiptu. Mam tam dom, żonę, dzieci, tu niewolę. Pan przecie nie ma powodu wątpić o tem.“

„No, co dalej?”

„Pan pamięta tego czarnego, który z panem rozmawiał? — tego, który służył pod Hicksem?”

„Tak, bo co?”

„Mówiłem z nim w nocy. Długośmy rozmawiali. Powiada, że nie bardzo może pana rozumieć, ani pan jego. Dlatego przyszedł do mnie.“

„Co takiego mówił?”

„Powiedział, że między arabami jest ośmiu żołnierzy egipskich, sześciu czarnych i dwóch fellahów. Mówił, że jeżeli pan im przyrzeknie grube wynagrodzenie, to oni państwu pomogą uciec.“

„Przyrzekam, rozumie się.“

„Żądali po sto funtów egipskich na każdego.“

„Dostaną.“

„Powiedziałem, że się pana zapytam, ale, jestem pewny, iż pan się zgodzi.“

„Jak oni to planują?“

„Nie mogli nic obiecać, ale myślę, że najlepiej będzie, jeżeli będą się trzymali ze swemi wielbłędami blisko państwa tak, że gdyby coś się nadarzyło, będzie można odrazu skorzystać.“

„Dobrze. Możesz obiecać każdemu po dwieście funtów, jeżeli nam dopomogą. Czy nie myślisz, że możnaby przekupić kilku arabów?“

Manzor zaprzeczył ruchem głowy.

„Za ryzykowna próba. Przypuśćmy, że robimy to i nie udaje się, to jest nasz koniec. Idę powtórzyć im, co pan powiedział.“

Powlókł się do czarnego ex-artyleryzisty, który czyścił wielbłąda, czekając na odpowiedź.

Emirowie zamierzali odjechać najdalej za pół godziny, ale wielbłądy pociągowe, na których jechali więźniowie, były tak pomęczone forsownym marszem, że okazało się wprost niepodobieństwem ruszyć się z miejsca. Leżały z szypami wyciągniętymi na ziemi, co jest dowodem ostatecznego wyczerpania. Obaj dowódcy kiwali głowami na ich widok, a straszny starzec wpatrzył się w więźniów swoją dra-

piezną, kamienną twarzą. Potem powiedział coś do Manzora, którego twarz zbieła jeszcze bardziej na jego słowa.

„Emir Abderrahman powiada, że jeżeli państwo nie nawrócą się na islam, niema potrzeby łamać szyku karawany i oddawać wam wielbłądów pociągowych. Gdyby nie państwo, możnaby jechać dwa razy prędzej. Dlatego chce wiedzieć i to zaraz, w tej chwili, czy uznacie koran“. — A potem tym samym tonem, jakby jeszcze tłumaczył, ciągnął: — „Lepiej, żeby państwo się zgodzili, bo inaczej, śmierć pewna.“

Nieszczęśni pojmańcy patrzyli po sobie w rozpacz. Obaj emirowie śledzili ich z uwagą.

„Co do mnie“ — zaczął Cochrane — „wszystko mi jedno, czy zaraz umrzeć, czy być niewolnikiem w Chartumie.“

„A ty co mówisz, Noro?“ — zapytał Belmont.“

„Jeżeli umrzemy razem, John, myślę, że się nie będę bała.“

„Absurd jest, żebym umierał za to, w co nigdy nie wierzyłem“ — mówił Fardet.— „A jednak honor nie pozwała francuzowi nawracać się w ten sposób“.— Wypiął się, zatknął zranioną rękę za tużurek i wykrzykiwał: — „*Je suis*

chrétien. J'y reste“ — z elegancją, ale i z fałszywą nutą w każdym zdaniu.

„A co pan?“ — zapytał Manzor Stephensa błagalnym głosem. — „Jeżeli pan się nawróci, to ich wprawi w dobry humor. — Zaklinam, niech pan zrobi, jak żądają.“

„Nie, nie mogę“ — odpowiedział spokojnie adwokat.

„To może pani, panno Sadie? Może panna Adams? Trzeba tylko powiedzieć to od razu, a będą panie uratowane.“

„O, ciociu, czy naprawdę?“ — jęczała wystraszona dziewczyna — „Czy byłby taki wielki grzech to powiedzieć?“

Ciotka objęła ją ramieniem.

„Nie, nie, małeństwo moje, odwagi! Samabyś się znienawidziła za to kiedyś. Trzymaj się mnie i módl się, dziecko, jeżeli cię siły opuszczają. Stara ciotka cały czas będzie cię trzymała za rękę.“

Na chwilę stali się bohaterami ci zmaltretowani poszukiwacze wrażeń. Wszyscy patrzyli w twarz śmierci, a im bardziej zbliżała ją widzieli, tem mniej czuli trwogi. Zdawali sobie raczej sprawę z pewnego rodzaju ciekawości, obok nerwowego dreszczu, takiego, z jakim zwykle siadamy na fotelu u dentysty. Dragoman uczynił ruch rękoma, jak człowiek,

który próbował i chybił. Emir Abderrahman powiedział coś do murzyna, który oddalił się pędem.

„Jakie mu do tego nożyczki potrzebne?” — zapytał pułkownik.

„Poszedł, bo chcą okaleczyć kobiety” — objaśnił Manzor z tym samym gestem niemocy.

Mróz przeszedł im przez kości. Patrzyli po sobie z tępej przerażeniem. Co innego śmierć w oderwaniu, a co innego te ścinające krew szczegóły. Każdy za siebie, zdawało się, że przeniesie wszystko, ale ich serca przejęte były i łosem pozostałych.

Kobiety milczały, wśród mężczyzn natomiast gotowało się.

„Pani ma pistolet” — mówił Belmont. — „Proszę o niego, nie damy się torturować.”

„Obiecuj im pieniądze, Manzorze” — krzyczał Stephens. — „Obiecuj im wszystko. Słuchaj, przyjmuję islam, jeżeli przyrzekną puścić panie. Przecież to ostatecznie do niczego nie obowiązuje. To jest pod przymusem, ale nie pozwolę dręczyć kobiet.”

„Niech pan poczeka chwilę” — uspakał pułkownik — „nie wolno nam tracić głowy. Zdaje się, że mam sposób. Słuchaj, dragoman, powiedz temu staremu szatanowi, że my jeszcze zupełnie nie znamy jego parszywej

religji. Tylko określisz to delikatniej. Powiesz, że nie możemy jej przyjąć, dopóki nie wiemy, co to jest to plugastwo, w które chce, żebyśmy uwierzyli. Powiesz, że gdyby zechciał nas pouczyć, bardzo chętnie posłuchalibyśmy jego wykładu, a możesz dodać, że wiara, która wydaje takie cuda, jak jego i tę drugą czarnobrodą maskarę, zasługuje na wszelką uwagę.“

Śród pokłonów i błagalnego składania rąk dragoman wyjaśnił, że chrześcijanie są już pełni wątpliwości i że trzeba jeszcze tylko trochę światła wiedzy, żeby ich wprowadzić na drogi Allaha. Emirowie gładził brody i patrzyli na siebie podejrzliwie. Wreszcie Abderrahman powiedział dragomanowi coś swoim zwykłym szorstkim głosem i obaj oddalili się. Wkrótce potem róg dał znak do wsiadania.

„Powiada“ — mówił Manzor, jadąc między więźniami — „że koło południa dojedziemy do źródeł i tam się zatrzymamy. Jego własny mułła, bardzo dobry i uczony człowiek, przyjdzie do państwa na godzinę nauki. Wtedy wybieriecie jedno lub drugie wyjście. Według tego rozstrzygną, czy wieść was do Chartumu, czy skazać na śmierć. To jest jego ostatnie słowo.“

„O okupie nie mówią?“

„Wad Ibrahim wzięłby, owszem, ale emir Abderrahman to jest straszny człowiek, Radzę państwu nie sprzeciwiać mu się.“

„Ty sam co zrobiłeś? Także jesteś chrześcijanin?“

Twarz Manzora zalała się ogniem.

„Byłem wczoraj rano. Może jutro rano będę znowu. Służę Panu póki to, czego żąda, jest rozsądne, ale tu stało się inaczej.“

Odjechał między strażników ze swobodą, która dowodziła, że po zmianie religii przebywa tu na zupełnie innej stopie, niż wszyscy więźniowie.

Tak więc zarobili parę godzin zwłoki, chociaż jechali ciągle pod grozą śmierci. Co jest takiego w życiu, że się go tak wszyscy czepiamy? Nie rozkosze przecie, boć i ci, dla których istnienie jest długą męką, cofają się z krzykiem, gdy śmierć - uśmierzycielka wyciąga ku nim dobrotliwe ramiona. Nie stosunki, bo zmieniamy je wszystkie, nim przebieżemy tę szeroką drogę, aż po kres, którego nie uniknie żaden, syn ani córka człowiecza. To strach przed zagubieniem siebie, tego najdroższego wewnętrznego „ja“, które pozornie tak dobrze znamy, choć ono wiecznie dokonuje czynów najzupełniej dla nas samych niespodziewanych. Dla niego to zdecydowany

samobójca wiesz się rozpaczliwie u tamy, na którą go rzeka rzuciła. A może przyroda tak się lęka, żeby wszyscy utrudzeni pracownicy nie porzucili odrazu narzędzi i nie przerwali roboty, iż takim sposobem trzyma ich przy warsztacie? Dość, że tak jest i ci skołatani, nieszczęśliwi ludzie cieszyli się z owych kilku krótkich godzin, jakie im jeszcze pozostawiono do życia.

ROZDZIAŁ VII.

Nie było nic na ich drodze, kiedy tak ciągle posuwali się naprzód, coby dało poznać, że nie jest to już to samo miejsce, w którym wczoraj wieczorem zastał ich zachód. Pas fantastycznych, czarnych pagórków z pomarańczowymi plamami piasku, — dobrze im znane obramowanie rzeki, — już się dawno skończyło. Teraz leżała na wszystkie strony bura, falista, zwirowata pustynia, bałwany o grzywach z utoczonych, lśniących krzemieni, gdzieniegdzie z lichą kępką trawki wielbłądziej. I tak było aż po skraj widnokregu, do owej wzniesionej nieco linii błękitnawych wzgórz. Słońce nie stało dotąd bardzo wysoko, dzięki czemu nie było jeszcze wczorajszego kłującego światła i cały rozległy, płowy krajobraz w liljowej oprawie występował w nie-

skazitelnie czystem i suchem powietrzu. Długa karawana wlokła się pod takt ociężałych kroków wielbłądów pociągowych. Daleko na skrzydłach jechały podjazdy, przepatrując pustynię za sobą, z rękami przy oczach. Z odległości wyglądało to, jak gdyby dzidy i karabiny wyrastały z samych postaci arabów, proste i cienkie, niby druty do pończoch.

„Zdaniem pana, jak daleko jesteśmy od Nilu?” — zapytał Cochrane. Jechał z głową wciśniętą w ramiona i wzrokiem utkwionym badawczo we wschodnim skraju widnokregu.

„Z dobre pięćdziesiąt mil” — odpowiedział Belmont.

„Nie sądzę” — zaprzeczył pułkownik. —

„Nie jechaliśmy naogół dłużej nad piętnaście czy szesnaście godzin, a wielbłąd, o ile nie idzie klusa, nie robi więcej niż pół trzeciej mili na godzinę. Byłoby to razem dopiero czterdzieści mil, ale i tak się boję, że na odbicie już jest za daleko. Nie wiem, czyśmy wiele wskórali przez tę zwłokę. Na co możemy jeszcze liczyć? Niema co, trzeba się będzie pogodzić z losem.”

„Nigdy w życiu!” — uniósł się męźny irlandczyk. — „Jeszcze mamy masę czasu do południa. Hamilton i Hedley z Korpusu Wielbłądziego to zuchy chłopaki, napewno lecą

za nami jak strzała. Przytem ich nie hamują wielbłądy pociągowe, może pan polegać na nich. Byłem przecie u nich na obiedzie onegdaj i opowiadali mi, jakie mają środki przeciwko napadom, tak że według mnie z zupełnem zaufaniem możemy zawierzyć im życie.“

„Wolno panu ufać,—ja, co do mnie, nie mam zbyt wielkich nadziei“ — odparł Cochran. — „Inna rzecz, że musimy nadrabiać miną wobec pań. Widzę, że Tippy Tilly jest porządny chłopiec i dotrzymał słowa, bo tych pięciu murzynów i dwóch białych z nimi, to muszą być ludzie, o których mówił. Trzymają się wszyscy razem, to prawda, ale nie wiem, w jaki sposób mogliby nam pomóc.“

„Dostałem z powrotem pistolet“ — szepnął Belmont, a jego mocny kwadratowy podbródek wydawał się w tej chwili wykuty z granitu. — „Jeżeli tylko ośmielą się zbliżyć do kobiet, położę własnoręcznie tych wszystkich trzech, a potem już będziemy mogli umrzeć łatwiej.“

„Kochany z pana człowiek“ — rzekł Cochran i jechali dalej w milczeniu. Wogóle nikt nie miał ochoty do rozmowy. Padła na nich senna odrętwiałość, jakby po narkotyku. — „To przyrodzenie samo ma dla nas

swoje własne uśmierzające środki, ilekroć jakieś wrażenie zbyt silnie wstrząśnie nam nerwy. Myśleli o przyjaciółach swoich i o daw-
nem życiu w sposób, w jaki je zawsze wi-
dzimy, kiedy się już dopełniło. Nieuchwytna
słodycz mieszała się z grozą ich przeznaczeń.
Pełni byli jednocześnie rozpacz i ciszy.

„Tu jest djabelnie pięknie“ — zauważył,
rozglądając się, pułkownik. — „Miałem zawsze
przecucie, że umrę w pocziwej, rudej, praw-
dziwie londyńskiej mgle. Nie można było
zrobić gorszej zamiany.“

„A ja zawsze chciałam umrzeć we śnie“ —
rzekła Sadie. — „Jak to musi być cudow-
nie, obudzić się i znaleźć w innym świecie!
Pamiętam dotąd wiersz, który Hetty Smith
deklamowała na pensji. „Nie mów dobranoc,
ale życz mi powitania w jakiejś piękniejszej
krajnie.“

Purytanka ciotka pokiwała głową na tę
myśl.

„Straszna to rzecz stanąć nieprzygoto-
wanym przed obliczem Stwórcy.“

„W śmierci tylko rozłączenie jest strasz-
ne“ — sprostowała pani Belmont. — „Gdyby-
śmy mogli umierać jednocześnie z tymi, któ-
rych kochamy, mielibyśmy co najwyżej wra-
żenie, że zmieniamy mieszkanie.“

„Jeżeliby miało przyjść nawet najgorsze“ — zapewnił mąż, — „nie będziemy rozłączeni. Pójdziemy wszyscy razem i spotkamy, czekających po tamtej stronie, Browna, Headingly'ego i księdza.

Francuz wzruszył ramionami. Nie wierzył w życie poza grobowe, ale zazdrościł katolickiej parze, że może te rzeczy brać tak dosłownie. Śmiać mu się chciało na myśl, iż jego przyjaciele z Café Cubat powiedzą, że położył życie za wiarę chrześcijańską. Chwilami bawiło go to, chwilami drażniło niewypowiedzianie, więc jechał w nastroju, przerzucającym się ze śmiechu w rozpacz, a cały czas tulił i pieścił chorą rękę, jak matka.

Skroś burej, żwirowatej pustyni widać było od pewnego czasu długi żółty pas, ciągnący się z północy na południe, jak daleko oko sięga. Była to wstęga piaszczysta, nie szersza niż na kilkaset jardów, a w niektórych tylko miejscach dochodząca do ośmiu lub dziesięciu stóp wysokości. Ale więźniowie zauważyli ze zdziwieniem, że arabowie pokazują ją sobie z wyrazem najwyższego zakłopotania i że zatrzymują się, doszedłszy do owego pasa, jakby nad brzegiem nieprzebytej rzeki. Był to jasny, pyłki piasek, który przy najłżejszym powiewie unosił się w powietrze,

kołując jak chmura komarów. Emir Abderahman spróbował wjechać weń wielbłądem, ale zwierzę po paru krokach stanęło, drżąc ze strachu. Dwaj wodzowie rozmawiali ze sobą przez chwilę, poczem cała karawana pociągnęła na południe, zostawiając pas piaszczy-
sty po lewej ręce.

„Co to znaczy?“ — zapytał Belmont dragomana który akurat jechał koło niego.

„Lotne piaski“ — odpowiedział Manzor. — „Co pewien czas wiatr je nanosi w jakieś miejsce, tak jak tutaj. Jutro, jeżeli zawieje, może nie zostać ani pyłku, ale wszystko pójdzie w powietrze. Arabowie muszą nieraz nakładać po pięćdziesiąt i sto mil, żeby okrążyć zaspę. Gdyby próbowali przebić się, wielwładzy połamałyby nogi, a oni mogliby się podusić w zawierusze.“

„Jaki to długi może być pas?“

„Nie można wiedzieć.“

„Widzi pan, panie pułkowniku, dla nas to się dobrze składa. Im dłuższa wydma, tem lepiej dla wypoczętych wielbłądów“ — i po raz setny obejrzał się za siebie po nieogarnionym widnokregu. Leżała za nimi wielka, głucha, brunatna pustynia, ale ani śladu błysku stali czy białych hełmów za którymi tak tęsknili.

Bardzo prędko wyszło na jaw niebezpie-

czeństwo nowej przeszkody. Zakotłowało się odrazu w powietrzu bez żadnego powodu, jak gdyby w pustym pokoju ktoś dmuchnął w smugę kurzu. Ciekawa rzecz, że chociaż chwilami zaspą była tak wąska, iż można ją było przesadzić jednym susem, arabowie jeszcze woleli nakładać setki mil, niż zaryzykować przejście.

Kiedy znaleźli się znowu na pewnym gruncie, zacięto wielbłądy i karawana puściła się truchtem, przez co nieszczęśni jeńcy zaczęli się kurczyć i podrygiwać w komiczny i godny pożałowania sposób. Na razie było to dosyć zabawne i uśmiechali się do siebie, ale wkrótce zabawa stała się męczarnią: ból we wszystkich kościach, łamanie w krzyżu, które wkrótce okazało się nie do zniesienia.

„Nie mogę już wytrzymać, Sadie“ — żaliła się panna Adams. — „To nad moje siły. Spadnę.“

„Nie, nie, ciociu, możesz sobie coś złamać, upadając. Jeszcze trochę cierpliwości, może się zatrzymają.“

„Niech pani się przechyli w tył i trzymaj siodła za sobą“ — pośpieszył z radą pułkownik. — „Zobaczy pani, że będzie o wiele mniej podrzucało“. — Zdjął woal z kapelusza i związawszy końce, wsunął go na przednią

kulę siodła. — „Niech pani włoży nogę w tę pętlicę, będzie pani miała wrażenie, że to strzemię“.

Ulga była natychmiastowa, to też Stephens zrobił to samo dla Sadie. Ale w tej samej chwili jeden z wycieńczonych wielbłądów obsunął się z łomotem, zeszywniałe nogi szeroko upadły na piasek, jakby zupełnie ze sobą niezwiązane i karawana powróciła do poprzedniego umiarkowanego tempa.

„Czy to nowa ławica lotnych piasków?“ — spytał niespodzianie pułkownik.

„Nie, to coś białego“ — zauważył Belmont. — „Manzor, słuchaj, co to widać przed nami?“.

Ale dragoman pokręcił głową.

„Nie wiem, co to jest, panie. Nigdy w życiu nic podobnego nie widziałem“.

Prosto, jak strzelił, z północy na południe, biegła biała linja, jakby ją kto kredą narysował na brązowej tablicy. Była bardzo wąska, ale ciągnęła się bez przerwy od krańca do krańca widnokregu. Tippy Tilly powiedział coś do dragomana.

„To wielka droga karawan,“ — powtórzył Manzor.

„A dlaczego w takim razie jest biała?“

„Od kości“.

Zdawało się nieprawdopodobne, a jednak było prawdą, bo kiedy przyjechali bliżej, zobaczyli trakt wyżłobiony przez długie jazdy, a tak całkowicie zasypany kośćmi, że wyglądał jak nieprzerwana biała wstęga. Czaszki zwierzęce były wszędzie rozsiane, a żebra leżały tak blisko jedne drugich, że chwilami robiły wrażenie szkieletu potwornego węża. Nieskończony gościniec błyszczał w słońcu jakby wybrukowany kością słoniową. Od tysiącleci był to główny trakt przez pustynię i przez cały ten czas suche, nieskazitelne powietrze konserwowało wszystkie stworzenia, które padły w szeregach niezliczonych karawan. Nie dziw więc, że prawie niepodobna było jechać tędy, nie depcząc po kościotrupach.

„To musi być droga, o której mówiłem“ — powiedział Stephens. — „Pamiętam, że zaznaczyłem ją na mapie, którą przygotowałem dla pań. Baedeker pisze, że wyszła z użycia, odkąd, z zapanowaniem derwiszów, zamarł wszelki handel, ale swego czasu był to wielki trakt, którym sprowadzano skóry i gumę z Darfuru do Dolnego Egiptu“.

Widok nie zbudził zbytniego zainteresowania, — zanadto byli przejęci swoim własnym losem. Karawana skręciła na południe wzdłuż starego szlaku, a ta koścista Kalwarja wydała

im się godną aleją, wiodącą do przewidywanego końca. Utrudzone wielbłądy i utrudzeni jeźdźcy wlekli się razem ku swojej oplakanej mecie.

W miarę, jak się zbliżał krytyczny moment, który miał zdecydować o ich losie, pułkownik Cochrane, trapiiony myślą o tem, co może czekać kobiety, postanowił rzucić dumę z serca i zasięgnąć rady renegata dragomana. Był to lichy człowiek i tchórz, ale w każdym razie był ze wschodu i rozumiał arabski sposób patrzenia na rzeczy. Dzięki zmianie religii znalazł się w bliższym zetknięciu z derwiszami i może słyszał ich poufne rozmowy. Sztywna, arystokratyczna natura Cochranego walczyła ze sobą ciężko, zanim zdobył się na to, aby zwrócić się po radę do takiego człowieka, a kiedy się nareszcie przełamał, uczynił to tonem najbardziej cierpkim i niezyczliwym, jaki tylko można pomyśleć.

„Znasz tych szubrawców i masz ten sam pogląd na sprawę“ — mówił. — „Nasz interes wymaga, żeby jeszcze przeciągnąć rzecz o dwadzieścia cztery godziny. Wtedy już wszystko jedno, co nas spotka, bo będziemy za granicami możliwej odsieczy. Ale jak możnaby jeszcze zwlec do jutra?“

„Zna pan moją radę“ — odparł drago-

man — „jużem ją panu. przedstawił. Jeżeli państwo wszyscy, zrobią to, co ja, napewno żywi znajdą się w Chartumie. Jeżeli nie, niewątpliwie z życiem nie wyjdziecie już z najbliższego postoju“.

Biwi zbiegły się nad orlim nosem pułkownika i chude jego policzki zaszły gniewną łuną. Przez chwilę jechał w milczeniu, bo z natury był niezmiernie porywczy, co w obecnem przejściu jeszcze się zaostrzyło. Minęło sporo czasu, zanim zdołał się zmusić do odpowiedzi.

„O tem nie mówmy“ — odezwał się wreszcie. — „Są rzeczy możliwe i niemożliwe. Ta jest niemożliwa“.

„Przecie wystarczy udawać“.

„Dosyć o tem“ — przerwał szorstko pułkownik.

Manzor wzruszył ramionami.

„Po co się pan mnie pyta, kiedy się pan gniewa, jak odpowiadam. Jeżeli pan nie chce zrobić, jak radzę, to niech pan sam coś wymyśli. Zresztą nie może pan zaprzeczyć, że robiłem dla państwa, co mogłem“.

„Nie gniewam się“ — odpowiedział pułkownik po chwili, łagodniejszym już głosem — „ale toby znaczyło grzęznąć jeszcze bardziej, a nie szukać wyjścia. Ja mam taką myśl. Możesz, jeżeli zechcesz, dać do zrozumienia te-

mu księdzu czy mulle, który się do nas wybiera, że my naprawdę trochę już zmiękliśmy na tym punkcie. Zastanawiając się nad naszym położeniem, sędzę, że niema w tem nic podejrzanego. A potem, kiedy przyjdzie, możemy odegrać komedję i niby to naprawdę udawać zainteresowanych, prosić o dalsze wyjaśnienia i w ten sposób przewlec sprawę o dzień czy dwa. Jak myślisz, czy to nie byłoby najlepsze wyjście?”

„Niech pan robi jak pan uważa za właściwe” — rzekł Manzor. — „Ja już panu powiedziałem, co myślę. Jeżeli pan chce, żebym pomówił z mullą, zrobię to naturalnie. To ten gruby, niški jegomość z siwą brodą, na brunatnym wielbłądzie. Muszę pana uprzedzić, że ma między nimi sławę jako specjalista od nawracania i jest wielce dumny z tego, to też lepiej, żeby nawracając państwa, nie czuł, że robi wam krzywdę”.

„Więc powiedz mu w takim razie, że jesteśmy zupełnie gotowi,” — mówił pułkownik. — „Nie przypuszczam, aby *padre* mógł być zająć tak daleko, ale teraz, kiedy umarł, możemy sobie pozwolić na podobną przesadę. Pomów z nim, Manzorze, a jak się dobrze sprawisz, chętnie zapomnimy ci przeszłość. Przy sposobności: czy Tippy Tilly nic ci nie mówił?”

„Nie, panie. Zebrał swoich ludzi, ale do-
tąd nie widzi, w jaki sposób mógłby państwu
pomóc“.

„I ja też nie widzę. No, idź do mułły,
a ja powiem innym, cośmy uradzili“.

Jeńcy wszyscy przystali na plan pułkow-
nika, z wyjątkiem panny Adams, która ka-
tegorycznie odmówiła okazania jakiegokolwiek
zainteresowania dla wiary mahometańskiej.

„Za stara już jestem, jak się pokazuje,
aby zgiąć kolano przed Baalem,“ — mówiła.
Największym ustępstwem, do jakiego udało
się ją nakłonić, było, że nie będzie się jawnie
sprzeciwiała niczemu, co mają mówić towa-
rzysze.

„A kto będzie dyskutował z tym księ-
dzem?“ — zapytał Fardet, kiedy jechali wszy-
scy razem dla omówienia przedmiotu. — „Jest
bardzo ważne, żeby to wyglądało zupełnie na-
turalnie, bo jeżeli pozna, że idzie nam jedynie
o zwłokę, nie będzie chciał wogóle z nami
mówić“.

„Myślę, że będzie mówił pułkownik, po-
nieważ to jego pomysł“ — odpowiedział Bel-
mont.

„Proszę mi wybaczyć“ — zawołał fran-
cuz. — „Nie chcę nic powiedzieć przeciwko
naszemu kochanemu pułkownikowi, ale nie-

podobna, żeby jeden człowiek był do wszystkiego. Cała rzecz na nic będzie, jeżeli on to weźmie na siebie. Mułła go przejrzy na wylot.“

„Czyż tak?“ — zapytał pułkownik z urazą.

„Tak, drogi panie, niewątpliwie, bo, jak wszyscy pana rodacy, mało pan okazuje sympatji dla przekonañ innych ludów i to jest waza wielka narodowa wada“.

„O! tylko proszę bez polityki“ — przebrał niecierpliwie Belmont.

„To nie polityka. To czysto praktyczna rada. Jak może pułkownik wmówić w mułłę, że jest ciekaw jego religji, kiedy naprawdę niema dla niego na świecie wiary poza kapliczką, w której się wychował? Mam właśnie co do pułkownika specjalne przekonanie, że nie jest nic a nic hipokrytą i nie potrafiłby tak grać, żeby oszukać tego araba“.

Pułkownik jechał mocno sztywny i z niewyraźną twarzą człowieka, który nie wie, czy słucha komplementów czy obelg.

„Może pan sam z nim rozmawiać, jeżeli pan sobie tego życzy“ — wycedził w końcu.

„Przypuszczam, że najwięcej mam do tego danych, ponieważ jednakowo odnoszę się do wszystkich religji. Jeżeli pytam, to dlatego, że naprawdę chcę wiedzieć, a nie, że gram komedję“.

„Mam wrażenie, że faktycznie będzie najwłaściwiej, jeżeli pan Fardet podejmie się tej roli“ — zawyrokowała pani Belmont i to rozstrzygnęło sprawę.

Słońce stało już wysoko i szkielety na drodze bieliły się w oślepiający sposób. I znowu męczarnia pragnienia opadła garstkę rozbitków i znowu, gdy jechali z językami jak kłody i z wyschłym na kość podniebieniem, jak zjawa niebieska zamigotał przed nimi salon *Koroska*, zobaczyli śnieżny obrus i kartę win przy każdym nakryciu, długie szyje butelek i syfony na kredensiku. Sadie, która dotąd trzymała się doskonale, odrazu zaczęła kaprysić, a jej histeryczne krzyki i niewytłomaczony śmiech okropnie drażniły im nerwy. Ciotka i Stephens czynili, co mogli, aby ją uspokoić, aż póki przemęczona, wyczerpana dziewczyna nie wpadła w jakiś stan pomiędzy snem a omdleniem; zwiesiła się przez siodło tak, że jeśli nie spadła, to tylko dzięki kochającym ramionom, co ją z obu stron podtrzymywały. Wielbłądy pociągowe były zupełnie tak samo zmordowane, jak jeźdźcy i raz po raz trzeba je było chwytać za sznurki od zapręgu, żeby nie upadły. Od skraju do skraju zataczał się wielki łuk nieskazitelnego błękitu, a po jego potwornej wklęsłości czołgało się

nieubłagane słońce, jak wspaniałe, ale okrutne bóstwo, które obiatę cierpień człowieka uważa za swoje odwieczne prawo.

Jechali zawsze jeszcze wzdłuż starego traktu handlowego, ale nadzwyczaj powoli i kilkakrotnie emirowie podjeżdżali we dwóch z bardzo poważną twarzą, patrząc na zmaltretowane wielbłądy i ich pół żywych jeźdźców. Najgorsza wywłoka był wielbłąd, na którym jechał jeden z rannych żołnierzy sudańskich. Utykał szkaradnie skutkiem nadwerężonego ścięgna i jedynie ciągłą chłostą można go było utrzymać w równej linii z innymi. Emir Wad Ibrahim wyciągnął rewolwer, kiedy chrome zwierzę przechodziło koło niego i wsadził mu kulę w łeb. Ranny jeździec stoczył się przez ten łeb z wysokiego siodła i upadł ciężko na kości gościńca. Towarzysze niedoli widzieli, jak chwieje się na nogach z zupełnie nieprzytomną twarzą. W tej samej chwili jeden z baggarów ześlizgnął się z wielbłąda z szablą w rękę.

„Proszę nie patrzeć! proszę nie patrzeć!” — krzyczał Belmont na panie i wszyscy zwrócili się twarzami na południe. Nie słychać było nic, ale po paru minutach baggara przejechał koło nich. Ocierał szablę o włochatą szyję wielbłąda i spojrzął ku nim przelotnie ze złym

błyskiem zębów. Ale ludzie, którzy spadli na samo dno nędzy, są już przynajmniej ubezpieczeni pod względem przyszłości. Tak wyzywający uśmiech dawniej byłby ich przejął dreszczem, teraz pozostali niewzruszeni, lub conajwyżej mieli pewne niejasne poczucie doznanej zniewagi.

Gdyby jechali w innym usposobieniu, mnóstwo rzeczy musiałoby ich było zająć na starym szlaku handlowym. Raz po raz mijali leżące w gruzach szczątki dawnych budowli, tak sędziwych, że niepodobna było oznaczyć dla nich żadnej daty. Jakieś od wieków znikłe z ziemi narody wzniosły je, aby podróżnym dostarczyć cienia i ochrony przed nieznanymi nigdy prawa synami pustyni. Zmurszałe cegły, z jakich te schroniska były stawiane, wskazywały, że budulec na nie sprowadzano aż z nad dalekiego Nilu. Gdzieś na szczycie pagórka sterczał ułamany trzon kolumny z czerwonego assuańskiego granitu, na nim wizerunek któregoś z bóstw egipskich o szeroko rozpostartych skrzydłach, a poniżej płaskorzeźba Ramzesa Drugiego. Po trzech tysiącach lat nie można minąć obojętnie niezatartych śladów wielkiego króla-wojownika. Jest to napewno jednym z najciekawszych faktów historycznych, że można się patrzeć jeszcze teraz

na tę postać o wybitnie egipskim typie, pełną dostojeństwa, z potężnymi ramionami skrzyżowanymi na piersiach, imponującą nawet w ruinie, w muzeum w Gizeh.

Dla jeńców płaskorzeźba była posłanniczką nadziei, dowodem, że znajdują się jeszcze na gruncie egipskim. „Raz już kiedyś zostawili tu swój bilet, mogą to uczynić znowu“—żartował Belmont i wszyscy próbowali się uśmiechnąć.

Niespodziewanie widok stał się dużo miłszy dla oka. W bolesnem pustkowiu po obu stronach gościńca pojawiać się zaczęły od czasu do czasu małe wysepki zieleni,—dowód, że woda podskórna była płytko pod powierzchnią. Aż wtem nagle droga zapadła się w kolistą jamę z grupą najdelikatniejszych palm i miękką zieloną murawą na dnie. Ten jasny płat spokojnej zieleni na tle nagiej pustyni świecił w słońcu jak najczystszy szmaragd w oprawie polerowanej miedzi. Ale nie tylko uroda jego zachwycała, była to także obietnica na przyszłość: woda, cień, — wszystko czego pragnąć tylko może utrudzony wędrowiec. Nawet Sadie odżyła na ten utęskniony widok, i zmordowane wielbłądy zaczęły węszyć i parskać, wyciągając długie szyje. Po wrogiej dziczy pustynnej zdawało się wszystkim, że nie widzieli jeszcze nigdy nic bardziej uroczego.

Patrzyli na zieleni murawy, na której jak mroczne gwiazdy leżały cienie palm, podnosili oczy ku ciemno-zielonym liściom na tle soczystego granatu nieba i zapomnieli o wiszącej nad nimi śmierci wobec piękności przyrody, na której łono mieli tak prędko powrócić.

Wewnątrz kotliny biło siedem dużych i dwa małe źródła. Ich miseczkowate wydrążenia wypełniała woda barwy torfu, tak obficie, że karawana mogła jej nabrać suty zapas. Ludzie i wierzchowce pili zapamiętale, aczkolwiek była przesiąknięta siarką i sodą. Rozsiodłano wielbłądy, arabowie porozkładali w cieniu maty, a więźniom dano rację daktyłów i „dory“ z oznajmieniem, że dopóki upał nie minie, mogą robić, co im się podoba, bo mułła przyjdzie do nich dopiero przed zachodem. Paniom ustąpiono najbardziej cieniściego miejsca pod akacją, a panowie położyli się w cieniu palm. Wielkie zielone liście chwiały się wolno nad nimi, słyszeli przytłumiony gwar rozmów arabskich i ciche żucie wiebłądów, a potem na jedną chwilę, przez najbardziej tajemniczy i najmniej zrozumiały z cudów, ktoś znalazł się wśród zielonych jarów irlandzkich, ktoś inny widział wyciągniętą długą linię Commonwealth Avenue, ktoś trzeci siedział przy obiedzie przy okrągłym stoliku na wprost

popiersia Nelsona w Klubie Armji i Floty,
a poszum gałęzi palmowych przeszedł dla niego
w szelest Pale Male Gazette. A tak myśli roz-
biegły się na różne drogi, błędząc po krainie
pamięci, kiedy tymczasem skołatanane ciała le-
żały bezświadome pod palmami na oazie Li-
bijskiej pustyni.

ROZDZIAŁ VIII.

Pułkownik Cochrane obudził się ze snu, bo ktoś trącił go w ramię. Otwierając oczy, ujrzał stroskaną, czarną twarz Tippy Tilly, dawnego kanoniera egipskiego. Trzymał palec na grubych wargach, a czujne oczy biegały to w lewo, to w prawo.

„Niech pan leży cichutko, niech pan nic nie mówi”—przestrzegął szeptem.—„Położę się koło pana, nie będą mię mogli odróżnić. Czy pan może mię rozumieć?”

„Owszem, jeżeli będziesz mówił powoli.”

„Doskonale. Nie bardzo dowierzam temu czarnemu człowiekowi, Manzorowi. Wolałem mówić z samym *Mivalai*.”

„Co masz do powiedzenia?”

„Długo czekałem, aż nareszcie wszyscy zasną, a teraz za godzinę zwołają nas na wieczorne modlitwy. Przedewszystkiem mam pi-

stolet, żeby pan nie mógł powiedzieć, że jesteście bez broni.“

Był to niezgrabny, wyranżerowany klekot, ale pułkownik zajrzał i przekonał się, że jest nabity. Wsunął go prędko do kieszeni żakietu.

„Dziękuję ci“ — rzekł — „mów wolno, żebym cię rozumiał.“

„Jest nas ośmiu, którzy chcemy dostać się do Egiptu. A panów jest czterech. Jeden z naszych, Mahomet Ali, związał razem dwanaście wielbłądów. Są najbardziej ręczne ze wszystkich, oprócz tych, na których jadą emirowie. Straże stoją na czatach, ale są rozrzucone w różnych kierunkach. Naszych dwanaście wielbłądów czeka tuż obok nas, — to te dwanaście za akacją. Jeżeli tylko uda się nam wsiąść i wydostać stąd, przypuszczam, że niewielu nas dogoni, a mamy przytem karabiny. Straże nie będą w stanie tylu naraz pochwycić. Bukłaki są wszystkie pełne wody i możemy zobaczyć znowu Nil jutro wieczorem.“

Pułkownik nie mógł zrozumieć wszystkiego, ale to, co przychwycił, wystarczyło, żeby iskierka nadziei zatliła się w jego sercu. Ostatni straszny dzień wyrzył ślady na jego siwej twarzy i włosach, które raptownie pobielały. Mógłby być ojcem szykownego i pysznie

trzymającego się oficera, który wojskowym krokiem przemierzał salonowy pokład *Koroska*.

„Wybornie,“ — rzekł — „ale co zrobimy z trzema paniami?“

Czarny żołnierz wzruszył ramionami z lekceważeniem.

„*Mefisz*“ — burknął. — „Jedna jest stara, a w każdym razie w Egipcie zastaniemy moc kobiet. Nic im się złego nie stanie, wezmą je do haremu kalifa.“

„To co mówisz, jest bzdurstwo“ — odparł niechętnie pułkownik. — „Albo zabierzemy nasze panie z sobą, albo wcale nie pojedziemy.“

„Mnie się zdaje, że bzdurstwa to właśnie pan mówi“ — obruszył się murzyn. — „Jak pan może żądać od moich towarzyszków i odepnąć, żebyśmy robili coś, co się musi skończyć porażką? Lata całe czekaliśmy na taką sposobność, jak dzisiejsza, a kiedy przyszła, pan chce, żebyśmy sami sobie wszystko psuli dobrowolnie dla jakichś głupstw z kobietami.“

„Ile wam obiecałem dać, jeżeli wrócimy do Egiptu?“

„Po dwieście funtów egipskich i powrót do wojska — mamy na to słowo anglika.“

„Doskonale. Dostaniecie po trzysta, jeżeli obmyślicie nowy plan, żeby można wziąć i panie.“

Tippy Tilly podrapał się w wełnistą głowę w zakłopotaniu.

„Moglibyśmy, owszem, pod pewnymi warunkami ściągnąć jeszcze na to miejsce trzy z tych najprędszych wielbłądów. Ale jak zrobić, żeby kobiety na nie wsiadły? a potem, jeśli nawet wsiądą, wiemy doskonale, że pospadają, jak się zaczną galopować. Boję się, że panowie spadną, bo nie łatwo jest utrzymać się na galopującym wielbłądzie. Ale dla kobiety to jest zupełnie niemożliwe. Nie, nie, zostawimy kobiety, a jeżeli pan nie chce, zostawimy was wszystkich i pojedziemy sami.“

„Doskonale, jedźcie sobie“ — zakończył krótko pułkownik i ułożył się ponownie do snu. Wiedział z doświadczenia, że z dziećmi Wschodu najwięcej można wskórać milczeniem.

Murzyn odwrócił się i czołgając zawlókł, gdzie go oczekiwał jeden z jego fellahów, Mahomet Ali, ten, który posprowadzał wielbłądy. Obaj rozważali sprawę przez chwilę, bo trzysta funtów to nie była rzecz, którą możnaby znów tak łatwo odrzucić. Poczem

murzyn przypelznął z powrotem do pułkownika Cochrane'a.

„Mahomet Ali zgadza się“ — oznajmił. — „Poszedł założyć wędzidła w nosy jeszcze trzem wielbłądom. Ale to jest warjactwo i wszyscy lecimy na śmierć. Teraz niech pan pójdzie ze mną, obudzimy kobiety i powiemy im, cośmy uradzili“.

Pułkownik pobudził towarzyszy i oświadczył im, na co się gotuje. Belmont i Fardet byli gotowi na wszelkie ryzyko. Stephens, który nie przejmował się zbyt perspektywą biernej śmierci, teraz wpadł w konwulsyjny wprost strach na myśl o czynnej próbie zapobieżenia jej i zaczął drżeć całym swoim długim i chudym ciałem. W pewnym momencie wyciągnął Baedekera i usiłował coś napisać na jego luźnej kartce, ale ręka tak mu skakała, że wyrazy były prawie nieczytelne. Przez jakąś niezrozumiałą tresurę prawniczej myśli śmierć, nawet gwałtowna, byle tylko przyjęta ze spokojem, mieściła się w ustanowionym porządku rzeczy, lecz śmierć, która chwyta galopujących obłąkańczo przez pustynię, była zupełnie nieprawidłowa i psuła wszelkie szyki. Bał się nie złego wyniku, ale upokorzenia przez bezplodny bunt.

Pułkownik Cochrane i Tippy Tilly przy-

czołgali się razem pod akacją, do miejsca, gdzie leżały kobiety. Sadie i ciotka spoczywały splecione ramionami, a głowa dziewczęcia opierała się na piersiach panny Elizy. Pani Belmont nie spała i w jednej chwili zorjentowała się w sytuacji.

„Ale mnie musicie zostawić“ — odezwała się panna Adams z powagą — „w moim wieku już i tak nie warto.“

„Nie, nie, cioteczko, nie ruszę się bez ciebie. Nawet nie myśl o tem“ — oponowała gorąco Sadie. — „Albo zaraz pojedziesz, albo obie zostaniemy, gdzie jesteśmy.“

„Proszę pani, proszę pani, niema czasu do namysłu“ — mówił ostro pułkownik. — „Nasze życie zależy od pani odrobiny dobrej woli, a nie możemy zostawić pani za sobą.“

„Ależ ja spadnę.“

„Przywiążę panią woalem. Szkoda, że nie mam chustki, którą pożyczyłem biednemu księdzu. No, Tippy, zdaje się, że możemy wsiadać.“

Czarny żołnierz wszelako patrzył w stronę pustyni zrozpaczoną twarzą i zawrócił się na piętach, klnąc.

„Oto właśnie. Widzi pan teraz, co wyszło z tego głupiego gadania. Wszystko pan popsuł i nam i sobie.“

Sześciu jeźdźców ukazało się niespodzianie u zrębu kolistego wydrążenia, odcinając się ostro na tle wieczornego nieba, w miejscu, gdzie miedziana oprawa oazy stykała się z błękitną powalą. Nadlecieli kłusa i wymachiwać poczęli strzelbami. W minutę później róg zabrzmiał na alarm i w obozie zakotłowało się jak w ulu. Pułkownik pobiegł szybko ku towarzyszom, a czarny żołnierz do swego wielbłąda, Stephens wyglądał jak odrodzony, Belmont był kwaśny, a Fardet pienił się, wygrazając zranioną ręką.

„Psubratyl“ — mamrotał. — „Czy to się nigdy nie skończy? Czy już nie wyjdziemy z łap tych szubrawców derwiszów?“

„Ah, zatem naprawdę istnieją derwisze? czyż być może?“ — sztychował pułkownik. — „Pan zdaje się zmieniać zdanie? Mniemałem, że ich wymyślił rząd wielko-brytański.“

Biedaczysko począł się mienić na twarzy. Naigranie się pułkownika było jak przytknięcie zapalki do beczki z prochem i w jednej chwili francuz znalazł się przed twarzą przeciwnika, miotając potokiem obelżywych słów. Ręka jego szukała gardła Cochrane'a, na szczęście Belmont i Stephens zdołali go obezwładnić.

„Gdyby nie pana siwe włosy...“ — syczał.

„Bezczelny człowiek!” — ryknął pułkownik.

„Jeżeli mamy umierać, to umierajmy, jak kulturalni ludzie, a nie jak ulicznicy” — próbował pośredniczyć Belmont z godnością.

„Ja tylko powiedziałem, że cieszę się, iż pan Fardet nauczył się czegoś dzięki swym przygodom” — drwił dalej pułkownik.

„Przestań, pułkowniku. Co panu zależy na tem, żeby go drażnić?”

„Słowo honoru, panie Belmont, pan się zapomina. Nie pozwalam ludziom mówić do siebie w ten sposób”.

„Sam pan będzie później żałował”.

„Panowie, panowie, panie słyszą” — zawołał Stephens i rozsierzeni mężczyźni w jednej chwili wpadli w grobowe milczenie, chodząc tam i z powrotem i szarpiąc gniewnie wąsa. Ale zły humor jest bardzo zaraźliwy, bo i Stephens rozdrażnił się ich rozdrażnieniem i patrzył na nich z podełba. Losy ich się ważyły w tej chwili, cień śmierci wisiał nad nimi, a jeszcze myśl ich pochłaniały osobiste niesnaski, tak błahe, że wprost trudno było wyrazić słowami, o co im idzie. Nieszczęścia podnoszą ducha ludzkiego na wielkie wyże, ale wahadło zawsze się kołysze.

Wkrótce atoli uwaga ich skierowana została ku rzeczom donioślejszym. U źródeł

odbywała się narada wojenna i dwaj emirowie w powadze i skupieniu przyjmowali raport dowódcy patrolu. Więźniowie zauważyli, że podczas, gdy okrutny starzec słuchał jak skamieniały, młodszy raz po raz szarpał nerwowo brodę cienkimi palcami.

„Ręczę, że egipcjanie idą” — rzekł Belmont. — Wnosząc z ich min, muszą już nawet być niedaleko.“

„Takby wyglądało. Coś ich musiało słyszyć.“

„Wydaje rozkazy. Co to może być? Słuchaj, Manzor, o co to idzie?“

Dragoman przyleciał z twarzą promieniącą od radości.

„Zdaje się, zobaczyli coś, co ich przstraszyło. Przypuszczalnie nasi żołnierze idą. Kazali napelnić łagwie i gotować się do wyjazdu, nim się ściemni. Ale mnie polecono przypilnować, żeby państwo zeszli się wszyscy razem, bo mułła ma się teraz zająć nawracaniem. Jużem mu powiedział, że jesteście bardzo skłonni myśleć tak, jak on.“

Jak dalece zagalopował się Manzor w swoich obietnicach, pozostanie tajemnicą na zawsze, dość, że kaznodzieja muzułmański szedł ku chrześcijanom z cjcowskim uśmiechem zadowolenia na twarzy, jak człowiek, który ma

spełnić miły i łatwy obowiązek. Miał tylko jedno oko, wiecheć szpakowatej brody i tłustą twarz, która musiała swego czasu być jeszcze tłuszciesza, bo przecinało ją pełno fałd i zmarszczek. Na głowie nosił zielony turban, jako pielgrzym z Mekki. W jednej ręce trzymał brązowy dywanik, w drugiej pergaminowy zwój Koranu. Rozłożył dywanik na ziemi, wezwał do siebie Manzora i ruchem ręki wskazał jeńcom najpierw, żeby zbliżali się, następnie, żeby usiedli. Tak tedy tych siedmioro zatraceniów, przedstawicieli cbcej religii, zasiadło pod palmą na murawie, a pośród nich gruby pękaty kaznodzieja, przeskakując jedynem okiem kolejno po wszystkich twarzach, zaczął wyklądać zasady swojej młodszej, surowszej i bardziej nieokrzesanej wiary. Słuchali poważnie i potakiwali głowami, ilekroć Manzor przetłomaczył im jakiś dogmat, a po każdym dowodzie ich uznania mułła stawał się jeszcze łaskawszy i jeszcze czulszy w mowie.

„Bo i dlaczego miałybyście umierać, słodkie owieczki moje, jeżeli jedyną rzeczą, której się od was wymaga, jest, abyście odrzuciły to, co was zawiedzie do wiecznej Gehenny, i abyście przyjęły prawo Allaha, spisane przez jego proroka, które napewno przy-

nieście wam niepojęte rozkosze, jak nam obiecuje księga wielbłądza. Bo co powiada wybrany?" i tu wszedł w jeden z dogmatycznych tekstów, które dla każdej wiary mają powagę argumentu. „Zresztą, czyż nie jest widome, że Bóg jest z nami od początku, bo choć przeciw tureckim strzelbom mieliśmy tylko kije, zwycięstwo było nasze. Czyśmy nie wzięli El-Obeid?, nie zajęli Chartumu?, nie rozbili Hicksa i nie zabili Gordona?, nie pokonali wszystkich, któkolwiek był przeciwko nam? Jak więc można powiedzieć, że błogosławieństwo Allaha nie spoczywa na nas?

Podczas długiej przemowy mułły pułkownik rozglądał się dokoła siebie i dostrzegł, że derwisze czyszczą broń, liczą naboje, wogóle czynią przygotowania, jakgdyby spodziewali się, że lada chwila czeka ich walka. Emirowie naradzali się z powagą, a dowódca patrolu, mówił coś i wskazywał w stronę Egiptu. Nie ulegało wątpliwości, że nadzieja ocalenia może stać się ciałem, trzeba tylko jeszcze przeciągnąć rzecz o parę godzin. Wielbłądy dotąd nie przyszły do siebie po długim marszu i ścigający, jeżeli naprawdę byli niedaleko, mieli wszelkie dane powodzenia.

„Na miłość, boską panie Fardet, niech pan ich trzyma w szachu. Wierzę, że jest nadzie-

ja, trzeba jeszcze tylko godzinę jakoś przemitrzyć“.

Ale zraniona miłość własna francuza nie tak łatwo dała się ugłaskać. Pan Fardet siedział oparty o palmę z kwaśną miną i nasronionymi brwiami. Nic nie mówił, szarpał tylko co chwila grubego wąsa.

„Śmiało, panie,—jesteśmy wszyscy w pana ręku“ — zachęcał go Belmont.

„Niech pułkownik mówi“—odburknął francuz. — „On przecież nabiera na siebie co się da“.

„No, no“ — zaczął Belmont, jak do rozgrymaszonego dziecka — „jestem zupełnie pewny, że pułkownik żałuje tego, co się stało i sam widzi, iż nie ma słuszności“.

„Ani mi się nawet nie śni“—mruknął pułkownik.

„Przytem jest to czysto osobista sprzeczka, ciągnął dalej Belmont z pośpiechem — a tu idzie o nas wszystkich. I jeżeli jednomyślnie pragniemy, aby pan mówił z mułłą, to dlatego, że naprawdę czujemy, iż pan to robi lepiej od innych“. Ale francuz wzruszył tylko ramionami i pogrążył się w głębsze jeszcze milczenie.

Mułła patrzył to na jednego, to na drugiego i uprzejmy wyraz zaczął znikać z jego

nalanej twarzy. Kąciki ust opuściły się, wyglądał twardo i surowo.

„Czy ci niewierni żartują sobie ze mnie?” — zapytał dragomana — „dlaczego rozmawiają między sobą, a mnie nie mają nic do powiedzenia?”

„Zaczyna się niecierpliwić” — zauważył Cochrane. — „Może mam spróbować, wedle sił, bo widzę, że ten wstrętny człowiek wyprowadził nas w pole”.

Ale spryt kobiety uratował sytuację.

„Pewna jestem” — zabrała głos p. Belmont, „że pan jako francuz, zatem jako człowiek elegancki, honorowy nigdy dla urażonych uczuć osobistych nie złamie danego słowa i nie zaniedba obowiązku wobec trzech bezbronnych kobiet”.

Fardet momentalnie zerwał się na nogi z ręką na sercu.

„Pani mnie rozumie” — krzyknął. — „Nie umiałbym nigdy zawieść płci pięknej. Spróbuję, co potrafię. Manzor, powiedz temu świętemu mężowi, że jestem gotów dysputować z nim w przedmiocie jego wiary”.

I wziął się do tego z dobroduszną, która zdumiała towarzyszy. Przybrał ton człowieka istotnie przekonanego, a którego powstrzymują jeszcze tylko jakieś resztki wątpli-

wości. Lecz kiedy muła pokonał jeden skrupuł, zaraz wyrastał inny, mały kolec, który nie pozwalał ostatecznie przejść się islamem. A wszystkie pytania były przeplecione komplementami i wyróżami osobistej radości człowieka, któremu los dał skorzystać z nauki tak mądrego i głębokiego teologa, więc obwisłe worki pod oczyma muły trzęsły się z zadowolenia, kiedy punkt po punkcie rozwiewał wątpliwości nawracanego. Błękit nad nimi tymczasem przeszedł w fiolet, zielone liście ciemniały, wreszcie wielkie jasne gwiazdy wykwitły między koronami palm.

„Co do prawdy, o którą pytasz, moja owieczko”—ciągnął muła w odpowiedzi na jakiś zarzut Fardeta—„studyowałem sam w uniwersytecie El Azhara w Kairze i rozumiem, o co ci idzie. Ale dla wierzących nauka jest czem innym, niż dla niewiernych i dlatego nie należy zapuszczać się za daleko na drogi Allaha. Niektóre gwiazdy, słodka owieczko moja, mają ogony, a inne nie mają, cóż nam jednak przyjdzie z tego, jeśli się dowiemy, czem one są? Bóg je wszystkie stworzył, wszystkie są bezpieczne w Jego ręku. Dlatego, miły mój, nie dawaj się oszukać obłąkanej nauce Zachodu, i wiedz, że jedna jest tylko mądrość: iść za wolą Allaha, tak jak ją wy-

brany jego prorok wyłożył w Koranie. A teraz owieczki moje, widzę, że dojrzałyście już do przyjęcia islamu, a pora jest, bo oto róg wzywa nas w drogę. Dostojny emir Abderahman wyraźnie nakazał, żebyście, zanim odjedziemy od źródeł, wypowiedziały się w tę albo w tamtą stronę". „Jednak ojcze, są jeszcze kwestye, co do których pragnąłbym wyjaśnienia"—odpowiedział francuz— „bo zaprawdę rozkosznie jest słuchać waszych mądrych słów po mglistych wywodach, jakie zawsze słyszałem od innych mistrzów".

Ale mułła wstał i cień podejrzenia przemknął w jego oczach. Dalsze wiadomości możecie otrzymać już później, po nawróceniu"— rzekł— „mamy jeszcze jechać razem aż do Chartumu, a dla mnie będzie pociechą widzieć jak po drodze rośniecie w mądrość i cnotę". Podszedł do ogniska i nachyliwszy się z trudem, bo mu mocno przeszkadzała tusza, powrócił z dwoma napół zwęglonemi drewnami, które położył na krzyż na trawie. Derwisze skupili się dookoła, aby przyjrzeć się obrzędowi. Stali wieńcem w zapadającym zmierzchu, w dziwacznych swoich strojach, a z za nich wychylały się długie szyje i dumne łby wielbłądów.

„Jest to ostatnia chwila" — mówił mułła,

a głos jego stracił poprzedni łagodny ton.— „Ułożyłem na ziemi z tych dwu drewek głupi i zabobonny symbol waszej dotychczasowej wiary. Przejdźcie po nim na dowód, że się go odrzekacie i ucałujecie Koran, aby pokazać, żeście go przyjęli. A jeżeli jeszcze czegoś będziecie się chcieli nauczyć, zrobi się to po drodze“.

Tak więc ci czterej mężczyźni i trzy kobiety stanęli w obliczu swego przeznaczenia. Nikt z nich, prócz panny Adams i pani Belmont, nie posiadał głębszych uczuć religijnych. Byli to ludzie nawskroś światowi, niektórzy z nich nawet niechętni wszystkiemu, co wyrażał symbol, ułożony na ziemi. Ale żyła w ich duszach duma Europejczyków, duma białej rasy i ta ich wiązała z wiarą plemienia. Był to motyw grzeszny, ludzki, nie chrześcijański, a jednak miał siłę uczynić z nich jawnych męczenników chrześcijaństwa. W napięciu nerwów, w jakim znajdowali się w tej chwili, cichy jakiś dźwięk uderzył nagle ich uszy i zdał im się donośnym odgłosem od strony pustyni. Palmy nad ich głowami szumiały jak spokojna rzeka, a na ich tle słyszeli jakby odległy tętent wielbłądów.

„Ktoś się zbliża“ — szepnął pułkownik.— „Przez pięć minut niech pan ich jeszcze przetrzyma“.

Francuz wysunął się z uprzejmym ruchem swej zdrowej ręki i z miną człowieka zdecydowanego na wszystko.

„Powiedz świętemu mężowi, że jestem gotów przyjąć jego naukę, nie wątpię, że moi towarzysze myślą tak samo” — odezwał się do dragomana. — „Ale pragnąłbym, aby jeszcze uczynił coś, coby w naszych sercach rozwiało ostatki możliwych wątpliwości. Każda prawdziwa religja posiada moc cudów, których mogą dokonywać jej wyznawcy. Ja sam, lubo jestem skromnym tylko chrześcijaninem, dzięki mojej wierze, mogę nie jedno sprawić, więc pewny jestem, że wasza religja, jako doskonalsza, może dokonać więcej i dla tego proszę, żebyście nam dali żywy dowód, iż islam jest najwyższą wiarą.”

Przy całej dumie swojej i umiarkowaniu, arabowie odznaczają się niemalą dozą ciekawości. Szmer jaki powstał wśród widzów, gdy im Manzor przełożył słowa francuza, był żywym tego dowodem.

„Te rzeczy są w ręku Allaha” — odpowiedział duchowny. — „Nie wolno nam zakłócać jego praw. Ale jeżeli sam posiadasz siłę, o jakiej mówisz, daj nam dowód, abyśmy mogli naocznie się przekonać.

Francuz podszedł parę kroków i podno-

sząc ręce, wyjął duży świecący daktyl z brody mully. Polknął go i w tej samej chwili wyciągnął inny z jego lewego łokcia. Często dawał na statku takie czarodziejskie przedstawienia i towarzysze podróży wybornie bawili się jego kosztem, bo nie był dość zręczny, aby zwieść krytycznych europejczyków. Ale teraz patrzyli na jego magiczne sztuczki jak na deskę zbawienia, od której zawisł ich los. Szept zadziwienia przebiegł wśród gromady arabskiej i wzmógł się jeszcze, kiedy francuz wydobyl nowy daktyl z nozdrza wielbłąda i rzucił go w powietrze, skąd napozór wcale nie spadł. Nadstawiony rękaw był zupełnie wystarczającym objaśnieniem dla towarzyszków, ale zapadający zmierzch okazał się doskonałym sprzymierzeńcem sztukmistrza. Widzowie byli tak zachwyceni i przejęci, że nie zwrócili prawie uwagi na jeźdźca, który szybko przesunął się między palmami. Wszystko byłoby jak najlepiej, gdyby nie to, że Fardet, zachęcony powodzeniem, postanowił raz jeszcze powtórzyć sztukę, jednak z tak nieszczęśliwym wynikiem, że daktyl wypadł mu z ręki i oszukaństwo wyszło na jaw. Naprózno starał się bezzwłocznie przejść do innego numeru ze swojego szczupłego repertuaru. Mulla

powiedział coś i jeden z arabów uderzył Fardeta po ramieniu grubą rękojęścią włóczni.

„Dosyć tych bzdurstw“—mówił duchowny z gniewem.—„Czy jesteśmy dorośli ludzie, czy niemowlęta, że pozwalasz sobie obełgiwać nas w taki sposób? Macie krzyż i koran — wybierajcie“.

Fardet bezradnie obejrzał się na towarzyszy.

„Nic więcej nie mogę; żądaliście pięciu minut—zrobiłem swoje“—rzekł do pułkownika Cochrane'a.

„I może wystarczy“ — odpowiedział oficer. — „Oto emirowie“.

Jeździec, którego przybycie słyszeli, podjechał do wodzów i zdawał im raport, wskazując palcem w kierunku, z którego przyjechał. Nastąpiła krótka wymiana zdań między dowódcami, poczem obaj podeszli do gromady, skupionej dokoła jeńców. Chociaż zaprzańcy i barbarzyńcy, ci dwaj ludzie, kroczący w półmroku przez gaj palmowy, naprawdę posiadali w sobie majestat. Stary drapieźnik wznosił dłoń i zaczął przemawiać szybko, urywanymi zdaniami, dzika tłuszcza odszczekiwała mu, jak psy myśliwcowi. Ogień żarzący się w jego zuchwałych oczach, odbijał się w setkach innych źrenic. Kto to widział, mógł

zrozumieć potęgę i niebezpieczeństwo ruchu Mahdiego; te zapamiętałe twarze, te groźne bronie, podniecone do szału dusze mówiły tylko o jednym — o krwawej śmierci, byle tylko sami oni przy śmierci mogli umazać swe ręce we krwi.

„Czy jeńcy przyjęli prawdziwą wiarę?“ — zapytał Abderrahman, topiąc w ofiarach bezlitośne spojrzenie.

Muła musiał bronić swojej sławy i dlatego nie przyznał się do porażki.

„Mieli ją właśnie przyjąc, kiedy...“.

„Odłożymy to na razie, mułło“, — wydał rozkaz i Arabowie wszyscy skoczyli na wielbłądy. Emir Wad Ibrahim przedefilował niemal z połową całego oddziału. Reszta siedziała na wielbłądach, gotowa do odjazdu, z karabinami w ręku.

„Cóż się stało?“ — zagadnął Belmont.

„Nie widzicie?“ — zawołał pułkownik. — Przebóg, jeszcze wydostaniemy się stąd! Wielbłądzi korpus egipski jest tuż tuż za nami“.

„Skąd pan wie o tem?“

„Cóżby innego mogło ich spłoszyć?“.

„O! naprawdę, panie pułkowniku, pan wierzy, że możemy być ocaleni?“ — szlochała Sadie. Straszna szkoła, przez którą przeszli, stępiła im nerwy i zdawało się, że są już nie-

zdolni do żadnych silnych wrażeń. A oto niespodziewany powrót nadziei przełamał ich apatię, jak gdyby ożyły nagle odmrożone członki. Nawet mocny, pewny siebie Belmont, pełen był wątpliwości i niepokoju. Nie tracił otuchy, kiedy nie było najmniejszych widoków, teraz, gdy się otworzyły, nie mógł opanować drżenia.

„Napewno przyjdą w dostatecznej sile“ — wołał. — „Boże mój, gdyby komendant przysłał ich za mało, zasłużyłby na sąd polowy“.

„Bóg znać czuwa nad nami“ — dodała żona miękkim irlandzkim akcentem. — „John, kochanie, uklęknij przy mnie i módlmy się, może już po raz ostatni, abyśmy nigdy, na ziemi czy w niebie, nie byli rozłączeni“.

„Dajcie pokój, dajcie pokój“ — krzyknął pułkownik zalekniony, bo widział, że oko mułły spoczywa na nich. Ale było zapóźno; katolicka para obsunęła się już na kolana ze znakiem krzyża. Błysk wściekłości przeleciał po twarzy mahometańskiego duchownego na ten jawny dowód niepowodzenia jego misjonarskich zabiegów. Odwrócił się, mówiąc coś do emira.

„Wstańcie!“ — krzyknął Manzor. — „Jeżeli wam życie mile, wstańcie! Zażądał, żeby was skazano na śmierć“.

„Niech robi, co mu się podoba“—odpowiedział uparty irlandczyk — „wstaniemy, jak skończymy modlitwy, wcześniej nie“.

Emir słuchał słów mułły, okropnym wzrokiem wpatrzony w klęczących. Wydał szybko jakiś rozkaz, na co natychmiast doprowadzono cztery wielbłądy. Zwierzęta pociągowe, na których jechali poprzednio, stały tam, gdzie je rozsiadłano.

„Belmont, opanujcie się“ — krzyczał pułkownik — „wszystko zależy od tego, żeby ich nie drażnić. Proszę niech pani wstanie. Tylko ich rozjuszacie w ten sposób!“

Francuz patrzył na irlandczyków z pogardliwym wzruszeniem ramion. „*Mon Dieu!*“ — wołał — „czy kto widział kiedy takich niemądrych ludzi? *Voilà!*“—dodał z grymasem, kiedy obie amerykanki ukłękły obok pani Belmont.— „Zupełnie jak wielbłądy: jeden klęka to i wszystkie klękają“. Wprost nie do uwierzenia taka nedorzecznosc. Ale i Stephens uklęknął koło Sadie i ukrył twarz w chudych dłoniach. Tylko pułkownik i Francuz nie drgnęli. Cochranne spojrział pytająco na Fardeta.

„Ostatecznie głupio jest modlić się przez całe życie, a nie modlić się, kiedy nic na ziemi nie zostało, prócz wiary w dobroć Opatrzności“.—Zgiął kolano sztywno, po woj-

skowemu, ale szpakowata, niegolona broda opadła mu na piersi. Fardet przyglądał się klęczącym towarzyszom, potem wzrok jego przeniósł się na nasrożone twarze emira i mułły.

„*Sapristi*“ — mruknął. — „Myślą może, że francuz się ich boi?“ — I ostentacyjnie żegnając się, ukląkł obok innych. Tak tych siedem nieszczęsnych, umęczonych ofiar klęczało, wyczekując kornie przeznaczenia pod czarnym cieniem palm.

Emir zwrócił się do mułły z drwiącym uśmiechem i pokazał mu wynik jego zabiegów. Poczem na jego rozkaz w jednej chwili ujęto wszystkich czterech mężczyzn, i skrępowano im ręce pętlicami z powrozów. Fardet wrzasnął, bo powróż wszedł mu w otwartą ranę. Inni znieśli cios z godnością.

„Wszystko państwo popsuli. I mnie zgubili razem z sobą“ — krzyczał Manzor, załamując ręce. — „Kobiety mają siadać na te trzy wielbłądy“.

„Nigdy“ — krzyknął Belmont. — „Nie damy się rozłączyć“. — Zaczął szarpać się nieprzytomnie, ale po wszystkim co przeszedł, był za słaby i dwu zbirów chwyciło go pod ramię.

„Spokojnie, John“ — upominała żona, kiedy ją prowadzono do wielbłąda. — „Nic mi złe-

go nie zrobią. Nie pasuj się z nimi, bo się zemszą“.

Wszyscy czterej mężczyźni byli zropaczeni, widząc, że zabierają kobiety. Mężczyźni, jakie przeszli dotąd, były niczem w porównaniu z tą chwilą. Sadie i ciotka wyglądały jakby na wpół obłąkane ze strachu. Tylko pani Belmont trzymała się dzielnie. Kiedy wszystkie trzy już siedziały, wielbłądy podniosły się i podeszły za drzewa, koło których stali czterej mężczyźni.

„Mam w kieszeni pistolet“ — mówił Belmont, patrząc na żonę. — „Dałbym życie za możliwość dostarczenia ci go“.

„Zacnowaj go, John, może ci się przydać jeszcze. Ja się niczego nie boję. Odkąd się pomodliłam, czuję jakgdyby skrzydła anioła stróża nad nami“. Sama była niby anioł stróż, kiedy, obróciwszy się ku omdlewającej Sadie, starała się wlać otuchę w jej rozpaczone serce.

Krótki, pękaty arab, który prowadził był aryergardę Wad Ibrahima, podszedł do emira i mułły. Naradzali się wspólnie, od czasu do czasu zerkając ku jeńcom. Emir zwrócił się do Manzora.

„Naczelnik chciałby wiedzieć, który z panów jest najbogatszy?“ — zapytał dragoman.

Palce jego bezustannie szarpały nerwowo i skubały ubranie.

„Na co mu ta wiadomość?” — zdziwił się pułkownik.

„Nie wiem“.

„Ależ to całkiem jasne“ — odparł francuz. — „Chce wiedzieć, kogo najlepiej zatrzymać dla okupu“.

„Musimy się spólnie nad tem zastanowić“ — zauważył pułkownik. — „Pan, panie Stephens, musi to rozstrzygnąć, bo nie ulega wątpliwości, że pan jest najzamożniejszy“.

„Nie wiem, czy tak jest“ — odparł adwokat, — ale w żadnym razie nie zgodzę się na jakiegokolwiek przywileje“.

Emir odezwał się znowu swoim chrypliwym, przykrym głosem.

„Powiada“ — tłumaczył Manzor — „że wielbłądy pociągowe są zmordowane i że tylko jeden został do użytku. Niech panowie sami między sobą rozsądzą, komu on ma się dostać. Jeżeli jeden jest bogatszy od pozostałych, to powinien mieć pierwszeństwo“.

Powiedz mu, że wszyscy jesteśmy jednako majątni“.

„W takim razie powiada, żeby odrazu postanowili, który pojedzie na tym wielbłądzie“.

„A ci inni“?

Dragoman wzruszył ramionami.

„Z chwilą, gdy jeden z nas tylko może ująć śmierci“ — zdecydował pułkownik — „sądzę, iż zgodzicie się towarzysze, na to, żeby nim był Belmont, ponieważ jest żonaty“.

„Tak, tak, pan Belmont pojedzie“ — wołał francuz.

„I ja tak myślę“ — dodał Stephens.

Ale irlandczyk nie chciał słyszeć o tem.

„Nie, nie, jeden taki dobry jak i drugi. Wszyscy utoną, albo wszyscy się uratują, a niech czart porwie tego, który się wymiga“.

Spierali się tak długo, aż się zapamiętali zupełnie w tym wyścigu altruizmu. Ktoś zauważył, że wybrać należy pułkownika, ponieważ jest najstarszy, ale pułkownik obruszył się do żywego.

„Myślałby kto, że mam osiemdziesiąt lat“ — gniewał się. — „Zupełnie niewłaściwa uwaga“.

„W takim razie“ — rozstrzygnął Belmont „wszyscy odmówimy jazdy“.

„Ależ to byłoby nierozsądne“ — zaperzył się francuz — „zauważcie panowie, że panie musiałyby wtedy zostać same. Napewno dużo będzie lepiej, jeżeli któryś z nas pojedzie z niemi jako doradca“.

Spojrzeni po sobie zmieszani. To co mó-

wił Fardet, było niezbitą prawdą, ale jakże można było opuszczać towarzyszy?. Sam emir podsunął rozwiązanie.

„Naczelnik powiada” — objaśniał Manzor — „że jeżeli panowie nie mogą się porozumieć najlepiej będzie to zdać na Allaha i ciągnąć losy”.

„Przypuszczam, że nie wymyślimy nic lepszego” — podchwycił pułkownik a towarzysze przywtrzyli.

Podszedł ku nim mułła z drzazgami łyka palmowego, wystającemu mu z pomiędzy palców.

„Mówi, że kto wyciągnie najdłuższą drzazgę, dostanie wielbłąda” — rzekł Manzor.

„Musimy się zgodzić, że to będzie bezwzględnie rozstrzygające” — uprzedził pułkownik i znowu towarzysze wyrazili zgodę.

Derwisy ustawili się przed nimi półkolem, na tle kiwających się łbów wielbłądzich. Ognisko obozowe rzucało czerwony odblask na całą grupę. Emir stał plecami do płomienia, zwrócony twarzą ku jeńcom. Za jeńcami stała linja straży, a za strażą trzy kobiety przyglądały się tragedji z wysokości wielbłądów. Gruby jednooki mułła podchodził ze zjadliwym uśmiechem, a z pomiędzy palców ściśniętej pięści sterczały mu cztery małe bronzowe szczapki.

Pierwszy ciągnął Belmont. Mruknął mimowoli, a żona jęknęła za nim, kiedy drzazga znalazła się w jego ręce. Po nim szła kolej francuza, którego drewnienko było o połowę dłuższe od poprzedniego. Drzazga Cochrane'a była dłuższa, niż tamte dwie razem, Stephensa nie dłuższa, niż Belmonta. Pułkownik wygrał na tej strasznej loteryi.

„Niech się pan zmieni ze mną“ — rzekł do Belmonta — „Nie mam ani żony ani dziecka, a i przyjaciół niewiele na świecie. Pan pojedzie z żoną, ja zostanę“.

„Za żadne skarby. Umowa jest umową. Doskonęła była gra i nagroda przypadła najszczęśliwшему“.

„Emir powiada, że pan ma w tej chwili siadać“ — odezwał się Manzor i jeden z arabów pociągnął pułkownika za więzy na rękę ku czekającemu wielbłądowi.

„Będzie jechał z tylną strażą“ — dawał emir zlecenie adjutantowi. — I kobiety możesz zatrzymać przy sobie“.

„A ten pies dragoman“?

„Zostanie z tamtymi“.

„A tamci“?

„Wszyscy na śmierć“.

ROZDZIAŁ IX.

Ponieważ żaden z trzech nie rozumiał po arabsku, rozkaz emira pozostałby dla nich niezrozumiały, gdyby nie zachowanie się Manzora. Nieszczęsny dragoman po wszystkich zdradach, sługostwie i odstępstwie, usłyszał najstraszniejszy wyrok z ust wodza derwiszów. Z rozdzierającym krzykiem nędznik rzucił się na twarz, chwycił się skraju opończy araba i czepiał ciemnymi palcami jego wełnianej spódnicy. Emir starał się oswobodzić, a widząc, że go się uwiesza konwulsyjnie, odwrócił się i kopnął go ze złością, jak się kopie naprzykrzonego psa. Czerwony zwój Manzora wyleciał w powietrze, on sam rycząc, leżał twarzą do ziemi, tam gdzie go odrzuciła twarda noga araba.

Obóz cały wrzał. Sędziwy emir wsiadł na wielbłąda i część oddziału ruszała już w śla-

dy pierwszej partji towarzyszy. Przsadzisty adjutant, muła i jakichś dwunastu derwiszów zostało z jeńcami. Nie wsiedli na wielbłądy, bo oni to odegrać mieli rolę katów. Trzej mężczyźni patrząc na siebie, wiedzieli, że piasek opadł już bardzo nisko w klepsydrze ich życia. Ręce mieli jeszcze zawsze skrępowane, ale straż już ich puściła. Podeszli wszyscy trzej do wielbłądów, pożegnać się z kobietami.

„Wszystko skończone, Noro“—zaczął Belmont. — „Smutna to rzecz, jeżeli były widoki odsieczy, ale cóż, trudno, robiliśmy, co się dało“.

Poraz pierwszy żona nie zdołała zapanaować nad sobą. Ukryła twarz w dłonie z konwulsyjnym łkaniem.

„Nie płacz, żoneczko. Dobrze nam było razem. Pozdrów odemnie wszystkich znajomych w Bray. Przypomnij mnie pamięci ciotki Amy Mac Carthy i Blessingtonów. Zobaczysz że byt będziesz miała zabezpieczony, nawet odłożyć da się coś niecoś, ale w sprawach majątkowych chciałbym, żebyś się radziła Rogera. Pamiętaj o tem“.

„O John, ja nie mogę żyć bez ciebie“.— Przejęty jej cierpieniem nawet ten mocny człowiek załamał się i przycisnął twarz do włochatej szyi wielbłąda. Oboje szlochali bez nadziejnie.

Stephens tymczasem podszedł do wiel-
błąda Sadie. Widziała z góry jego wynędz-
niałą, poważną twarz, mającą w pomroce.

„Niech pani nie lęka się o ciocię i o sie-
bie samą“ — mówił — „Jestem pewny, że pań-
stwo będą uratowani. To już rzecz pulko-
wnika. Egipcjanie nie mogą być daleko. Li-
czę, że napijecie się jeszcze jak należy przed
opuszczeniem źródeł. Chciałbym dać cioci
kurtkę, bo w nocy będzie zimno, ale boję się,
czy będę ja mógł ściągnąć. Niech weźmie
odemnie trochę chleba, będzie go miała na
jutro rano“.

Mówił zupełnie spokojnie, jakgdyby ukła-
dał program majówki. Nagła fala zachwytu
dla jego spokojnego bohaterstwa załała jej
wrażliwe serce.

„Jak pan nic nie ma w sobie samolub-
stwa!“ — zawołała — „Co tam mówić o świę-
tych! Stoi pan w samem obliczu śmierci
i myśli tylko o nas“.

„Chciałbym powiedzieć pani jeszcze os-
tatnie słowo, panno Sadie, jeżeli pani pozwoli.
Byłoby mi o wiele lżej umierać. Często pra-
gnąłem mówić o tem, ale myślałem, że może
pani będzie się śmiała, bo przecież pani nigdy
nic nie brała na seryo, prawda? To zu-
pełnie zrozumiałe wobec pani wesołości, ale

dla mnie to była rzecz poważna. Teraz jednak jestem już naprawdę człowiek umarły, tak że niema wielkiego znaczenia to, co mówię“.

„O, to niech pan nie mówi!“—krzyknęła Sadie.

„Nie powiem, jeżeli to ma pani sprawić przykrość. Jakem rzekł, umarłbym spokojniej, ale nie chcę być samolubem. Kiedy pomyślę, że mogę przez to rzucić cię na pani życie, albo stać się dla pani smutnym wspomnieniem, wolę faktycznie nie mówić już ani słowa“.

„Co pan chciał powiedzieć“?

„To tylko, że panią kocham. Zawsze panią kochałem. Od pierwszej chwili, kiedym panią zobaczył, stałem się innym człowiekiem. Naturalnie, że to był absurd, sam wiedziałem o tem najlepiej i starałem się unikać śmieszności. Ale właśnie pragnę, żeby pani dowiedziała się o tem teraz, kiedy już niema drogi do wyboru. Pani zrozumie, że ja naprawdę ją kocham, kiedy powiem, że gdyby nie świadomość, że pani była zatrwożona i nieszczęśliwa, uważałbym te dwa dni, w ciągu których przebywaliśmy bez ustanku razem, za najszczęśliwsze z całego mojego życia“.

Sadie siedziała blada i milcząca, patrząc zdumionemi oczyma na jego wzniesioną twarz. Nie wiedziała, co ma zrobić albo powiedzieć

wobec tej wysokiej miłości, która pałała tak jasno pod skrzydłem śmierci. Dla jej dziecięcego serduszka było w tem coś niezrozumiałego,—a jednak czuła, że to jest słodkie i piękne zarazem.

„Już nic nie powiem“ — ciągnął dalej Stephens. — „Widzę, że to panią drażni jedynie. Chciałem, żeby pani wiedziała, kiedy pani już wie — wystarcza. Dziękuję, że pani tak cierpliwie i uprzejmie wysłuchała. Żegnaj, maleńka Sadie. Nie mogę podać ręki. Czy mogłaby pani spuścić do mnie rączkę?“

Usłuchała prośby, ucałował jej rękę, odwrócił się i odszedł do Belmonta i Fardeta. W całym swoim pełnym zabiegów i powożeń życiu nigdy nie czuł tyle cichej radości, jak teraz, kiedy śmierć brała go w posiadanie. Miłość nie wie, co znaczy logika. Ona jest rdzeniem życia, zaćmiewa i przygłusza wszystko poza sobą, a jedyna tylko daje zupełne i wszechstronne zadowolenie. Cierpienie jest rozkoszą, niedostatek zbytkiem, śmierć słodyczą, jeżeli je okoli ta złocista mgła. To też Stephens gotów był śpiewać z radości, patrząc na swoich katów. W rzeczy samej nie miał czasu myśleć o nich. Najważniejszą, przytłumiającą wszystko, upajającą prawdą było, że ona nigdy już nie będzie mogła go

uważać za przygodną tylko znajomość. Przez całe życie będzie musiała myśleć o nim — będzie wiedziała.

Wielbłąd pułkownika stał niedaleko. Stary żołnierz, któremu tymczasem rozwiązano ręce, przyglądał się tej scenie i silna jego natura nie mogła pogodzić się z myślą, że prawdę trzeba się wyrzec wszelkiej nadziei. Oczywiście było, że arabowie zgrupowani koło skazańców, mieli z nimi pozostać, ci, którzy siedzieli na wielbłądach, mieli pilnować trzech kobiet i jego. Nie pojmował dlaczego do tychczas nie podcięto gardel towarzyszom, chyba że z wyrafinowanem okrucieństwem wschodu tylne straże chciały doczekać się aż egipcjanie podejną tuż do nich, aby ścigającym zostawić na urągowisko ciepłe jeszcze ciała ofiar. Nie ulega wątpliwości, że tłumaczenie to było zgodne z prawdą. Pułkownik słyszał już kiedyś o podobnym wypadku.

Tym razem wszelako z więźniami nie zostało więcej niż dwunastu arabów. Czy byli między nimi i ci, którzy okazali się sprzymierzeńcami?. Gdyby znalazł się wśród nich Tippy Tilly i jego sześciu kamratów, i gdyby Belmont zdołał uwolnić sobie ręce i sięgnąć po rewolwer, mogliby jeszcze ujsć cało. Pułkownik wyciągnął szyję jak żóraw i zaklął rozczar-

rowany. W świetle ogniska mógł widzieć twarze arabów. Byli to sami baggarowie, ludzie bez miłosierdzia i nie do przekupienia. Tippy Tilly ze swoimi musiał być odjechać z pierwszą partją. Nieugięty żołnierz po raz pierwszy stracił nadzieję.

„Żegnajcie towarzysze, niech was Bóg błogosławi“ — wołał, kiedy murzyn pociągnął za uzdę jego wielbłąda, aby zrównać go z resztą jeźdźców. Kobiety jechały za nim w stanie nie do opisania. Odjazd ich był ulgą dla tych, którzy mieli zostać.

„Jestem szczęśliwy, że odjechał“ — zwierzył się z serca Stephens.

„Tak, tak, to c wiele lepiej“ — przyznał Fardet. — „Jak długo będą nas jeszcze trzy mali?“

„Już teraz niebardzo długo“ — odparł Belmont ponuro, kiedy arabowie stłoczyli się koło nich.

Pułkownik i kobiety obejrzeni się jeszcze, dojechawszy do skraju oazy. Pomiedzy strzeżlistemi pniami palm błyszczalo ognisko, a nad zwartą gromadą arabów bielily się trzy kapelusze. W chwile potem wielbłądy puścily się truchtem. i, gay obrócili się znowu, kotlinka palmowa wygladała już tylko jak czarna plama, z której wnętrza dobywało się niewy-

rażnie jakieś światełko. Kiedy smutne ich oczy czepiały się tego drżącego czerwonego punkciku w ciemnościach, przejechali krawędź zakłęsniny i odrazu otoczyła ich wielka głucha, zalana księżycem pustynia, a z oazy, którą opuścili, nie zostało śladu. Aksamitne, granatowe niebo z migotliwymi gwiazdami zlewało się kołem z mroczną równią.

Kobiety jechały w głuchej rozpacz i pułkownik milczał, bo i cóż mogli mówić ze sobą? Wtem nagle wszyscy czworo podskoczyli na siodłach, a Sadie wydała okrzyk grozy. W ciszy nocnej rozległ się za ich plecami ostry strzał, potem drugi i trzeci, później kilka naraz, a po przerwie jeszcze jeden, ostatni.

„To może wybawcy! To może egipcjanie!” krzyknęła pani Belmont z nagłym błyskiem nadziei — „panie pułkowniku, czy pan nie przypuszcza, że to egipcjanie?”.

„Tak, tak” — jęczała Sadie — „to muszą być egipcjanie”.

Pułkownik zaczął nasłuchiwać, ale znowu zaległa cisza. Zdjął kapelusz z uroczystym wyrazem twarzy.

„Nie mamy się co ludzić, proszę pani. Lepiej spojrzeć prawdzie w oczy. Przy-

jaciele opuścili nas, ale odeszli jak dzielni ludzie”.

„Ale dlaczegoż strzelaliby? Mieli... mieli dzidy” — drżała mówiąc te słowa.

„To prawda” — przyznał pułkownik. — „Nie chciałbym za nic w świecie odbierać pani tych istotnych podstaw nadziei, ale z drugiej strony nie powinniśmy sami gotować sobie gorzkich zawodów. Gdyby to był naprawdę atak, musielibyśmy usłyszeć odpowiedź. Zresztą egipcyanie byliby przypuścili forsowny szturm. Niemniej jednak, rzeczywiście jest dziwne, że, jak pani zauważyła, trwonią naboje. — Rany boskiel! Widzą panie?”

Wyciągnął rękę w kierunku wschodnim. Po olbrzymiej równi przesuwaly się cicho i ukradkiem dwa cienie, majaczące na jaśniejszem tle pustyni. To nikły, to wypływały wśród falujących rozlogów, wyglądało jakgdyby uciekały od arabów. Naraz zatrzymały się na szczycie piaszczystego pagórka i jeńcy mogli zobaczyć dokładnie na tle nieba dwu ludzi na wielbłądach, którzy siedzieli okrakiem jak na koniach.

„Wielbłądzi korpus egipski!” — zakrzyknął pułkownik.

„Dwu ludzi!” — jęknęła panna Adams głosem rozpaczly.

„To tylko podjazd, proszę pani. Jedna z macek powysuwanych wszędzie przez pustynię. Główny oddział musi być o jakieś dziesięć mil od nas. Pojechali go wezwać. Dobry, pocziwy korpus wielbłądzi!”

Tak zawsze panujący nad sobą, systematyczny oficer ze wzruszenia zaczął belkotać. Ze wzgórza piaszczystego wyblysło czerwone światełko, po niem drugie, a potem trzask karabinowych wystrzałów. I wtedy oba cienie przepadły raptownie jak dwa pstrągi w strumieniu.

Arabowie przystanęli na chwilę, jakby niepewni, czy mają przerwać podróż i puścić się za nimi w pogoń, czy też jechać, nie zważając na nic. Ścigać było trudno, bo wśród falujących piasków podjazdy niewiadomo w jakim pojechały kierunku. Emir przegalopował wzdłuż szeregu ze słowami pobudki i zachęty. Wielbłądy puściły się klusa i nadzieje jeńców zatoneły w męce przeraźliwego trzęsienia. Mila za milą i mila za milą gnali tak naprzód przez olbrzymią pustkę, kobiety przywarły się z całej siły do siodeł, pułkownik, złamany był prawie tak samo jak one, ale zawsze jeszcze baczny na wszelki ślad pogoni.

„Zdaje mi się... zdaje mi się, że coś się rusza przed nami”—zawołała pani Belmont.

Pułkownik uniósł się na siodle i przysłonił oczy od księżyca.

„Przebóg!—ma pani słuszość. Są ludzie przed nami“.

Wszyscy już ich teraz mogli zobaczyć—długi sznur jeźdźców, ciągnący przez pustynię.

„Jadą w tym samym kierunku, co my!“—jęknęła pani Belmont, która miała daleko lepsze oczy od pułkownika.

Cochrane zaklął pod wąsem.

„Niech pani spojrzy na ślady“—rzekł—„to nasze własne przednie straże, które wcześniej wyjechały z oazy. Dlatego tak nas piekielnie gonia, żeby się z nimi połączyć“.

Podjechawszy bliżej, przekonali się, że w rzeczy samej był to pierwszy oddział arabski i właśnie emir Wad Ibrahim zawrócił ku nim na naradę z Abderrahmanem. Wskazywali dłonią w kierunku, w którym ukazały się podjazdy i kiwali głowami jak ludzie, którzy mają dużo poważnych trosk. Poczem oba oddziały rabusiów zwały się w długi wyciągnięty sznur i skierowały dokładnie w stronę Krzyża Południowego, który świecił nad horyzontem. Godzina za godziną mijała, a oni jechali tym okropnym klusem. Omdlewające kobiety trzymały się konwulsyjnie siodła. Cochrane zaś wzmizerowany, ale niezmożony,

podtrzymywał w nich ducha i bezustannie oglądał się, wypatrując śladów pogoni. Krew huczała mu w skroniach, a wołał, że słyszy bicie bębnow w ciemności. W gorączkowych wizjach mniemał, że niezliczona pogoń bieży tuż za nimi i przez całą długą noc bezustannie zwiastował dobre nowiny, które stale kończyły się rozczarowaniem i goryczą. Wschodzące słońce ukazało ciągnącą się w dal bez końca martwą pustynię, na której jedynym ruchomym punktem byli oni sami. Błędnym wzrokiem i z ciężkim sercem rozglądali się po pustym ogromie, a nadzieje ich rozwiewały się jak ranne mgły na widnokregu.

Dla pań bolesne było patrzeć na jadącego z nimi człowieka i uświadamiać sobie, że to nie był nikt inny, tylko elegancki wyświeżony oficer, ich towarzysz podróży od Kairu. Tak jak panna Adams zestarzał się w jednej chwili. Włosy jego, które w czasie ostatnich przygód w oczach przypiórszały się siwizną, były teraz białe jak mleko. Biała szczecina zacierała mocne i ostre linie podbródka i szyi. Żył na twarzy miał narbrzmiałe, a rysy poprzecinane siecią głębokich zmarszczek.

Jechał przygarbiony, z głową zwieszoną na piersi,—sterana, zgrzybiała postać jego bu-

działa litość, z oczu tylko przezierała jeszcze zawsze mężna dusza, która tkwiła w tej sponiewieranej skorupie. Mający, nawpół żywy, zachował wobec kobiet rycerski ton obrońcy, nie szczędził im troskliwych rad i słów porzucenia, bez przerwy wypatrując pomocy, która nigdy nie nadchodziła.

W godzinę po wschodzie słońca rozbójnicy zatrzymali się i rozdano wszystkim posiłek i wodę. Po przerwie jazda odbywała się już w bardziej umiarkowanym tempie, a długa wyciągnięta na południe karawana zajmowała więcej niż ćwierć mili. Mniej surowe przestrzeganie dyscypliny i ton rozmów dały poznać, że arabowie wydostali się już, jak mniemali, ze strefy pościgu. Kierunek południowy pochodu zmienił się na południowo-wschodni i niewątpliwie mieli zamiar po wielkim okrażeniu dojechać z powrotem do Nilu, już po za ostatnimi placówkami egipskimi. Zaczął się odrazu zmieniać i charakter krajobrazu. Wyjechali z otwartej i kamienistej pustyni, a zagubili się znowu wśród dziwnych, spalonych od żaru czarnych skał z pomarańczowymi piaskami, takich samych, jak te, wśród których jechali na początku. Po obu stronach wznosiły się stożkowate pagórki ze zboczami w kształcie tarasów, z odkruszonymi

złomami, w stromych kominach skalnych zwi-
sały namuliska piasku niby wodospady. Wiel-
błądy szły jeden za drugim, wijącą się śród
złomów wstęgą i wyszukiwały gąbczastemi
kopytami miejsc, które dla koni byłyby nie
do przebycia. Śród cieśni skalnej jadący na
końcu mogli widzieć daleko na przedzie wy-
gięte i wahadłowo poruszające się szyje zwie-
rząt, jakgdyby oglądane we śnie pochody
węży. Wogóle cały marsz sprawiał na jeń-
cach wrażenie snu, bo nie słyszeli najlżejsze-
go dźwięku poza cichem stąpaniem nóg wiel-
błądzich. Dziwny, widmowy orszak posuwał
się zwolna pośród dziczy czarnych krzesanic
i żółtego piachu, pod sklepieniem lśniącego
błękitu, zawisłego nad poszarpanemi ścianami
wąwozu.

Panna Adams, która zastygła w milcze-
niu podczas długiej chłodnej nocy od wscho-
du słońca zaczęła tajać w ciepłe. Rozejrzała
się wokoło, zacierając chude ręce.

„Sadie“ — zaczęła — „dlaczego w nocy
zdawało mi się, żeś płakała, a teraz widzę,
duszko, że masz czerwone oczy?“

„Myślałam, ciociu“.

„Musimy, kotku, starać się myśleć o in-
nych, nie o sobie“

„Ja nie o sobie myślałam“.

„O mnie nigdy się nie martw, Sadie“.

„Nie, ciociu, ja nie o cioci myślałam“.

„Więc o kim?“

„O panu Stephensie, cioteczko. Jaki on był dobry i jaki odważny! Jak dbał o każdą drobnostkę dla nas, starał się jeszcze ściągnąć kurtkę z biednych, związanych rąk, kiedy mordery czyhali już na niego. On będzie od dzisiaj na zawsze moim świętym i moim bohaterem“.

„Teraz już wolny jest od ziemskich zgrzyzot“ — odpowiedziała panna Adams z ową dziwną tępotą, którą lata wiodą ze sobą.

„To i ja bym już chciała być wolną“.

„Nie wiem, w jaki sposób miałabyś mu przez to pomóc?“

„Przypuszczam, że czułby się mniej samotny“ — odpowiedziała Sadie z pochyloną ku ziemi twarzą.

Wszyscy czworo jechali czas pewien w milczeniu, kiedy nagle pułkownik podniósł rękę do czoła ruchem najwyższego przerażenia:

„Wielki Boże!“ — zawołał — „zupełnie tracę zmysły!“

W nocy już mieli co do niego parokrotnie to samo wrażenie, ale jednak od wschodu słońca był całkiem normalny. To też zasko-

czył ich ten nagły wybuch i starali się uspokoić go łagodnymi słowy.

„Mam zupełnie pomieszanie zmysłów“ — powtórzył — „czy odgadną panie, com zobaczył?“

„Wszystko jedno co, niech się pan nie przejmuję“ — mówiła pani Belmont, kładąc pieśczośliwie rękę na jego dłoni, kiedy ich wielbłądy się zrównały. — „Niema w tem nic dziwnego, pan jest przemęczony. Tyle czasu myślał pan i działał za nas wszystkich. Zatrzymamy się niedługo, a parę godzin snu zupełnie postawi pana na nogi“.

Ale pułkownik znowu podniósł oczy i znowu krzyknął z wyrazem wzburzenia i przestachu.

„W życiu mojem nic nigdy nie widziałem wyraźniej. — Na czubku skały, po naszej prawej ręce, stoi biedny ksiądz w mojej czerwonej chustce na głowie, zupełnie taki, jakeśmy go zostawili“.

Kobiety spojrzały wślad za przerażonym wzrokiem towarzysza, a po chwili ogarnęło je to samo osłupienie.

Czarna turnia, niby baszta, sterczała na prawo od okropnego grzebienia, na który w tej chwili mozolnie pięły się wielbłądy. W jednym punkcie wystawał z niej ostry ząb, a na nim samotnie rysowała się postać ludzka,

cała czarna z wyjątkiem błyszczącego rąbka szkarlatu na głowie. Nie mogło być napewno dwu takich krótkich, pękatych figur, ani dwu takich wielkich, ziemistych twarzy na pustyni libijskiej. Pochylony naprzód, zdawał się z przejęciem zaglądać w głąb wozu. Poza jego i sylweta przypominały karykaturę wielkiego Napoleona.

„Czy to może być on?“

„Musi być on!—I jest!“ — wołały panie—

„Widzi pan? patrzy na nas i macha ręką“.

„Wielkie nieba! Zabiją go! Zejdźcie, księżo, bo was zastrzelą“ — ryczał pułkownik. Ale z jego suchej krtani wychodził tylko niezrozumiały bełkot.

Kilku derwiszów zauważyło dziwną zjawę na turni i odpasało rewolwery, w tej samej chwili jednak długie jakieś ramię wysunęło się z poza księdza, ciemna ręka chwyciła go za ubranie i zniknął w mgnieniu oka. Niżej, na przełęczy, akurat pod miejscem, na którym stał przed chwilą, ukazała się wysoka postać emira Abderrahmana. Wskoczył na głąz i krzyczał i dawał znaki rękoma, ale głos jego utonął w przeciągłej strzelaninie, jaka huknęła z obu stron przełęczy. Podobna do baszty turnia najeżyła się lufami, a powyżej cyngli zawisły czerwone fezy. I z przeciwległej ścia-

ny skalnej wyblsnał snop płomieni i gruchnęły wystrzały. Rabusie wpadli w zasadzkę. Emir przewrócił się, ale podniósł się znowu i dalej dawał znaki. Na jego długiej białej brodzie widniała plama krwi.

Pokazywał coś i gestykułował, ale niepodobna było zrozumieć, o co mu idzie. Jego żołnierze jedni zaczęli się tłoczyć z powrotem ku ujściu wąwozu, drudzy, jadący w tyle pchali się naprzód. Niektórzy zeszli z wielbłądów i z szablami w ręku zaczęli się pięć ku śmiercionośnej linii ognia, ale rażeni kulami staczali się jeden po drugim, ze złomu na złom, aż do dna skalnego jaru. Nie strzelali dobrze. Jeden z murzynów wdarł się bezbronny na stok i dopiero przed samym wierzchołkiem otrzymał cios w głowę kolbą karabinu. Emir stoczył się z głazu i leżał jak pomiętoszony gałgan, jak łaciasty materac na dnie żlebu. A kiedy połowa oddziału padła, i ci sfanatyzowani ludzie zrozumieli nareszcie, że walka jest dla nich zabójcza, że muszą z tej piekielnej cieśni wywikłać się koniecznie na otwartą przestrzeń. Zaczęli gnać galopem przez wąwóz, a okropnie było patrzeć na wielbłądy, galopujące po kamienistych rozpadlinach. Przerażenie samego zwierzęcia, jego niezgrabne susy, z wszystkimi nogami w po-

wietrze, jego ohydne piski i wreszcie wycia jeźdźców, którzy przy każdym podskoku wyrzucani byli wysoko nad siodło, wszystko to składało się na obraz nie do zapomnienia. Kobiety zaczęły krzyczeć ze strachu, kiedy ten oszalały potok przepływał koło nich, ale pułkownik odprowadzał ich wielbłądy coraz dalej od uciekających arabów. Powietrze pełne było poświstu kul, które z łoskotem spadały na okalające kamienie.

„Niech panie się nie ruszają, aż wszyscy przelecą koło nas“ — szeptał Cochrane, który w godzinie czynu odrazu odnalazł samego siebie. — „Marzę o tem, żeby wypatrzeć Tippy Tilly i jego towarzyszy. Teraz naprawdę mogliby nam dopomóc“. Przyglądał się bacznie obłąkańczemu cwałowaniu zbiegów na powaryowanych wielbłądach, ale czarnej twarzy egipskiego kanoniera nie było w tej masie.

Zdawało się teraz, że cały oddział, pochłonięty jedyną myślą, aby wydostać się z wąwozu, najzupełniej zapomniał o jeńcach. Główna lawina przeleciała i tylko maruderzy biegli jeszcze przez różgi okropnego ognia, który lał się na nich z góry. Ostatni ze wszystkich, młody baggara z czarnym wąsem i ostrą bródką, przejeżdżał, patrząc w górę i w bezsilnej złości wygrażał karabinem w stronę strzel-

ców egipskich. W tej chwili padł strzał i wielbłąd jego runął jak długi, z szyją i z nogami wyciągniętymi na ziemi. Młody jeździec zeskoczył i porwawszy zaczepioną o nozdrza wierzchowca uździenicę, zaczął okładać biedne zwierzę klingą pałasza, aby je zmusić do powstania na nogi. Jednak mroczące się i zachodzące łzą oko mówiło nieomylną prawdę, a w walkach pustynnych śmierć wielbłąda znaczy śmierć jeźdźca. Baggara rozejrzał się dookoła jak osaczony lew, czarne jego oczy rzucały zabójcze błyski z pod czerwonego turbana. Szkarłatne plamy jedna za drugą wykwitwały na jego ciele, lecz nawet nie drgnął pod deszczem kul. Nagle spojrzenie jego trafiło na jeńców: wściekłym ruchem rzucił się ku nim, a naga szabla migotała mu nad głową. Panna Adams znajdowała się najbliżej na jego drodze, ale na widok pędzącego rzuciła się sama z wielbłąda i stoczyła się daleko po kamieniach. Arab wpadł na skałę i zamierzył się na panią Belmont, wszelako nim cios jego mógł ją dosięgnąć, pułkownik wysunął się z pistoletem i wystrzelił w głowę szaleńca. Wściekłość, która nim miotła, mocniejsza była nawet od śmierci, leżąc już, wierzgał jeszcze i drgał między kamieniami jak ryba na żwirze.

„Niech się panie nie boją“ — wołał pułkownik — „jest doskonale zabity, ręczę za to. Przykro mi, że musiałem to zrobić w obecności pań, ale ten człowiek był niebezpieczny. Miałem prócz tego i własny interes, żeby się z nim porachować, bo to on próbował zdruzgotać mi żebra rewolwerem. Liczę, że się pani nic nie stało?“ — zawołał z daleka do panny Adams. — „Chwileczkę tylko, biegnę do pani“.

Åle amerykanka wyszła bez szwanku, bo gŁazy były tak wielkie, że z małej wysokości stoczyła się ze swego wielbłada. Sadie, pani Belmont i pułkownik schodzili ku niej, skacząc po kamieniach. Pannę Adams zastali już na nogach — powiewała ku nim tryumfalnie strzępami zielonego welonu.

„Wiwat Sadiel Wiwat drogie, kochane dziecko!“ — wykrzykiwała. — „Jesteśmy nareszcie ocaleni!“

„Tak, tak ocaleni“, — huczał pułkownik i wszyscy wpadli w szal radości.

Lecz Sadie nauczyła się więcej myśleć o innych w tych dniach próby. Otoczyła ramionami panią Belmont i przytuliła policzek do jej twarzy.

„Drogi, słodki aniele“ — szeptała „jak możemy się cieszyć, kiedy pani, kiedy pani.....“

„Przecież ja w to nie wierzę“ — krzyknęła mężna irlandka. — „I nie uwierze nigdy, dopóki

ciała Johna nie zobaczę na własne oczy. Ale jeżeli zobaczę, nie będę już mogła żyć ani chwili“.

Ostatni derwisz znikł za przełęczą i jednocześnie na szczytach skalnych po obu stronach wąwozu ukazali się egipcyanie,—rośli i smukli a szerocy w barach żołnierze, których sylwetki na tle błękitu dziwnie przypominały wojowników ze starożytnych płaskorzeźb. Zostawili wielbłądy i zbiegli błyskawicznie ku jeńcom. W tej samej chwili ukazał się inny oddział, przybliżający się na wielbłądach z głębi wąwozu; ciemne twarze pałały, a oczy świeciły radością zwycięstwa. Na czele ich jechał angiłk bardzo niskiego wzrostu, z jasnym jak słoma wąsikiem, o wyglądzie człowieka mocno utrudzonego. Zatrzymał wielbłąda koło rozbitków i uklonił się paniom. Miał na sobie żółte buty i żółty pas ze stalowymi sprzączkami, co nadawało mu pozory robotnika, mimo wojskowego munduru.

„No, tym razem mamy tych bratków i to dokumentnie“ — odezwał się. — Cieszę się, że mogłem być pomocny, panie dobrodzieju. Liczę, że nie ucierpieli państwo przez tę historję? Ale dla pań to przejście nie lada“.

„Pan z Halfy, jak sądzę?“ — zapytał pułkownik.

„Nie, panie dobrodzieju, my z drugiego

oddziału. Stoimy załogą w Sarras. Spotkaliśmy się na pustyni i dziobnęliśmy ich z przodu, a tamte zuchy wzięły ich od tyłu. Mamy ich jak na talerzu, powiadam panu. Niech państwo wejdą na tę skałę, a zobaczą widoczek, no no... Teraz właśnie idzie pukaninka dookoła“.

„Parę osób z naszego towarzystwa zostało przy źródłach. Jesteśmy wysoce zaniepokojeni“ — przerwał pułkownik. — „Może pan coś wie o nich?“..

Młody oficer zrobił poważną minę i wstrząsnął głową. „Ładna zabawa“ — rzekł — „To barbarzyńcy, wiesz, że zależę od nich. Nigdyśmy nie przypuszczali, że zobaczymy państwa żywych i szczęśliwi jesteśmy, że chociaż parę osób wyciągnęliśmy z tej paszczy. Co najwyżej liczyliśmy, że będziemy mogli was pomścić“.

„Czy prócz pana niema nikogo z angi-
ków?“

„Archer jest z oddziałem oskrzydającym. Musi przejechać tędy, bo nie sędzę, żeby istniała inna droga. Jednego z waszych już mamy. Pociężna figurka: czarna z czerwonym czubkiem. Zobaczymy się jeszcze, liczę na to. Żegnam panie“. Podniósł palce do helmu, zaciął wielbłąda i puścił się za swoim oddziałem.

„Najlepiej zrobimy, czekając tu, aż wszyscy przejdą”—oznajmił pułkownik, bo wyraźne było teraz, że musi tędy przejść całe wojsko z góry. I faktycznie rwanym łańcuchem przesuwali się żołnierze czarni i bronzowi, sudańscy i fellahowie, ale wszystko wyborowe oddziały, bo Korpus Wielbłądzi jest perłą armii egipskiej. Wszyscy mieli żółte pasy skórzane przez ramię i strzelbę u nogi. Przy oddziale jechał barczysty mężczyzna z zawieszonym czarnym wąsem i małą lunetką w rękę.

„Hala! Archer!”—huknął pułkownik.

Oficer spojrział na niego nic nie mówiąc spojrzaniem, jak na zupełnie obcego człowieka.

„Jestem Cochrane, pamiętacie? Podróżowaliśmy razem“.

„Pan wybaczy, ale nie przypominam sobie”—odpowiedział tamten. Znałem pułkownika Cochrane Cochrane’a, ale to był kto inny. O jakie pół głowy wyższy od pana, brunet i...“

„Dobre sobie“ — uniósł się pułkownik— „sprobujcie tak parę dni spędzić wśród derwiszów, a zobaczymy czy przyjaciele was poznają“.

„Wielki Boże! Cochran! Więc to wy naprawdę? — Nie wierzyłbym własnym oczom! Coście wy musieli przejść! Słyszałem, że lu-

dzie mogą osiwieć w jedną noc, — ale na miłość boską....“

„Właśnie też“ — zaciął się, czerwieniąc pułkownik. — „Pozwólcie zwrócić sobie uwagę, Archer, że gdybyście coś znaleźli do zjedzenia i do wypicia dla naszych pań, byłoby daleko lepiej, niż rozstrząsać sprawę mojego wyglądu“.

„Słusznie mówicie“ — odparł kapitan — „Wasz towarzysz, ksiądz, wie, że tu jesteście i zaraz coś wam przyniesie. Licha strawa, proszę pań, ale lepszej nie posiadamy. Jesteście stary żołnierz, Cochrane. Wejdźcie no na tę skałę, a zobaczycie ciekawy widok. Ale czas na mnie, bo zaraz znowu otwieramy ogień. Czy mogę czemś państwu służyć przed odejściem?“

„Nie macie przypadkiem czegoś w rodzaju cygara?“ — przychwycił w tej chwili pułkownik.

Archer wyciągnął z kieszeni grubą cygarnicę i wręczył ją koledze, poczem pognął za swymi ludźmi, a pułkownik, wsparty o skałę, począł z lubością zaciągać się wonnym dymem. Jego rozklekotane nerwy wyczuły w tej chwili całą wartość narkotyku, słodkiego krzepiciela, który przywraca opadające siły i koł znekana głowę. Śledził okiem błękitne kręgi,

snujące się w kapryśnych zwojach, czuł miły, aromatyczny smak na podniebieniu i rozkoszne rozleniwienie rozchodziło się po jego udręczonem ciele. Panie siedziały wszystkie trzy razem na płaskiej skale.

„Boże mój, jakże ty wyglądasz, Sadie” — zawołała ni stąd ni z owąd panna Adams — a był to znowu po raz pierwszy jej dawny ton. — „Coby twoja matka powiedziała na taki widok? Skąd masz tyle słomy we włosach? I sukienka jest pomięta jak flak”.

„Zdaje się, że wszystkie wyglądamy jak nieboskie stworzenia” — odpowiedziała Sadie, a głos jej był o wiele głębszy niż głos dawnego trzpiota — „Pani Belmont jest i tak śliczna, ale swoją drogą troszeczkę włosy pani poprawię”.

Oczy pani Belmont błdziły gdzieś daleko, potrząsnęła smutnie głową, i odsunęła delikatnie ręce dziewczęcia.

„Zupełnie mi wszystko jedno, jak wyglądam. Nie jestem zdolna myśleć o tem” — odrzekła — „I ty byś tak samo myślała, gdybyś tak okropnie jak ja rozstała się z ukochanym człowiekiem”.

„Zdaje mi się, zdaje mi się, że i ja także trochę...” — rozplakała się biedna Sadie i ukryła rozpaloną twarz na piersi towarzyszki.

ROZDZIAŁ X.

Cały Korpus Wielbłądzi spuścił się wzdłuż wąwozu w pościgu za uciekającymi derwiszami i jeńcy na chwilę pozostali sami. W tej chwili właśnie usłyszeli nad sobą wołanie i z pośród skał wynurzył się czerwony turban a pod nim wielka, uśmiechająca się twarz księdza nonkonformisty. Podpierał się grubym oszczepem, bo rana w nodze nie pozwalała mu jeszcze na swobodę ruchów i ta mordercza kula w połączeniu z łagodną powierzchownością tworzyły bardzo humorystyczną całość, jak gdyby jagnię z nienacka wysunęło pazury. Za nim szli dwaj murzyni z koszykiem i z bukłakiem.

„Ani słowa, ani słowa“ — krzychał, kiedy go obstąpili. — „Wiem doskonale, jak się macie, przeszedłem akurat to samo. Ali, podaj no wody. Dla panny Adams narazie tylko

pół kubeczka, w tej sekundzie będzie więcej. A teraz pani Belmont. Biedacy wy moi, biedacy wy moi, jakże serce boli patrzeć na was. W koszyku jest chleb i mięso, ale na początek musicie być bardzo ostrożni". — Zachichotał z radości i usługując im, zacierał raz po raz tłuste ręce.

"A gdzie jest reszta?" — zapytał nagle i twarz jego odrazu pociemniała.

Pułkownik uczynił smutny ruch głową. „Zostawiliśmy ich koło źródeł. Drżymy, że już ich niema“.

„Cyt, cyt!“ — przerwał mu ksiądz chrapliwym głosem, który jednak niezupełnie zagłuszył okropne przerażenie. — Myśleliście, prawda?, że już po mnie, a oto, na złość wam, jestem. Niech pani nigdy nie traci nadziei. Nie przypuszczam, żeby mąż pani był w podobnie rozpaczliwym położeniu, jak ja onegdaj“.

„Kiedym zobaczył księdza na skale, myślałem, że mi się rozum pomieszał“ — odezwał się pułkownik. — „Gdyby nie to, że i panie widziały, nigdy w życiu nie byłbym zdolny uwierzyć“.

„Boję się, że się brzydko zachowałem. Kapitan Archer powiada, że o mało nie pokieraszowałem im wszystkich planów i że zasłużyłem na sąd polowy i na śmierć. Ale, kiedy usłyszałem arabów w wąwozie,

zapomniałem o wszystkim. przejęty tylko jedną myślą, czy ktoś z was żyje jeszcze?”

„Dziwię się, że księdza nie zastrzelono i bez żadnego sądu polowego“ — zauważył pułkownik — „Ale jakim cudem ksiądz znalazł się tutaj?”.

„Oddział z Halfy był tuż tuż za nami, kiedyście mnie zostawili i znalazł mnie na środku pustyni. Musiałem być nieprzytomny, bo mówili, że słyszeli z bardzo daleka mój głos, że śpiewałem hymny i tą drogą Opatrzność sprowadziła ich ku mnie. Na jednym z wielbłądów mieli apteczkę i wszystkie środki opatrunkowe, tak, że na drugi dzień już byłem sobą. Potem spotkaliśmy się z oddziałem z Sarrasu i przyłączyłem się do niego, ponieważ mieli ze sobą lekarza. Moja rana to głupstwo, a nawet doktor twierdzi, że dla człowieka mojej tuszy utrata krwi zupełnie nie jest szkodliwa. A teraz drodzy państwo“ — i jego wielkie piwne oczy przestały uśmiechać się i przybrały wyraz poważny i uroczysty — „byliśmy wszyscy na włos od śmierci i kto wie, może nasi towarzysze jeszcze są w tem położeniu. Ta sama potęga, która nas ocaliła, może i ich ocalić, pomódlmy się więc razem, aby tak się stało i pamiętajmy zawsze, że jeżeli nawet, wbrew naszym modlitwom, to nie

nastąpi, musimy pogodzić się z faktem jako z najlepszym i najmądrzejszym stanem rzeczy”.

Ukłękli wszyscy na czarnej skale i modlili się, jak niektórzy z nich nie modlili się nigdy przedtem. Było bardzo łatwo filozofować na temat religii na pokładzie *Koroska*, i czuć się pewnym siebie i silnym na wygodnym leżaku, pod białą zasłoną, kiedy usłużny arab roznosił kawę i likiery. Ale teraz byli wyrzuceni po za nawias pogodnego istnienia i zetknęli się z okrutnym biegiem wypadków. Zbici i zmaltretowani musieli mieć coś, czegoby się mogli uchwycić. Ślepe nieubłagane przeznaczenie było za okropne, by mieli w nie wierzyć. Siłę karzącą, działającą rozumnie i celowo, siłę żywą, twórczą, która ich odpędziła od codziennego trybu, zburzyła ich sekciarskie zakamarki i wywiodła przemocą na szeroki gościniec—oto, co poznali przez te straszne dni grozy. Jakieś wielkie ręce pochwyliły ich nagle, wwały w nowe formy i przeznaczyły do nowych celów. Czy na taką siłę można było wpłynąć przez ludzkie błagania? Albo było można albo wogóle nic nie było można,—tu tkwiła ostatnia ucieczka dla skrzywdzonej ludzkości. Więc modlili się tak, jak kochanek kocha, jak poeta pisze, z samego dna dusz, i podnieśli się wszyscy z uczuciem tego wymykającego się

wszelkiej logice wewnętrznego spokoju i zadowolenia, jakie tylko jedna modlitwa dać jest w stanie.

„Co to jest?”—zawołał Cochrane—„posłuchajcie!”

Odgłos strzału odbił się głosem echem w ciasnym wąwozie, za nim drugi i trzeci. Pułkownik strzygł uchem jak koń, który usłyszy róg myśliwski i ujadanie sfory.

„W jaki sposób moglibyśmy zobaczyć, co się dzieje?”

„Tędy, tędy państwo pozwolą. Tu idzie ścieżka na szczyt. O ile panie zechcą pójść za mną, nie będą narażone na żaden przykry widok”.

I ksiądz zaprowadził ich okólną drogą, aby ominąć ciała, zalegające gęsto dno wąwozu. Droga po kłujących, żuzłowatych kamieniach była nader uciążliwa, wydostali się jednak wreszcie na wierzchołek. Przed nimi leżał rozległy przestwór falistej pustyni, a na pierwszym planie rozgrywała się scena, której nikt z nich nigdy nie będzie mógł zapomnieć. W idealnie czystym i suchym powietrzu, na tle niezmiennie burej pustyni, każdy szczegół rysował się tak ostro, jakgdyby to były figurki poustawiane na stole i które w każdej chwili dosięgnąć można ręką.

Derwisze — a raczej ich niedobitki — je-

chali opodal w bezładnej kupie, łaciaste kaftany ich i turbany czerwone chwiały się w takt ruchu wielbłądów. Nie robili wrażenia wojska rozgromionego, bo poruszenia ich były bardzo powolne, ale rozglądali się i zmieniali szyki, jakgdyby nie byli pewni, jakiej taktyki należy się trzymać. Nic dziwnego, że wyglądali nie-swojo; wobec ostatecznego wyczerpania wielbłądów położenie ich było beznadziejne. Oddział sarraski wynurzył się z wąwozu, żołnierze posiadali z wielbłądów, ustawiając wierzchołce swoje grupkami po cztery, strzelcy tymczasem ukłękli w długi szereg przed którym zabieliła się zaraz kłębiasta linia dymu. Jedna za drugą śmigają z niej kule ku arabom, którzy ostrzeliwali się bezplanowo, siedząc na wielbłądach. Ale oczy widzów oparły się nie na smętnej grupie derwiszów, ani nawet nie na długiej linii klęczących strzelców. Gdzieś z oddali trzy szwadrony halfańskiego korpusu wielbłądziego zbliżały się zwartą kolumną i zatoczyły, nadjeżdżając, wspaniałe półkole. Arabowie byli wzięci we dwa ognie.

„Na Bogal“ — krzyknął pułkownik — „czy widzicie, co się dzieje?“

Wielbłądy derwiszów ukłękły wszystkie razem i jeźdźcy zeskoczyli na ziemię. Na czele ich widać było wysmukłą, okazałą postać —

nie mógł to być nikt inny, jak emir Wad Ibrahim. Na jedną chwilę przyklął w modlitwie. Potem wstał, wy dobył coś z siodła i rozłożył bardzo oględnie na piasku.

„Wielki Boże!“ — krzyknął pułkownik — „stanął na skórze jagnięcia!“

„Co pan chce przez to powiedzieć?“ — zapytał ksiądz Stuart.

„Każdy arab ma przy siodle skórę jagnięcą. Kiedy widzi, że położenie jego jest bez wyjścia, a jednak zdecydowany jest walczyć do ostateczności, wyciąga ją i stri na na niej aż do śmierci. Widzą państwo? Wszyscy stanęli na jagnięcych skórkach. Teraz będą walczyli na śmierć i życie.“

Dramat zbliżał się szybko do rozwiązania. Oddział halfański podjechał już blisko i pierścień dymu i ognia otoczył garść klęczących derwiszów, którzy odpowiadali jak mogli. Wielu padło, ale pozostali bronili się z niezachwianą odwagą, która czyniła z nich zawsze godnych szacunku przeciwników. Kilkanaście trupów w mundurach *khaki*, leżących na piasku, wskazywało, że i dla egipcyan zwycięstwo nie było bezkrwawe... W pewnym momencie odezwała się trąba wśród oddziału sarraskiego, odpowiedział mu podobnie korpus halfański. Wielotądy przyklekły i żołnierze stanęli w dłu-

giej linii krzywej. Ostatni strzał—i runęli na-
przód z opętanym wrzaskiem, którego nau-
czyli się od murzynów z puszczy środkowo-
afrykańskich. Przez chwilę widać było kłę-
bowisko [wijących] się ciał, wyblyskających
i opadających kolb karabinów i ostrza dzid,
które śmigały w ruchomej chmurze pyłu.
Jeszcze [raz zagrała trąba, egipcjanie odsko-
czyli w tył i z niesłychaną sprawnością pierw-
szorzędnego wojska sformowali szeregi. A po-
środku, każdy na swojej skórze jagnięcej, le-
żeli wspaniały barbarzyńca i jego jeźdźcy.

Trzy kobiety patrzyły odrętwiałe ze zgro-
zy, a jednak przykute rozgrywającą się sceną.
Po skończonej bitwie Sadie i ciotka rozplą-
kały się. Pułkownik zwrócił się do nich z ja-
kiemś pokrzepiającem słowem, kiedy przypad-
kiem wzrok jego padł na panią Belmont. Była
blada, jak wyrzeźbiona z kości słoniowej, a wiel-
kie szare oczy patrzyły niby w zachwyceniu.

„Na miły Bóg, co pani jest?“ — krzyknął
przerażony.

Zamiast odpowiedzi wyciągnęła rękę w stro-
nę pustyni. Gdzieś, niezmiernie daleko, poza
polem bitwy mały oddziałek jeźdźców zbliżał
się w ich stronę.

„Na Jowisza, tak, tak, ktoś tam jedzie.
Któż to może być?“

Wszyscy wyteżyli wzrok, ale odległość była wielka, pewne było jedynie, że to są ludzie na wielbłądach, w liczbie około dwunastu.

„Czy to nie te dyabły, które zostały przy źródłach?“ — pytał sam siebie pułkownik.— „Bo i któż mógłby być inny? Jedyna pociecha, że żywi nie ujdą. Wpadli w paszczę lwa“.

Ale pani Belmont patrzyła bez przerwy z tym samym wyrazem twarzy i tak samo trupio blada. Nagle z dzikim krzykiem radości wyciągnęła ramiona. „To onil... Ocaleni! To onil panie pułkowniku, to onil Panno Elizol panno Elizol czy pani widzi? jadał“ Sfrunęła ze szczytu pagórka z dzikimi oczyma, jak zwarjowane dziecko.

Towarzysze nie byliby uwierzyli—wiedzieć nic nie mogli,—ale bywają chwile, kiedy zmysły śmiertelnych są ostrzejsze, niż śmiałyby kiedykolwiek przypuścić ktoś, co nigdy nie przechodził podobnych prób. Pani Belmont zbiegła już była po skalnej ścieżce ku swemu wielbłądowi, nim mogli nareszcie rozpoznać to, co dla niej było przyczyną tej anielskiej radości. Śród półkola nadjeżdżającego oddziałku bielity się w słońcu trzy punkciki,—mogły to być tylko kapelusze trzech europejczyków. Zbliżali się szybko i nim przyjaciele wyruszyli na ich

spotkanie, można już było doskonale rozpoznać, że w rzeczy samej jada Belmont, Fardet i Stephens z dragomanem Manzorem i rannym strzelcem sudańskim. Kiedy podjechali, okazało się, że eskortę ich stanowią Tippy Tilly i jego gromadka. Belmont podleciał ku żonie, Fardet tymczasem ścisnął dłoń pułkownika.

„*Vive la France! Vivent les Anglais!*” — ryczał. — *Tout va bien, n'est ce pas, monsieur le colonel? Ah, quelles canailles! Vivent la croix et les chretiens!*” — W oszołomieniu swoim był zupełnie niekonsekwentny.

I pułkownik rozentuzjzmował się, w granicach, na jakie pozwalała mu krew anglosaska. Nie umiał gestykulować, ale śmiał się z jakimś nerwowym gdakaniem, co było u niego wyrazem najwyższego wzruszenia.

„Jakże się z serca cieszę, że pana widzę. Miałem was za straconych. Nic w życiu jeszcze tak mię nie uradowało. Jakżeście się wydostali?”

„To wszystko pana zasługa”.

„Moja?”

„Tak, drogi panie, a ja zadzierałam z panem. Niewdzięcznik jestem”.

„Ależ w jaki sposób ja was uratowałem?”.

„To pan umawiał się z tym dzielnym Tip-

py Tilly i obiecał im taką sutą nagrodę, jeżeli wrócimy żywi do Egiptu. Otóż wyślizgnęli się w mroku i ukryli w zaroślach. Potem, kiedy zostaliśmy sami, wypadli z bronią i zabili naszych niedoszłych katów. Żałuję, że sprzątnęli tego przekłętęgo mułę, bo byłbym go przekabacił na chrystyanizm. A teraz za pozwoleniem pana, lecę uściskać pannę Elizę, bo Belmont ma żonę, Stephens pannę Sadie, więc chyba słusznie się należy, aby sympatya panny Elizy przypadła mnie w udziale”.

— — — — —

Minęły dwa tygodnie i specjalny statek, oddany do dyspozycji uratowanych podróżnych, znajdował się już na północ od Assuanu. Następnego ranka mieli stanąć w Baliani, skąd odchodził ekspres do Kairu. Był to więc ich ostatni wspólny wieczór. Panią Schlesinger z dzieckiem, której udało się umknąć szczęśliwie, już wcześniej odstawiono do granicy. Panna Adams odchorowała ciężko całą przysługę i dziś po raz pierwszy lekarz pozwolił jej wyjść po obiedzie na pokład. Spoczywała na leżaku, jeszcze chudsza i bardziej zaszuszona, ale i jeszcze bardziej życzliwa ludziom niż kiedykolwiek, a Sadie otulała jej ramiona szalem. Stephens przyniósł kawę i postawił obok na trzcinowym stoliku. Na drugiej stronie

pokładu siedzieli państwo Belmont, milczący, ale szczęśliwi, Fardet, oparty o poręcz, ganił opieszałość rządu brytańskiego, który nie strzeże pilniej granic Egiptu. Przed nim stał pułkownik, wyprostowany jak struna, z czerwonym światełkiem dopalającego się cygara w ustach.

Ale cóż to się stało z pułkownikiem? Jakże mógłby go poznać ktoś, kto widział sędziwego jeńca na pustyni libijskiej? Być może, że parę nitek srebrzyło się w jego włosach ale włosy miał jeszcze bardziej krucze, niż na początku podróży. Tonem lodowatym i odpychającym odpowiadał na wyrazy współczucia, jakie spotykały go po powrocie do Halfy, z powodu strasznych przeżyć, skutkiem których tak niespodziewanie osiwił, to też dał nurka do kajuty, a po godzinie mniej więcej zjawił się znowu, dokładnie taki, jaki był przed fatalną chwilą, co go odcięła od wszelkich środków cywilizacji. Każdemu, kto teraz jakoś znacząco spojrział na niego, odpowiadał tak piorunującym spojrzeniem, że nikt nie czuł moralnej odwagi czynić mu jakiegokolwiek uwagi o jego ostatnim cudownym przemienieniu. Od tego czasu zauważono, że pułkownik, ilekroć miał się zapuścić na sto jardów w głąb pustyni, zaczynał przygotowania od tego, że

wsuwał do bocznej kieszonki marynarki czarną flaszeczkę z czerwoną nalepką. Ale osoby, które go znały lepiej, twierdziły, że stary wojak miał młode serce i młody umysł, tak że jeżeli pragnie zachować i koloryt młodzieńczy, to niema w tem, w gruncie rzeczy, nic a nic złego.

Cicho i przytulnie było na pokładzie, ciszą mącił jedynie miły szmer wody, z jakim roztrącała się o boki statku. Niebo na zachodzie zalane było czerwienią zorzy, której odbłaski purpurowemi plamami kładły się na spokojnym i głębokim nurcie. W świetle zmierzchu smukłe czaple stały nieruchomo na piasku nadbrzeżnym, a wyżej palmy daktylowe przesuwaly się jak majestatyczna procesja. I znowu wykwitły srebrne gwiazdy, te same ciche, niewruszone światełka, ku którym wznosiły się tylekroć razy ich oczy w długie noce pustynnej męczarni.

„Gdzie panie mają zamiar stanąć w Kairze?”—przerwała wreszcie milczenie pani Belmont.

„Przypuszczam, że u Shephearda“.

„A pan Stephens?”

„O, rozumie się, że u Shephearda“.

„My zajedziemy do Continentalu. Mam nadzieję, że się nie stracimy z oczu“.

„Ja nie chciałabym nigdy stracić pani z oczu” — zawołała gorąco Sadie. — „Pani musi przyjechać do nas do Ameryki. Postaramy się, żeby pani było strasznie dobrze u nas”.

Pani Belmont uśmiechnęła się swoim zwykłym, słodkim uśmiechem. „Mamy obowiązki w Irlandji, a i tak byliśmy już bardzo długo poza domem. Mąż mój ma swoją pracę, ja mam gospodarstwo, nie można zaniedbywać. Zresztą — dodała z kobiecą przekorą — mogłoby się zdarzyć, że przyjeżdżamy do Ameryki, a Ciebie tam niema...”

„Musimy się wszyscy spotkać” — odezwał się Belmont — „choćby poto tylko, żeby pogadać o naszych przygodach. Najlepiej będzie za jakiś rok, lub dwa, dziś to wszystko jeszcze nam za blizkie”.

„A jednak wydaje się dalekie i jakby przeżyte we śnie” — dodała żona. — „Opatrzność jest dobra, że przyćmiewa przykre wspomnienia w naszej pamięci. Mam wrażenie, że przez to wszystko przeszłam już w jakimś poprzednim istnieniu”.

Fardet wyciągnął rękę, zawsze jeszcze obandażowaną.

„Ciało nie zapomina tak prędko, jak umysł. Przyzna pani, że to nie wygląda ani na sen, ani na coś dalekiego”.

„Jak to smutno, że jednych los oszczędził, innych nie. Gdyby pan Brown i pan Headingly byli teraz z nami, nie dbałabym o nic na świecie“—wołała Sadie—„Dlaczego oni poszli, a myśmy zostali?“

Ksiądz Stuart wchodził właśnie na pokład z książką w rękę, opierając się na grubej lasce.

„Dlaczego zrywamy dojrzały owoc, a zostawiamy niedojrzały?“—rzekł w odpowiedzi na okrzyk dziewczęcia. — „Nie wiemy nic o stanie dusz naszych drogich zmarłych, ale wielki Ogrodnik zrywa swoje owoce zgodnie z tem, co Sam tylko wie o nich. Przyniosłem państwu coś do przeczytania“.

Na stole stała latarnia, usiadł więc blisko niej. Żółte światło padło na jego wielki policzek i na czerwone rogi książki. Mocny twardy głos wzbil się nad rozgwar fal.

„Niechże dzięki składają Panu ci, których On wykupił i oswobodził z ręki nieprzyjaciela, a zebrał ich był z krajów przerozmaitych, ze wschodu i z zachodu, z północy i południa. Zeszli obłądnie z drogi swojej w dzicz i nie znaleźli miasta, ażeby w niem zamieszkali. Łaknący byli i spragnieni, a dusze w nich omdlewały. Podnieśli tedy głos do Pana w niedoli swojej, a On wyzwolił ich od cierpień i wywiódł ich na prostą drogę,

i że mogli wracać do miasta, gdzie było ich mieszkanie. O, ci ludzie będą odtąd wielbili Pana za Jego dobroć i głosili cuda, które On czyni dla synów człowieczych!“

„Brzmi to, jakby było dla nas ułożone, a jednak jest napisane przed dwoma tysiącami lat“—mówił ksiądz, zamykając książkę.—
„W każdym stuleciu ludzkość miała dowody niezbite, że jest jakaś ręka, która ją prowadzi. Co do mnie, nie wierzę, aby natchnienie wyczerpało się przed dwoma tysiącami lat. Tennyson, kiedy pisał z zapalem i przekonaniem:

O, ale jednak ufamy, że dobro

Jak znak graniczny kiedyś złemu stanie,
powtarzał oredzie, które było mu powierzone,
tak samo jak Ezechiel, swojego czasu, dawał wyraz surowszemu i bardziej pierwotnemu orędziu“.

„Bardzo to pięknie, proszę księdza“ — wdał się francuz. — „Ksiądz każe mi chwalić Boga za to, że mię uwolnił od niebezpieczeństwa i cierpienia, ale ja chciałbym wiedzieć, dlaczego, jeżeli On świat urządził, umieścił na nim wogóle niebezpieczeństwo i cierpienie? Mojem zdaniem więcej mam powodów do ganiaenia, niż do pochwały. Nie wiem, czyby mi ksiądz dziękował, że go wyciągnąłem z rze-

ki, jeżeli ja sam go do niej rzuciłem. W najlepszym razie można żądać od waszej Opatrzności, aby leczyła rany, które własną dłonią zadaje“.

„Nie przeczę, że zagadnienie jest trudne“—odparł ksiądz powoli—„i człowiek, który nie chce oszukiwać sam siebie, nie może nie uznać trudności. Posłuchajcie, jak Tennyson śmiało mierzy się z nią w tym samym poemacie, największym i najgłębszym, jaki był napisany w naszym języku. Zauważcie, jak on na nią patrzy:

Macam, gdzie pewna była droga
I brzemię wąpień mię przygniata,
Gdzie w mrokach wielki ołtarz świata
Zawiesza schody swe do Boga.

Wyciągam chrome dłonie,—mdleję,
Kurz jeno garnąc i splakanem
Sercem zwę Tego, co jest Panem,
Choć skrycie szersze sńię nadzieje.

To jest najwyższa tajemnica tajemnic: zagadnienie grzechu i cierpienia, najwyższa trudność, jaką myśliciel musi rozwikłać, aby usprawiedliwić stosunek Boga do człowieka. Ale weźmy nasz własny przykład. Co do mnie, to widzę bardzo jasno, ile zyskałem przez

to doświadczenie. Mówię to z całą pokorą, ale mam teraz jaśniejsze poczucie moich obowiązków, niż poprzednio. Nauczyłem się być mniej opieszły w mówieniu prawdy i energiczniejszy w przeprowadzaniu tego, co uważam za słuszne“.

„A ja“ — zawołała Sadie — „skorzystałam więcej, niż przez całe moje życie. Mnóstwa rzeczy się nauczyłam i mnóstwa oduczyłam. Jestem zupełnie inna dziewczyna“.

„Nie znałem przedtem sam siebie“ — mówił Stephens. — „Nie umiałem nawet ocenić, że mam jakąś osobowość, nad którą się można zastanawiać. Żyłem dla rzeczy błahych, a omijałem najdonioślejsze“.

„Dobre wstrząśnienie nikomu nie zaszkodzi“ — zawyrokował pułkownik. — „Zbyt wygodne puchowe posłanie i cztery posiłki dziennie nie są dobre ani dla mężczyzn, ani dla kobiet“.

„Jest mojem głębokiem przekonaniem“ — powiedziała poważnie pani Belmont — „że niema między nami nikogo, ktoby podczas tych dni na pustyni nie stanął duchowo wyżej, niż w całym dotychczasowem życiu. I kiedy grzechy nasze będą ważone, wiele przebaczone nam będzie dzięki tym dniom, przeżyтым nie-samolubnie“.

Przez chwilę wszyscy siedzieli w zamyśleniu, tymczasem szkarlatne pręgi na wodzie pociemniały w karmin, szare cienie pogłębiły się i dzika kaczka przeleciała ciemnym zygzakiem nad metaliczną falą cichopłynnego Nilu. Chłodny powiew zerwał się od wschodu i część towarzystwa zbierała się do odejścia. Stephens nachylił się ku Sadie.

„Pamięta pani, co pani postanowiła na pustyni?“

„Co takiego“.

„Że jeżeli wyjdzie pani cało, postara się pani kogoś uszczęśliwić“.

„W takim razie to zrobię“.

„Już to pani zrobiła“ — odpowiedział i ręce ich złączyły się w cieniu stolika.



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001021141056

K. Tarchalski
W-III 16.02.87
-300 d.-



1466335
